

**Andre Norton**

# **Rozdroża czasu**

**Przekład: Maciej Pintara**

**Tytuł oryginału: The Crossroads of Time**

## Prolog

W gabinecie nie było żadnych mebli poza fotelem wysuniętym jak szuflada z delikatnie rozjarzonej ściany. Inspektor wpatrywał się w ogniste litery raportu wyświetlone na pulpicie. A może tylko wydawały mu się ogniste w obliczu nadciągającej pożogi? Treść maskował żargon używany w sekcji ze względów bezpieczeństwa. Nie pamiętał dokładnie kiedy, ale chyba po trzech miesiącach służby przestał nagle wierzyć, że jakakolwiek operacja może pójść gładko. To, co wydawało się łatwe, zawsze kryło w sobie paskudne pułapki. Rozparł się wygodnie, a fotel dostosował kształt do jego nowej pozycji. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale nerwowo przesunął palcem po krawędzi ekranu czytnika. Stracił już dość czasu, ale mimo wszystko...

TAJNE: Oddział 1 i Informacja

SPRAWA: 4678

RODZAJ PRZESTĘPSTWA: Próba wpływu na historię innego poziomu

AGENCI: Dowódca — Com Varlt, MW 69321

Zespół — Horman Tilis MW 69345

Fal Korf A W 70958

Pague Lo Sig A W 70889

OSIĄGNIĘTY POSTĘP:

Tropiony obiekt — Kmoat Vo Pranj — wysledzony na poziomach od 415 do 426 włącznie. Ustalono przypuszczalny świat lokalizacji głównej bazy (oznaczony — E64I; badany przez Kol 30, 51446 E.C. Określony jako „zacofany kulturowo, w stanie krytycznym; zakaz dostępu z wyjątkiem socjologów, stopień I—2”). Ale obiekt może przebywać w innym świecie tego zgrupowania lub dokonywać skoków.

KAMUFLAŻ:

Legitymacje i metody działania członków miejscowej organizacji, czuwającej nad przestrzeganiem prawa o zasięgu : krajowym (nazwa: Federalne Biuro Śledcze).

TYP KULTURY:

Wczesnoatomowa — mieszkańcy tego poziomu nie wykazują zdolności psi; wysoce niestabilna cywilizacja — typ odpowiadający zainteresowaniom Pranja.

UWAGI:

Tu kryło się sedno sprawy. Inspektor podniósł wzrok na świecąca ścianę. Ostatnio w centrali otrzymywali stanowczo za i dużo „uwag”. Kiedy jeszcze pracował w terenie... Pokręcił głową i roześmiał się. Rozbawiło go, że zaczyna być taki nadęty. Najważniejsze, że człowiek w terenie wie. Przeczytał ostatnie zdanie. Musiał w końcu podjąć decyzję.

UWAGI:

Powodzenie operacji niepewne —wymaga użycia ekstremalnych sił klasy 002.

Odpowiedzialny: Com Varlt.

Com Varlt. Inspektor nerwowo wcisnął guzik. Raport mknął. Zastąpiły go rzędy symboli kodowych. Hm... Agent miał całkiem imponującą kartotekę. Inspektor przestał się wahać. Wcisnął drugi guzik i uśmiechnął się ponuro. Varlt dostanie, o co prosi. Tylko niech lepiej termin „niepewne” zamieni się w „gwarantowane”. Na ekranie pojawił się nowy raport. Inspektor zajął się następną sprawą.



Za oknem małego pokoju hotelowego wstawał szary świt. Blake Walker zduśił papierosa w popielniczce przy łóżku i sięgnął po zegarek. Minuta po szóstej. To, na co czekał od godziny, musiało być już bardzo blisko...

Podniósł z łóżka muskularne dwumetrowe ciało i począpał do łazienki. Włączył elektryczną maszynkę do golenia i przyjrzał się sobie w lustrze. Zobaczył zmęczone oczy bez wyrazu. W sztucznym świetle gęste włosy wydawały się czarne, podobnie jak brwi i rzęsy. Ale w słońcu przypominały mahoń. Brązowa skóra wyglądała tak, jakby jeszcze przed urodzeniem ciągle się opalał.

Golił się raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby — broda rosła mu bardzo wolno. Zmarszczył czoło; po raz tysięczny zastanawiał się, czy ma azjatycką krew. Tylko czy ktoś kiedyś słyszał o rudym Chińczyku albo Hindusie? Ale w końcu nie znał swoich rodziców. Dwadzieścia lat temu detektyw sierżant Dan Walker i posterunkowy Harvey Blake znaleźli w zaułku porzucone dziecko. Dan poruszył całą policję w mieście, żeby ustalić, skąd się wzięło. Potem zaadoptował chłopca. A Blake ciągle zastanawiał się, jak wyglądało jego życie przez dwa poprzednie lata.

Ściągnął smutno usta na wspomnienie bolesnego dnia. Sierżant — a raczej już inspektor Dan — wszedł do banku First National po czeki podróżne. Od dawna planował ten urlop. Przypadkiem znalazł się w środku napadu. Dostał kulę i zginął. Zrozpaczonej Molly nie, mógł pocieszyć fakt, że zabrał ze sobą swojego zabójcę. Zostali tylko we dwoje — Molly Walker i Blake. Pewnego wieczoru Molly położyła się spać i rano już się nie obudziła.

Teraz Blake znów był sam. Stracił jedyną bezpieczną przystań, jaką znał. Ostrożnie odłożył maszynkę do golenia, jakby i od tego ruchu zależało powodzenie ważnej i skomplikowanej akcji. Wciąż wpatrywał się w lustro, ale przestał widzieć swoją i twarz, na której nagle pojawiło się napięcie. Coś nadchodziło — było o krok!

Ostatnim razem takie samo uczucie skierowało go do sypialni Moll gdzie dokonał tragicznego odkrycia. Teraz popychało go w stronę korytarza. Nasłuchiwał uważnie, choć od dawna wiedział, że nic nie usłyszy. Bezszelestnie jak kot przekradł się przez pokój, nie zapalając światła.

Wolno przekręcił klucz i uchylił drzwi. Nie miał pojęcia, co go czeka po drugiej stronie. Wiedział tylko, że musi działać i nie może się przeciwstawić temu wewnętrznemu przymusowi, choćby chciał.

Zobaczył dwóch mężczyzn. Stali tyłem do, niego, jeden za drugim. Wysoki w luźnym płaszczu miał ciemne włosy, błyszczące od deszczu ze śniegiem. Otwierał pokój po drugiej stronie korytarza. Jego towarzysz wbijał mu w plecy lufę pistoletu. Blake ruszył. Był bosy i dywan tłumił jego kroki. Chwycił uzbrojonego typa za gardło i szarpnął jego głowę do tyłu. Drugi mężczyzna natychmiast się odwrócił, jakby spodziewał się tego, co nastąpi. Zamachnął się i trafił prześladowcę pięścią w szczękę. Blake z trudem utrzymał bezwładne ciało. Ale obcy szybko go wyręczył. Wskazał pokój Blake'a i wciągnął tam nieprzytomnego mężczyznę. Za progiem upuścił go bezceremonialnie na podłogę, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

Blake przysiadł na brzegu łóżka. Dlaczego uwolniony więzień nie wszczął alarmu? I po co przywłókł tamtego tutaj? — Wezwać policję...? — Sięgnął do telefonu na nocnym stoliku. Wysoki odwrócił się. Wyciągnął portfel i pokazał legitymację. Blake przytaknął.

— Więc nie wzywać?

Obcy zaprzeczył.

— Jeszcze nie. Przepraszam, że tak się tu wpakowałem, panie...

— Walker.

— Panie Walker. Pomógł mi pan wydostać się z tarapatów. Ale muszę pana prosić, żeby pozwolił mi pan załatwić sprawę po swojemu. Nie będziemy panu długo zawracać głowy.

Blake wstał.

— Ubiorę się.

Agent federalny przykucnął obok leżącego. Blake wiązał krawat gdy w lustrze zobaczył scenę, która skłoniła go do powrotu do pokoju. Agent Kittson przeszukiwał nieprzytomnego. Blake'a zaintrygował sposób, w jaki to robił.

Federalny przeczesał palcami włosy więźnia, jakby szukał czegoś na powierzchni czaszki. Potem zaśwyciła latarką w jego uszy i nozdrza. Wreszcie zajrzał do rozchylnych ust i wyciągnął protezę dentystyczną. Nie odezwał się, ale Blake wyczuł, że tryumfuje. Wydobył spod sztucznych zębów mały krążek, zawinął w chusteczkę i schował do wewnętrznej kieszeni.

— Chce pan umyć ręce? — zapytał Blake..

Kittson zeszywniał. Podniósł wzrok i popatrzył na pytającego. Miał dziwne oczy, prawie żółte. Patrzyły bez mrugnięcia jak ślepiea polującego kota. Świdrowały Blake'a, ale wytrzymał ich spojrzenie. Agent wyprostował się.

— Owszem, chętnie. — Jego spokojny głos brzmiał sztucznie. Blake podejrzewał, że go zaskoczył; nie zachował się tak, jak tamten oczekiwał.

Kiedy Kittson mył ręce, ktoś zapukał...

— To moi ludzie — oznajmił agent z taką pewnością, jakby widział przez ścianę. Blake otworzył...

Za progiem stali dwaj mężczyźni. W innych okolicznościach Blake zapewne nie zwróciłby na nich uwagi. Ale teraz przyglądał się im z zainteresowaniem. Jeden niemal dorównywał wzrostem Kittsonowi. Miał piegowatą twarz o szerokich kościach policzkowych. Spod kapelusza wystawały jasnorude włosy. Drugi natomiast był niski i drobny, wręcz wątły. Obrzucili Blake'a uważnymi spojrzeniami i weszli. Blake poczuł się tak, jakby go zmierzyli wzrokiem, oszacowali i zakatalogowali na wieki wieków.

— Wszystko gra, szefie? — zapytał rudy.

Kittson odsunął się i odsłonił faceta na podłodze.

— Jest wasz, chłopcy.

Ocucili więźnia i wyprowadzili. Kittson został. Znów za mknął drzwi na klucz.

Blake obserwował go ze zdumieniem.

— Zapewniam pana... — zaczął swobodnym tonem — że nie mam nic wspólnego z tamtym człowiekiem.

— Wierzę panu. Jednak...I

— Ta sprawa nie powinna mnie obchodzić, czy tak?!

Po raz pierwszy Kittson uśmiechnął się lekko.

— Rzeczywiście. Wolelibyśmy, żeby nikt nie wiedział o tym i drobnym incydencie.!

— Mój przybrany ojciec służył w policji. Nie rozpowiadam wszystkiego na prawo i lewo.

— Nie jest pan stąd, co?

— Nie. Przyjechałem z Ohio. Moi przybrani rodzice nie żyją

Zapisałem Się do Havers — wyjaśnił Blake.

— Do Havers? Więc chce pan studiować sztukę?

— Mam taką nadzieję. Wystarczy pięć minut, żeby pan sprawdził, że mówię prawdę.

Kitson uśmiechnął się szerzej.

— Nie wątpię w to, młody człowieku. Ale jednego jestem ciekaw. Dlaczego otworzył pan drzwi właśnie w tamtym momencie? Założę się, że nie słyszał pan przez ścianę jak szli śmy korytarzem.

Zmarszczył brwi i przyglądał się Blake'owi z miną polującego kota. Jakby młody mężczyzna stanowił problem który trze ba rozwiązać.

Blake częściowo stracił pewność siebie. Jak mu wyjaśnić te dziwne przebłyski, uprzedzające go przez całe życie o zbliżającym się niebezpieczeństwie? Jak wytłumaczyć że siedział po ciemku przez godzinę i czuł, że nadciąga coś złego i musi temu I zapobiec?! W końcu natarczywe spojrzenie zdopingowało go.

— Po prostu wyczułem zagrożenie i musiałem otworzyć drzwi.

Miał wrażenie, że wzrok tamtego przewierca mu czaszkę i dociera do najskrytszych myśli. Blake stwierdził nagle, że ma dość i że potrafi się uwolnić od tej dziwnej hipnozy.

Ale ku jego zdumieniu Kittson skinął głową.

— W porządku, Walker. Wierzę w przeczucia. No cóż... dobrze się stało, że... — Urwał i zamarł. Po chwili nakazał Blake'owi gestem, żeby był cicho. Nasłuchiwał uważnie, ale do uszu Blake'a nie dotarł żaden dźwięk.

Ktoś zapukał. Blake wstał. Kittson wciąż przypominał myśliwego, który jest o krok od ściganey zwierzyny. Odwrócił głowę i bezgłośnie poruszył wargami. Blake zrozumiał.

— Zapytaj, kto to?

Blake podszedł do drzwi.

— Kto tam?

— Ochrona hotelu.

Blake poczuł na ramieniu dłoń Kittsona i zobaczył przed sobą kartkę z drukowanymi literami: **POWIEDZ, ŻE SPRAWDZISZ TO W RECEPCJI.**

— Chwileczkę, sprawdzę to w recepcji — zawołał Blake przez zamknięte drzwi i przyłożył do nich ucho. Nikt nie odpowiedział. Po chwili usłyszał oddalające się kroki. Wrócił do łóżka i usiadł. Kittson zdążył usunąć z fotela jego rzeczy i rozsiaść się wygodnie. Wpatrywał się w okno, jakby na ścianie przeciwległego budynku widział coś wyjątkowo interesującego.

— Domyślam się, że to nie był detektyw hotelowy? — Nie. I mamy problem. — Kittson wyjął papierośnicę, poczęstował Blake'a, potem pstryknął zapalniczką. — Ktoś próbował się dowiedzieć, co tu zaszło. Niestety, oznacza to, że teraz więżą cię z nami. A to komplikuje sprawę. Nie bez powodu staramy się nie ujawniać naszych działań. Musimy cię prosić o współpracę.

Blake drgnął.

— Jestem tylko przypadkowym świadkiem. Nie przyjechałem tu, żeby bawić się w policjantów i złodziei. Nawet nie pytam, o co w tym wszystkim chodzi. Chyba widać, że nie chcę być w nic zamieszany. — Kittson uśmiechnął się nieznacznie. Blake ciągnął dalej. — Zamierzam się zająć wyłącznie własnymi sprawami...

Kittson rzucił kapelusz na biurko, odchylił głowę do tyłu i wypuścił ustami idealnie równe kółko dymu.

— Niczego byśmy bardziej nie pragnęli. Ale obawiam się że jest już za późno. Powinieneś się był zastanowić, zanim otworzyłeś drzwi. Ktoś się tobą zainteresował, co w najlepszym razie może się okazać kłopotliwe. W najgorszym...

Jego oczy błyszczały niczym klejnoty za zasłoną dymu. Blake poczuł taki sam niepokój, jak na początku tej przygody. Kittson niejasno sugerował coś groźnego.

— Widzisz więc, że to poważna sprawa. Kiedy masz się zgłosić w Havers na pierwsze zajęcia?

— Nowy semestr zaczyna się w następny poniedziałek.

— A więc za tydzień. Chcę cię poprosić, żebyś do tego czasu został z nami. Jeśli dopisze nam szczęście, zdążymy zakończyć sprawę do poniedziałku. A przynajmniej do tego czasu powinna skończyć się twoja rola. Inaczej...

— Zajmiecie się mną dla mojego i waszego dobra? — odpowiedział Blake. Już wiedział, z kim ma do czynienia. Ten facet był przyzwyczajony do rozkazywania i posłuszeństwa. Jeśli powie. „załatwcie tego Walkera”, tak się natychmiast stanie. Pozbędą się go tak szybko i skutecznie, jak tamtego niedoszłego zabójcy. Głową muru nie przebijesz. Lepiej nie stawać okoniem, dopóki me dowie się więcej.

— W porządku. Co będę robił?

— Na razie znikniesz:. I to natychmiast. Dużo masz bagażu?

Zanim Blake w pełni pojął sens tej odpowiedzi, Kittson zdążył wstać i zajrzeć do szafy.

— Jedną sztukę. — Coś zmuszało Blake'a do postępowania wbrew własnej woli. Może siła osobowości agenta? Jeszcze godzinę temu nawet nie Przyszłoby mu. do głowy, że będzie się wyprowadzał. Zatrzasnął walizkę, wyjął portfel i odliczył kilka banknotów.

— Domyślam się, że nie wymeldujemy się stąd formalnie bardziej stwierdził, niż zapytał. Nie zdziwił się, gdy Kittson skwapliwie przytaknął.

„Za oknem zrobiło się niewiele jaśniej. Było pięć po siódmej rano, ale półmrok w pokoju bardziej przypominał wieczór. Agent zgasił światło. Blake wciągnął płaszcz, włożył kapelusz i wziął bagaż. Kittson pierwszy wyszedł na korytarz i dał mu znak.

Nie skręcili do windy, tylko do schodów ewakuacyjnych. Zeszli pięć pięter niżej. Kittson zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami i przez chwilę nasłuchiwał. Pokonali następne, wąskie i słabo oświetlone schody wiodące w dół. Przeszli przez magazyny i wspięli się do tylnego wyjścia. Na ulicy przywitał ich deszcz ze śniegiem. Blake miał wrażenie, że jego przewodnik doskonale zna drogę i zadbał o to, by podczas ucieczki nikt ich nie zauważył. Zdolności organizacyjne agenta zaimponowały mu jeszcze bardziej, gdy przed nimi natychmiast wyrosła taksówka. Kittson otworzył drzwi i kazał Blake'owi wsiąść. Lecz kujego zaskoczeniu nie zamierzał odjechać razem z nim. Samochód ruszył.

Przez moment Blake był nawet zadowolony, że nie musi się o nic martwić. Zastanawiał się tylko, dokąd trafi. Ale po namyśle zdumiała go własna uległość wobec agenta. Wykonywał rozkazy jak w dziwnym śnie. Powinien zatrzymać taksówkę i uciec. Jednak obawiał się, że Kittson prędko by go odnalazł, a ponowne spotkanie nie należałoby do przyjemnych.

Kierowca kluczył wąskimi alejkami przecinającymi śródmiejski park. Blake znał miasto tak słabo, że wkrótce zupełnie stracił orientację. W końcu z powrotem wyjechali na główną arterię. Zaczął się poranny szczyt i taksówka przeciskała się wśród autobusów, ciężarówek i samochodów osobowych. Wreszcie skręciła w zaułek między wysokimi budynkami bez okien. Wyglądały na magazyny. Kierowca zahamował.

— Jesteśmy na miejscu. Blake sięgnął po portfel.

— Już zapłacone, facet — rzucił przez ramię taksjarsz, nie odwracając głowy. — Wejdiesz w tamte drzwi, kapujesz? Wsiądziesz do windy i naciśniesz ostatnie piętro. Rusz się, bo tu nie wolno parkować!

Po chwili Blake znalazł się w oszklonej kabinie windy. Podczas jazdy na górę próbował liczyć piętra, ale nie był pewien, czy zatrzymał się na dziewiątym, czy na dziesiątym.

Staął w ciasnym korytarzyku przed zamkniętymi drzwiami,

Kiedy zapukał, otworzyły się natychmiast, jakby na niego czekali. — Wejdz,

Walker.

Blake spodziewał się, że zastanie tu Kittsona. Tymczasem mężczyzna w progu był starszy od agenta o dobre dziesięć lat, dużo niższy i szpakowaty. Może nie wyróżniałby się w tłumie, ale Blake wyczuł, że ma równie silną osobowość jak Kittson, choć bardziej spokojne usposobienie.

— Jason Saxton —przedstawił się. — Mark Kittson już czeka. Zostaw rzeczy tutaj.

Blake pozbył się walizki, płaszcza i kapelusza, po czym wszedł do gabinetu. Zobaczył nie tylko Kittsona, ale również rudego, który razem z kolegą wyprowadził niedoszłego zabójcę z pokoju hotelowego.

Całą ścianę zajmowały szatki z aktami, a jedyne umeblowanie stanowiło biurko i trzy czy cztery krzesła. Wnętrze było pomalowane na szaro i pozbawione okna. Podłogę pokrywał dywan w kolorze ścian. Światło padało z lamp ukrytych tuż pod sufitem. Kittson wskazał rudzielca.

— To jest Hoyt. Jak widzę, dojechałeś bez przeszkód. Blake chciał zapytać, jakie przeszkody Kittson ma na myśli, ale ugryzł się w język. Hoyt siedział rozwalony na krześle z wyciągniętymi nogami i owłosionymi rękami splecionymi na brzuchu. — Joey zna się na swojej robocie —zauważył leniwie. — Stan dałby znać, gdyby coś się działo. Kittson zignorował komentarz kolegi.

— Mówiłeś, że twój ojciec służył w policji. Gdzie? W Ohio?

— Tak, w Columbus. Ale powiedziałem, że to był mój przybrany ojciec — poprawił Blake. Starannie ważył słowa, zdając sobie sprawę, że trzech mężczyźni obserwują go uważnie.

— A co z twoimi prawdziwymi rodzicami?

Blake opowiedział swoją historię najkrócej jak potrafił. Hoyt zdawał się drzemać, miał opuszczone powieki. Saxton słuchał z uprzejmym zainteresowaniem urzędnika działu personalnego, który przyjmuje nowego pracownika. Kittson nie odrywał od niego spojrzenia twardych, bursztynowych oczu.

— To wszystko —zakończył Blake.

Hoyt podniósł się zaskakująco zgrabnym ruchem. Blake zauważył, że ma zielone oczy o równie żywej barwie i przenikliwym spojrzeniu, jak Kittson.

— Rozumiem, że Walker zostaje z nami? — zapytał.

Blake odruchowo zerknął na Kittsona; ostateczna decyzja z pewnością należała do niego. Na biurku dostrzegł coś nowego — małą kryształową kulę. Leżała na środku zielonego bibularza. Agent musiał się poruszyć, gdyż zaczęła toczyć się w stronę Blake'a. Złapał ją w ostatniej chwili.



Ciężar wskazywał, że to naturalny kryształ. Chciał ją odłożyć na miejsce, ale nagle zmieniła kolor. Pod przezroczystą powłoką zawirowała niebieskozielona mgiełka. Gęstniała z każdą chwilą, aż wypełniła całą kulę.

Blake położył ją szybko na biurku, jakby parzyła mu skórę. Mgiełka rozwiała się. Saxton i Hoyt podeszli bliżej i przyglądali się przemianie. Kittson nakrył dłonią kryształ i wrzucił do szuflady. Blake'owi wydało się, że gdy jego palce dotknęły kuli, znów zaczęła zmieniać barwę, ale na pomarańczowoczerwoną. Zanim zdążył o to zapytać, odezwał się brzęczyk na ścianie.

Rozległ się szum windy. Hoyt podeszedł do drzwi i wpuścił drobnego kolegę, który towarzyszył mu rano w hotelu.

— Wszystko w porządku? — zagadnął Kittson.

— Tak — odpowiedział mu melodyjny głos. Niski mężczyzna przypominał kilkunastoletniego chłopca. Tylko oczy i leciutkie zmarszczki wokół kształtnych ust nie pasowały do tego wizerunku. — Choć miałem ogon, tego krępego śmiecia z „Kryształowego Ptaka”. Dziwne, że ciągle używają tych samych ludzi.

— Pewnie mają trudności kadrowe — zasugerował Saxton. — Z czego powinniśmy się cieszyć — dodał Kittson. — Jeden nalot, kiedy upewnimy się, że są wszyscy razem, i nasz przyjaciel nie będzie miał tu nic do roboty.

— Chcesz, żeby stąd prysnął? — zaniepokoił się Saxton. — Lepiej zatrzymać go na tym poziomie... — Spojrzał na Blake'a i zamilkł.

Młody mężczyzna, który przed chwilą przyszedł, zdjął płaszcz i rzucił na oparcie krzesła. — „Spluwa” nie należy do zbyt bystrych. Podsunałem mu fałszywy trop. Mamy go z głowy co najmniej na godzinę. Walker jest na razie bezpieczny.

Kittson wyciągnął się na krześle.

— Możliwe. Ale będą go szukać, kiedy się połapią, że się im wymknął. — Odwrócił się do Blake'a. — Mówiłeś komuś w hotelu, że zaczynasz studia w Havers? — Portierowi. Chciałem się dowiedzieć, jakim autobusem tam dojechać. Ale przecież masa ludzi pyta go o komunikację. Na pewno mnie nie zapamiętał. — Ludzie potrafią sobie przypomnieć zdumiewająco dużo, kiedy powie się im, że to ważne — odparł Kittson. — Potrzymamy cię tu kilka dni, dopóki sprawa twojego zniknięcia nie przycichnie. Tylko w ten sposób możemy sprawdzić, czy interesują się tobą. Wybacz, Walker. Nie musisz mi przypominać, że to bezprawna ingerencja w twoje życie prywatne. Wiem to równie dobrze, jak ty. Ale czasem niewinne, postronne osoby muszą cierpieć dla dobra ogółu. Zapewnimy ci wygodną kwaterę i bezpieczeństwo. Od twojego pobytu tutaj zależy powodzenie naszego śledztwa.

Saxton wstał.

— Myślę, że w ramach naszej gościnności powinniśmy przede wszystkim poczęstować cię śniadaniem.

Blake chętnie skorzystał z zaproszenia. Poszedł za Saxtonem i znalazł się w imponującym apartamencie. Nowoczesne meble miały szarą, zieloną i niebieską barwę. Nie wisiał tu ani jeden obraz, a światło sączyło się z sufitu. Pod jedną ścianą stał wielki telewizor, a na stolikach i podłodze piętrzyły się książki, gazety i magazyny ilustrowane. Można sięgać po nie bez wstawania z foteli.

— Trochę u nas ciasno — poinformował gospodarz. — Niestety, będziesz miał towarzystwo w sypialni. Tutaj... — Otworzył drzwi prowadzące z krótkiego korytarza do dużego pokoju z dwoma łózkami.

— A tu czeka śniadanie.

Jadalnia nie miała okien. Zdumiony Blake usiadł przy stole. Saxton podszedł do ściany, odsunął panel i wziął tacę. Postawił ją przed gościem, potem przyniósł drugą dla siebie.

Wyjątkowo smaczne potrawy przypadły Blake'owi do gustu. Jadł z apetytem. Saxton uśmiechnął się..

— Kucharka ma dziś dobry dzień. — Odsunął stertę książek.

Były to wyłącznie angielskie i amerykańskie rozprawy historyczne. Z wielu wystawały papierowe zakładki, jakby ktoś je studiował. Saxton wskazał na nie.

— To moje hobby, Walker. Można powiedzieć, że związane z pracą, którą wykonuję. Jesteś może studentem historii?

Blake nie spieszył się z odpowiedzią. Przełknął kawałek szynki. Albo był zbyt podejrzliwy, albo Saxton celowo wybrał temat rozmowy.

— Mój przybrany ojciec zbierał książki z historii kryminalistyki. Słynne procesy i tym podobne. Pamiętniki, listy, zeznania naocznych świadków... Czytywałem je.

Saxton podniósł filiżankę z kawą i przyjrzał się jej uważnie, jakby nagle zamieniła się w bezcenny okaz chińskiej porcelany.

— Otóż to, zeznania naocznych świadków. Słyszałeś o teorii „równoległych światów”?

— Czytałem kilka powieści fantastycznych na ten temat. Chodzi o możliwość powstawania dwóch różnych światów w każdym węzłowym momencie historii? Na przykład jednego, w którym Napoleon wygrał pod Waterloo, i naszego, w którym przegrał?.

— Tak. Według tej teorii istniałyby tysiące światów zależnie od różnych ro~strzygnięć. Powstałyby nie tylko w wyniku bitew czy zmian politycznych, ale nawet wskutek pojawienia się epokowych wynalazków. Fascynujące, prawda?

Blake przytaknął. Musiał przyznać, że założenie jest interesujące. Ale w tej chwili bardziej obchodziły go własne „równoległe światy”.

— Węzłowe momenty zdarzały się również w ostatnich latach — ciągnął mężczyzna po drugiej stronie stołu. — Wyobraźmy sobie świat, w którym Hitler wygrał bitwę o Anglię i w 1941 roku zajął Wyspy Brytyjskie. Przypuśćmy, że jakiś wielki przywódca urodził się za wcześniej albo za późno.

Blake poczuł rosnące zaciekawienie.

— Czytałem o czymś takim! Brytyjski dyplomata natknął się w roku 1790 na emerytowanego majora artylerii, który umierał w małym francuskim miasteczku... Napoleon urodził się z wcześniej.

Saxton odstawił filiżankę i pochylił się nad stołem. Oczy mu płonęły...'

— Ale założmy, że taki człowiek urodzony w swoim świecie w niewłaściwym czasie miałby możliwość przeniesienia się do innego, równoległego świata. Czy nie byłby podwójnie niebezpieczny? Powiedzmy, że urodziłeś się w epoce, w której społeczeństwo hamuje rozwój twoich szczególnych talentów. Nie masz możliwości ich wykorzystania. Co wtedy?

— Przeniósłbym się tam, gdzie miałbym szansę — odrzekł Blake. Uważał, że nie powiedział nic odkrywczego. Ale Saxton rozpromienił się jak nauczyciel zadowolony ze swego ulubionego ucznia który właśnie zdał trudny egzamin. Coś się za tym kryło. Tylko co? Instykt ostrzegawczy milczał. Blake czuł jednak, że Saxton z czyjegós rozkazu naprowadza go na jakiś trop.

— Tak byłoby chyba najlepiej — dodał.

Tym razem nie trafił. Zła odpowiedź. ...

— Dla ciebie — parsknął Saxton. — Ale niekoniecznie dla świata, do którego byś się przeniósł. Jak widzisz, są dwie strony medalu, prawda? Aaa! Erskine! Chodź, przyłącz się do nas!

— Zostało jeszcze trochę kawy? — zapytał szczupły blondyn. Nie? To wciśnij guzik, Jas. Muszę się wzmocnić po ciężkim poranku.

Klapnął na ławę obok starszego kolegi i uśmiechnął się do Blake'a. Jego zmęczona twarz o regularnych rysach ożywiła się.

— Niestety, musimy tu tkwić — oznajmił. — Co zrobiłeś z gazetą, Jas? Chciałbym zobaczyć, co jest w telewizji. Trzeba się jakoś rozerwać....

Wyjął zza panela świeży dzbanek z kawą, napełnił filiżankę i wsypał dwie czubate łyżeczki cukru. Kiedy wrócili do salonu, rozsiadł się przed telewizorem. Wpatrywał się w ekran z miną dziecka urzeczonego nową wspaniałą zabawką. Gdy program się skończył, Erskine westchnął.

— Imponujące, jak na taki prymityw... — mruknął. Blake dosłyszał tę dziwną uwagę. Erskine oglądał bar dobrze zrobiony spektakl „na żywo”, a nie jakiś stary, niemy film. Więc dlaczego „prymityw”? Blake'owi zaświtało w głowie niedorzeczne podejrzenie. Cała ta rozmowa z Saxtonem... Nie, to niemożliwe!

Przez resztę dnia nikt im nie przeszkadzał, choć przy braku okien trudno było powiedzieć, czy już zapadła noc. Saxton i Erskine grali w jakąś nieznaną mu karcianą grę. Jedli posiłki dostarczane zza panela, Blake przerzucał książki; przeważały historyczne i biograficzne. Z każdej wystawały zakładki. Czyżby Saxton zamierzał wykorzystać swoje hobby do napisania artykułu? Blake wrócił myślami do porannej rozmowy przy stole.

Człowiek urodzony w swoim świecie, ale w niewłaściwym czasie... Zdolny przenieść się do innego świata, gdzie dzięki swoim talentom zdobyłby władzę... Blake zaczął sobie wyobrażać różne fantastyczne sytuacje.

Kim są jego towarzysze? Wciąż się nad tym zastanawiał, gdy kilka godzin później zapadał w sen.

Obudził się w ciemności. Z drugiego łóżka nie dochodził żaden dźwięk. Odrzucił kołdrę i wstał. Pościel obok była używana, ale teraz nikt tam nie spał. Podszedł do drzwi i uchylił je lekko.

Saxton prowadził korytarzem Kittsona uwieszonego na jego ramieniu. Kittson ledwo powłóczył nogami. Na koszuli miał ciemną plamę. Obaj mężczyźni zniknęli w pokoju na końcu korytarza i zamknęli drzwi. Na dywanie pozostała błyszcząca kropla wielkości monety. Blake zbliżył się i dotknął jej. Krew!

Czekał na powrót Saxtona, ale zmorzył go sen. Kiedy znów otworzył oczy, w pokoju paliło się światło. Sąsiednie łóżko było starannie zaścielone. Blake ubrał się szybko. Kittson został ranny, ale dlaczego trzymają to w tajemnicy?

Wyszedł z sypialni i poszukał wzrokiem plamy. Zniknęła, tak jak przypuszczał. Przesunął dłonią po dywanie i poczuł wilgoć. Ktoś całkiem niedawno zmył krew. Spojrzał na zegarek. Wtorek, ósma trzydzieści rano. Zamierzał zadać gospodarzom mieszkania kilka pytań.

Jason Saxton siedział samotnie w salonie. Na kolanach trzymał notatnik i coś pisał. Na stoliku do kawy tuż przed nim piętrzyła się sarta książek. Podniósł głowę i uśmiechnął się tak otwarcie, że Blake pohamował niecierpliwość.

— Mam nadzieję, że rano ci nie przeszkadzałem, Walker. Brakuje nam ludzi i dziś muszę się zająć pracą biurową. Odpoczniesz ode mnie.

Blake mruknął potakująco i przeszedł do jadalni. Zastał tam Erskine'a. Jasnowłosa mężczyzna wyglądał na zmęczonego i miał podkrążone oczy. Wymamrotał coś na powitanie i wskazał panel na ścianie. Blake wziął tacę i zasiadł do śniadania. Czekał, aż Erskine się odezwie, ale tamten widocznie nie był w nastroju do rozmowy. Dopił kawę i wstał.

— Baw się dobrze — rzucił ironicznie na pożegnanie. — Spróbuję — odparł Blake. Miał nadzieję, że jego ton nie zdradził, że coś sobie zaplanował. Mógłby się założyć,

że Erskine przed wyjściem przyjrzał mu się podejrzliwie.

Blake zjadł bez pośpiechu. Chciał mieć apartament do swojej dyspozycji. Sprawdził, czy przejście do biura jest zamknięte, po czym przystąpił do działania.

Stał na środku salonu i przez chwilę nasłuchiwał. Potem podszedł do zewnętrznych drzwi i przyłożył do nich ucho. Usłyszał szmer rozmów. Towarzyszył mu odgłos wysuwanych i wsuwanych szuflad z aktami. Łoskot. To na pewno winda. Ostrożnie nacisnął klamkę. Nie zdziwił się, że drzwi są zaryglowane. Wrócił do korytarza między sypialniami i uklęknął. Na dywanie wyczuł więcej wilgotnych miejsc. Prowadziły do pokoju, w którym rankiem zniknął Kittson. Te drzwi również były zaryglowane. Nie dochodził zza nich żaden dźwięk. Za to drzwi sypialni obok stały otworem. Pomieszczenie było podobne do tego, które Blake dzielił z Saxtonem. Dwa starannie zaścielone łóżka i ani śladu bagażu. W szufladach leżały porządnie ułożone czyste koszule, skarpetki, krawaty i bielizna.

W szafie wisiała niezliczona ilość ubrań. Od garniturów na różne okazje po kombinezony dostawców. Lokatorzy apartamentu byli widocznie przygotowani na każdą ewentualność. W porządku, agentom FBI mogły się przydać. Na razie Blake nie na trafił na nic, co przeczyłoby twierdzeniu Kittsona, że nimi są.

Szukał dalej. W szufladce nocnego stolika znalazł mały pistolet automatyczny. Zwyczajny. Przybory toaletowe miały etykiety znanych firm spotykanych w każdym sklepie. Obecność farby do włosów również dawała się łatwo wytłumaczyć.

W ciągu dziesięciu minut przetrząsnął wszystkie łatwo dostępne zakamarki. Czy uda mu się posunąć dalej bez pozostawienia śladów rewizji? Spojrzał na idealnie wygładzone nakrycia łóżek. Z pewnością nie. Ale wyjął każdą szufladę i sprawdził, czy nic nie jest przyklejone do dna lub boków. Najgorsze, że sam nie wiedział, czego szuka. Chciał tylko znaleźć coś na poparcie swoich fantastycznych podejrzeń.

Przeszukał połowę wspólnego pokoju, należąca do Saxtona. Bez rezultatu. Wstrzymał się z poszukiwaniami w salonie i sprawdził drzwi biura. Wciąż były zaryglowane, a w środku panowała cisza. Saxton widocznie już wyszedł.

Zjadł samotnie lunch i z nudów wziął się za czytanie. Ale teoria Saxtona o podróży w czasie i równoległych światach nie dawała mu spokoju. Jak wyglądałoby wkroczenie na inny poziom? Nagle poczuł ciarki na plecach i wzdrygnął się. Ćwiczenie wyobraźni nasuwało niebezpieczne wnioski.

Cywilizacje, które runęły z powodu jednego człowieka, wierzącego w swoją dziejową misję i siłę charakteru. W jego świecie było aż nadto takich przykładów. Wszystkimi burzycielami zastanego porządku kierowała żądza władzy. Egotyzm, nie znoszący sprzeciwu, pozwolił Napoleonowi, Aleksandrowi Wielkiemu, Cezarowi i Dżyngis–chanowi podbić Europę i Azję.

Człowiek sfrustrowany we własnym świecie, lecz zdolny przenieść się do innego... A może tak się w przeszłości zdarzyło? Blake wybuchnął śmiechem, który odbił się echem w pustym pokoju. Ale nie dziwił się, że Saxton zafascynował się takimi ideami.

Odłożył książkę i wyciągnął się na szerokiej sofie. Minęło południe. Czy wypuszczą go stąd do piątku? W co wdepnął? Sytuacja przypominała podrzędny film szpiegowski.

Wysilił umysł i ciało i utkwiał niewidzący wzrok w suficie. Coś nadchodziło. Znow poczuł znajome ostrzeżenie. Jak wczoraj w hotelu, tylko stokroć mocniejsze. Niejasny niepokój szybko przerodził się w pewność, że jest osaczony. Nadciąga niebezpieczeństwo!

Blake usiadł, ale nie włożył butów. Jeszcze nigdy nie przeżywał tak silnego ataku jak teraz.

Poszedł korytarzem do drzwi, za którymi rankiem zniknął Kittson. Ostatnim razem

ostrzeżenie miało związek z agentem. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Szarpnął drzwi. Nic, cisza.

Blake wrócił do salonu. Poczucie zagrożenia narastało. Niczym wiatromierz, popchnięty niewidzialnym prądem powietrza, obrócił się w stronę drzwi biura. Podszedł i przywarł do nich. Był pewien, że niebezpieczeństwo nadchodzi stamtąd.

Nie tylko słyszał łoskot wznoszącej się windy, ale czuł jej wibracje. Pasażer musiał już wysiąść w ciasnym korytarzyku przed biurem. Czy Saxton czeka na intruza? Jest przygotowany?

Blake nie wiedział dlaczego, ale właśnie w tym momencie stanął po stronie czterech mężczyzn, z którymi teraz dzielił mieszkanie. Niewiele mu powiedzieli i miał do nich jeszcze mnóstwo pytań. Jednak w tej chwili był z nimi. A przybysz mógł być tylko wrogiem.

Z biura nie dochodził żaden dźwięk. Wtem rozległo się ciche chrobotanie, jakby ktoś majstra wał przy zamku. Odgłos szybko ustał. Widocznie intruz też nasłuchiwał.

Blake zupełnie nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Nagle zdał sobie sprawę z czyjejś obecności; silnej osobowości pozbawionej ciała czy innej materialnej powłoki. Jakby człowiek po drugiej stronie drzwi przeniknął swoim „ja” przez barierę, której fizycznie nie mógł sforsować. Blake wpadł w panikę.

Oskoczył do tyłu. Bał się kontaktu z tym Czymś! Ale opanował się szybko i wrócił na stanowisko. Jeśli tamten wejdzie do biura, musi o tym wiedzieć.

Dziwne uczucie czyjejś obecności trwało nadal. Blake nabrał jednak przekonania, że obcy jeszcze o nim nie wie. Odprężył się trochę i niemal przestało mu to przeszkadzać. Wtedy nastąpił niewidzialny atak.

Blake chwycił się za głowę. Nagły kontakt zmałował mu umysł jak silny cios. Złapał wolną ręką za klamkę, jakby zwykły, namacalny przedmiot mógł go uratować.

Obca osobowość czy też moc — cokolwiek to było — nie zamierzała rezygnować, skoro już nawiązała kontakt. Szukała drogi do jego mózgu.

Blake kurczowo ścisnął klamkę. Ból rozsadzał mu czaszkę, przed oczami wirowały szare plamy. Cały się trząsł. Nigdy dotąd nie przeżywał takich tortur. Został poddany próbie spoza swojego świata i czasu, jakby miał do czynienia z średniowiecznym ucieleśnieniem diabła.

Potworna presja zelżała, ale nie ustąpiła całkowicie. Przeciwnik jeszcze nie zrezygnował. Po chwili wytchnienia przystąpił do następnego zajadłego ataku.

### 3

Podłoga zafalowała pod stopami Blake'a. Stracił poczucie czasu. Tylko mokra od potu klamka w zaciśniętej dłoni łączyła go z rzeczywistością.

Ze zdumieniem stwierdził, że słuch go nie zawodzi. W biurze odezwał się brzęczyk. Wróg nagle się wycofał. Rozległ się łoskot windy.

Ktoś wrócił? Erskine? A może Saxton? A jeśli wpadną w pułapkę? Nie mógł temu zapobiec.

Winda zatrzymała się, po czym zaczęła zjeżdżać w dół. Zabrała obcą osobowość wypełniającą pokój! Zapadła cisza. Przeciwnik zniknął.

Blake klęczał z głową opartą o drzwi. Żołądek wywracał mu się na drugą stronę. Podpełzł do krzesła i podniósł się chwiejnie. Zdażył do łazienki w samą porę. Zwymiotował i przylgnął plecami do ściany. Ledwo trzymał się na nogach. I czuł się splugawiony jak nigdy dotąd.

Kiedy trochę odzyskał siły, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Długo splukiwał się gorącą i zimną wodą. Uczucie obrzydzenia w końcu minęło. Ale włożenie ubrania kosztowało go wiele wysiłku. Był tak słaby, jakby pierwszy raz wstał z łóżka po ciężkiej, przewlekłej chorobie.

Powlókł się do salonu i opadł na sofę. Do tej chwili jego uwagę zaprzętały zwykłe rzeczy: wycieńczenie, kąpiel, ubranie się. Nie myślał o niczym innym. Teraz wspomnienie ataku powróciło. Znow zrobiło mu się niedobrze. Zaczął recytować wiersze i slogany reklamowe — cokolwiek, byle się rymowało. Ale nie potrafił zapomnieć o strasznych przeżyciach. Mógłby przysiąc, że jest sam, a jednak wciąż czuł wokół siebie resztki obecności tamtego dziwnego intruza.

Znowu winda! Spróbował usiąść. Ściany zawirowały. Zaciśnął palce na obiciu sofy i ogarnęła go ciemność.

Ocknął się w swoim łóżku głodny i zaniepokojony. Dobiegły go przyciszone głosy. Wstał i podszedł do otwartych drzwi korytarza, żeby podsłuchać rozmowę.

— ... przepętałem całe miasto wzdłuż i wszerz. Powiedział prawdę; jest przybrany dzieckiem Walkerów. Znaleźli go w zaułku dwaj gliniarze... Niesamowita sprawa. Dość lubiany, ale chyba nie ma bliskich przyjaciół.

Blake rozpoznał Hoyta.

— Znaleziony w zaułku... — odezwał się w zamyśleniu Saxton. — Ciekawe... Bardzo ciekawe.

— Żadnych oznak zamiany, wymazania czy dodania fałszywych wspomnień? — zapytał niecierpliwie Kittson.

— Nie wykryłem tego u żadnej ze spotkanych osób. Wątpię, żeby go podstawili...

— Nie, nie... — przerwał mu Saxton. — To nie wtyczka. Ale może ktoś inny. Za mało wiemy. Brak bliskich przyjaciół... Jeśli to, co podejrzewamy, jest prawdą, nieuchronnie wyjdzie na jaw. Dowód na istnienie selektora był wystarczająco wyczuwalny. Jeszcze za wcześnie na zajęcie stanowiska „nie znamy go, więc to nasz wróg”. W hotelu „Shelborne” przyszedł Markowi z pomocą.

— Więc jak go oceniasz, Jas? — wtrącił się Erskine.

— Utajone psi, rzecz jasna. I oczywiście sprawia mu kłopoty. Inteligentny. Ma jeszcze coś, czego na razie nie potrafię nazwać. Co zamierzasz z nim zrobić, Mark?

— Chciałbym wiedzieć... — powiedział Erskine — co się tu stało dziś po południu. Znaleźliśmy go nieprzytomnego; łał się przez ręce. Musieliśmy we dwóch zanieść go do łóżka.

— A co się dzieje, kiedy esper z naturalną barierą jak u niego zostanie poddany

sondowaniu umysłu? — parsknął Kittson.

— Ale to by znaczyło...! — zaprotestował zaniepokojony Saxton.

— Z pewnością. I lepiej założymy, że Pranj to potrafi. Jak tylko chłopak się obudzi, zadam mu kilka pytań. Dostał zastrzyk na wzmocnienie?

— Prawie potrójną dawkę — odrzekł Saxton. — W końcu nie mam pojęcia, jak reaguje jego rasa. Nie wiem nawet, jaka to rasa. — Ostatnie zdanie zabrzmiało jak głośno wypowiedziana myśl.

Blake wkroczył do pokoju. Czterej mężczyźni spojrzeli na niego bez zaskoczenia.

— O co chce mnie pan zapytać? — zwrócił się do Kittsona.

— Co się tu stało dziś po południu?

Blake starał się opisać całe zdarzenie bez emocji. Starannie dobierał słowa i niczego nie pomijał. Nie zauważył niedowierzania na twarzach agentów. Wojowniczy nastrój opuścił go. Czyżby znali takie ataki? Jeśli tak, to co — lub raczej kogo — do diabła, tropią?

— Sondowanie umysłowe — stwierdził Kittson. — Jesteś pewien, że tamten fizycznie nie wszedł do biura?

— Na tyle pewien, na ile mogłem być, nie widząc go.

— I co, Stan? — Kittson popatrzył na Erskine'a skulonego na sofie jak dziecko.

Blondyn skinął głową.

— Mówiłem wam, że Pranj to potrafi. Przeprowadził wiele eksperymentów, o których Stu nic nie wie. Dlatego jest taki niebezpieczny. Gdyby Walker nie był esperem, w dodatku mającym barierę, Pranj wyssałby go do dna! — Strzelił znacząco palcami.

— Jakim znów „esperem”? — wtrącił się Blake. Musiał się w końcu czegoś dowiedzieć. Na razie to wszystko wydawało się bez sensu.

— Esper to człowiek obdarzony talentem lub talentami psionicznymi. Psi to zjawiska z dziedziny parapsychologii, zdolności pozazmysłowe. Ludzkość jako całość jeszcze nie nauczyła się ich wykorzystywać. — Saxton znów przybrał pozę nauczyciela. — Mam na myśli telepatię, czyli porozumiewanie się myślami zamiast głosem. Telekinezę, która oznacza przenoszenie przedmiotów siłą woli. Jasnowidzenie, a więc obserwowanie zdarzeń rozgrywających się gdzieś daleko. Prorokowanie, to znaczy przewidywanie przyszłych wydarzeń. Lewitację, czyli poruszanie się w powietrzu bez środków technicznych. Takie i inne talenty mają jednostki, które nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Ukryte możliwości ujawniają się dopiero w pewnych okolicznościach.

— Dlaczego... — włączył się do wykładu Kittson — w poniedziałek rano otworzyłeś drzwi swojego pokoju hotelowego akurat we właściwym momencie, Walker?

Blake odpowiedział zgodnie z prawdą.

— Coś mi mówiło, że muszę...

— Czy ten przymus pojawił się nagle? — zapytał Saxton. Blake pokręcił głową.

— Nie. Od godziny czułem niepokój. To zawsze tak się objawia.

— Więc zdarzało ci się wcześniej? I za każdym razem przewidywałeś niebezpieczeństwo?

— Tak. Ale nie takie, które by groziło mnie. Przynajmniej nie zawsze.

Kittson zwrócił się do Saxtona.

— Potem nie mogłem przejąć nad nim kontroli z powodu jego naturalnej tarczy.

— Nie widzę w tym nic zaskakującego — po raz pierwszy odezwał się Hoyt. — Skoro na początku byliśmy jedną rasą, odkrywamy takich utajonych osobników to tu, to tam. Mieliśmy szczęście, że dotąd nie trafiliśmy na facetów o naprawdę potężnej mocy...

Blake ostrożnie dobierał słowa.

— Chce pan powiedzieć, że wszyscy macie takie zdolności i możecie je swobodnie wykorzystywać?

Przez dłuższą chwilę trzech mężczyźni wpatrywali się bez słowa w Kittsona, jakby czekali na jego decyzję. Wzruszył ramionami.

— On już dużo wie. Trzeba wprowadzić go do końca. Gdyby teraz wpadł w ręce ludzi Pranja... Nie możemy go ciągle trzymać w ukryciu. To zaczyna wyglądać na długoterminową robotę. — Wyciągnął rękę. Paczka papierosów, leżąca obok kolana Erskine'a, przeleciała w powietrzu przez pokój i wylądowała w jego dłoni. — Tak... — ciągnął — mamy pewne zdolności psi. Sposób wykorzystania, zakres i moc zależą od potencjału danej osoby i treningu. Niektórzy lepiej radzą sobie z telepatią, inni z telekinezą. Jest też trochę teleporterów, czyli ludzi, którzy potrafią momentalnie przenosić się z miejsca na miejsce. Prekognicja w pewnych zakresach jest na tyle powszechna... — I nie jesteście agentami FBI — przerwał mu Blake. — Nie. Należymy do innej organizacji pilnującej przestrzegania prawa. Być może dużo ważniejszej dla dobra świata. Jesteśmy Strażnikami. Jas mówił ci o równoległych światach. Tyle że to nie jego hobby i nie żadna teza, ale fakt. Są różne płaszczyzny czy też poziomy światów; obojętne, jak to nazwiesz. Ten świat rozgałęział się mnóstwo razy w węzłowych momentach historii. Moja rasa nie jest starsza od twojej, ale przez przypadek już przed kilkoma tysiącami lat stworzyliśmy wyjątkowo rozwiniętą cywilizację techniczną.

Niestety mieliśmy typową ludzką cechę, czyli wojowniczość. W rezultacie wybuchła potworna wojna jądrowa. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego nie unicestwiliśmy się na dobre, jak zrobiły to i nadal robią światy na innych poziomach. Ale do całkowitej zagłady nie doszło, a nielicznych ocalonych, rozproszonych na różnych obszarach czekało nowe życie. Możliwe, że drugie powojenne pokolenie przeszło daleko idącą mutację, w każdym razie nauczyliśmy się wykorzystywać zdolności psi.

Wojny zostały zakazane. Skoncentrowaliśmy się na podboju kosmosu. Przekonaliśmy się, że większość planet naszego systemu nie jest przyjazna człowiekowi. Gwiezdne ekspedycje nie powracały. Potem pewien nasz historyk odkrył poziomy Sukcesyjnych Światów, jak je nazywamy. Rozpowszechniły się podróże nie w głąb czasu, lecz w równoległe rzeczywistości. A ponieważ jesteśmy tylko ludźmi, pojawiły się również problemy. Trzeba było pilnować nieodpowiedzialnych podróżników i zapobiegać przemieszczaniu się przestępców, którzy plądrowali inne poziomy, gdzie ich potęga dawała im przewagę. Dlatego powstała nasza organizacja.

Utrzymujemy porządek wśród podróżników, ale w żadnym wypadku nie możemy przeprowadzać jawnych akcji na innych poziomach. Zanim zajmiemy się jakąś sprawą, otrzymujemy dokładne dane na temat języka, historii i zwyczajów poziomu, na którym mamy działać. Niektóre poziomy są dostępne tylko dla oficjalnych obserwatorów. Na inne po prostu lepiej się nie zapuszczać; tamtejsza cywilizacja czy raczej ich brak stwarza zbyt wielkie zagrożenie.

Są wymarłe, radioaktywne światy i światy niszczone przez plagi stworzone przez człowieka. Są światy rządzone przez tak okrutnych władców, że ich mieszkańcy nie są już właściwie istotami ludzkimi. Są też cywilizacje o tak kruchej stabilności, że samo pojawienie się obcego może zburzyć istniejący stan rzeczy.

Dochodzimy do sedna sprawy. Ścigamy pewnego osobnika. No cóż... według kategorii przyjętych w naszej kulturze to przestępca. Kmoat Vo Pranj to jeden z tych superego, dla których władza jest jak działka dla narkomana. W naszym świecie zniknęły wprawdzie podziały narodowościowe, ale pozostałością po wojnie jądrowej



są różnice rasowe. Saxton i ja jesteśmy potomkami żołnierzy, którzy na kilkaset lat zostali odcięci na dalekiej północy tego kontynentu. Przodkowie Hoyta żyli pod ziemią na wyspie znanej ci pod nazwą Wielka Brytania. Stworzyli własną kulturę. Natomiast Erskine wywodzi się z tej samej grupy, co ścigany przez nas człowiek. Jest ich zaledwie milion. Pochodzą od garstki techników, pracujących niegdyś nad wykorzystaniem zdolności psi w małej górskiej osadzie w Ameryce Południowej.

— W dodatku... — wtrącił Erskine bezbarwnym, odległym głosem — od czasu do czasu rodzą się wśród nas typy o paskudnych cechach naszych dalekich, wojowniczych przodków. Pranj chce podbić świat. Nie mógłby urzeczywistnić swoich planów na naszym poziomie, bo już został rozszyfrowany i trafiłby pod klucz. Więc próbuje gdzie indziej. Ale wcześniej tak dobrze udawał normalnego, że przyjęto go do naszej służby. Zdobyl doskonałe wykształcenie i odbywał podróże w czasie bez nadzoru.

Teraz szuka poziomu, gdzie społeczeństwo byłoby gotowe dać mu wolną rękę. Jeśli znajdzie taki świat, stworzy potężną organizację i zacznie rządzić planetą. Częścią jego niezrównoważonej psychiki jest przerost wiary w siebie. Cechuje go zupełny brak samokrytycyzmu, wyrzutów sumienia czy innych ludzkich uczuć. Naszym zadaniem jest nie tylko schwytanie go i osadzenie w więzieniu, ale również naprawa ewentualnych szkód, które już spowodował.

— I uważacie, że jest właśnie tutaj? — zapytał Blake. Jeszcze się nie zdecydował, czy przyjąć, czy też odrzucić tę fantastyczną teorię. Na razie po prostu słuchał.

— Być może spotkałeś go dziś po południu, choć nie stanąłeś z nim twarzą w twarz — odparł sucho Erskine.

Kittson wyjął mały, przezroczysty sześcian. Przez chwilę kostka spoczywała na jego dłoni, potem uniosła się i poszybowała w stronę Blake'a. Ten złapał ją i obejrzał. W środku tkwiła mała ludzka postać. Wyglądała jak żywa. Człowieczek bardzo przypominał Erskine'a; miał takie same, ostro zarysowane kości policzkowe, cienkie wargi o regularnym kształcie i jasne włosy. Ale po dłuższych oględzinach Blake dostrzegł subtelną różnicę. Erskine zachowywał się powściągliwie, jakby z wrodzoną rezerwą, a jednak nie wyczuwało się w nim arogancji czy wyższości. Natomiast mężczyzna w sześcianie sprawiał wrażenie okrutnego. Było to widać w oczach i skrzywieniu ust. Twarz bezlitosnego, aroganckiego władcy, pomyślał Blake.

— To Pranj — wyjaśnił Kittson. — Przynajmniej tak wyglądał, zanim zniknął. Nie wiemy, pod jaką postacią się ukrywa. Ale musimy go znaleźć.

— Działa sam? Hoyt pokręcił głową.

— W hotelu „Shelborne” widziałeś jednego z jego ludzi. Podejrzewamy, że żaden z nich nie zna całej prawdy. Pranj wyposażył niektórych w różne zabawki, które utrudniają nam zadanie.

— Każdy z nas... — zabrał głos Kittson — może zawładnąć umysłami tych typów, jeśli nie mają tarcz ochronnych. Tamten w hotelu miał, dlatego nie mogłem dotrzeć do jego mózgu.

— Ten krążek w ustach?

— Tak. Na szczęście główny składnik do ich produkcji jest dostępny tylko na naszym poziomie. A Pranj nie ma do rozdania zbyt wielu tarcz.

— Wróćmy do dzisiejszego popołudnia — zaproponował Erskine. — Chyba możemy przyjąć, że Pranj złożył nam wizytę. Ktoś wysondował umysł Walkera, a przecież nie my. To Pranj. Zgadza się ze mną?

Saxton westchnął.

— Trzeba się stąd wynieść. Szkoda. Erskine jeszcze nie skończył.

— Ale mieliśmy szczęście — ciągnął. — Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby przyszedł, kiedy nikogo z nas nie było. Nawet byśmy nie wiedzieli, że już zna naszą

kryjówkę. A tak jesteśmy krok do przodu. I co, Mark? Znikamy stąd?

— Tak. Jestem pewien, że pasuje mu właśnie ten świat. Jeśli uciekł, wróci i będzie walczył. I nie poczuje się bezpieczny, dopóki nas nie usunie. Postaramy się, żeby nie poszło mu łatwo. — Kittson odwrócił się do Blake'a. — A co się stanie z tobą, to zależy od ciebie. Szczerze mówiąc, za dużo wiesz, jak na mój gust. Powinieneś trzymać się nas.

Blake utkwiał wzrok w dywanie. Ładnie z ich strony, że zostawili mi wybór, pomyślał kwaśno. Nie miał złudzeń, jak skończy, jeśli odpowie „nie”. Ale po dzisiejszym popołudniu wcale nie zamierzał tak odpowiedzieć.

— Dobrze — zgodził się.

Przyjęli to bez podziękowań i komentarzy. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że na dworze jest ładna noc. Jakby o nim zapomniano, gdy Kittson zaczął wydawać rozkazy.

— Wyprowadzamy się jutro, jak tylko Jaś sprawdzi „dwójkę”. Hoyt, ty będziesz obserwował „Kryształowego Ptaka”. Nie wierzę, żeby się tam pojawił, ale może uda ci się ustalić, ilu nosi tarcze. Erskine...

Blondyn pokręcił głową.

— Mam już robotę. Dziś chyba widziałem u jubilera turkus Ming-Hawna. W jednym z tych sklepów z antykami wzdłuż parku. Było już zamknięte, więc muszę tam pójść rano.

— Ming-hawn?! — wykrzyknął Saxton i gwizdnął przez zęby. Kittson zapatrzył się w kółko dymu.

— Możliwe. Jeśli Pranj pilnie potrzebuje gotówki, sprzedanie kilku takich drobiazków to dobry pomysł.

— Ale każdy znawca zacząłby zaraz zadawać pytania! A on przecież nie chce się ujawniać, podobnie jak my! — zaprotestował Saxton.

— Niczym nie ryzykuje. Nie wszystkie ming-hawny są aż tak niezwykle, żeby od razu ktoś uznał je za obce dzieła sztuki.

Sam nie jesteś absolutnie pewny, czy się nie pomyliłeś, prawda, Stan?

— Prawie pewny. Chcę to sprawdzić. Może wezmę ze sobą Walkera?

Blake obawiał się przez moment, że Kittson odmówi. Ale agent w końcu się zgodził, choć może niechętnie. Kiedy Blake obudził się następnego ranka, poczuł radosne podniecenie.

Razem z Erskine'em zeszli do suterenu budynku i przeszli przez obskurny lombard. Właściciel klitki nawet nie podniósł głowy. Wyszli frontowymi drzwiami i za rogiem wsiadli do autobusu. Przejechali pięć przecznic i znaleźli się w lepszej dzielnicy z szerokimi ulicami i eleganckimi sklepami. Wysiedli.

— Drugi za rogiem — powiedział Erskine.

Sklep wyglądał dostojnie i ponuro; był pomalowany na czarno i złoto. Dolną część wystawy chroniła krata, ale nie zasłaniała wyłożonych przedmiotów. Erskine pokazał Blake'owi, co go interesuje.

Tuż przy szybie leżał srebrny wisiorek. Widniały na nim czarne krążki ozdobione skomplikowanymi wzorami. Sprawiał wrażenie orientalnego, choć Blake nie widział jeszcze takiego dzieła sztuki ze Wschodu.

— Zgadza się, to ming-hawn — stwierdził Erskine. — Musimy ustalić, skąd się tu wziął.

Weszli do środka. Zza lady wstał mężczyzna.

— Pan Arthur Beneirs? — zagadnął Erskine.

— Tak. Czym mogę służyć?

— Słyszałem, że kupuje pan i sprzedaje rzadkie, ciekawe rzeczy.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie prowadzę publicznego punktu skupu. Czasem jestem tylko zapraszany do złożenia oferty kupna przedmiotów, które trzeba sprzedać przy rozliczeniach majątkowych. To wszystko.

— Ale potrafiłby pan określić wartość dzieła sztuki? — nie ustępował Erskine.

— Być może.

— Na przykład tego... — Erskine wyjął kryształową kulę, którą Blake oglądał dwa dni wcześniej. Beneirs obrócił ją w dłoni.

— Kryształ górski. — Ku zdumieniu Blake'a kula tym razem nie zmieniła koloru. Pozostała przezroczysta.

Beneirs nagle odłożył ją, bez słowa podszedł do wystawy i wziął wisiołek. Wręczył go Erskine'owi i zaczął szybko mówić, jakby recytował wyuczoną lekcję.

— Dwa dni temu przyniósł go razem z inną starą biżuterią pewien prawnik, Geoffrey Lake. Wcześniej współpracowałem z nim wiele razy. Nie powiedział mi, skąd to ma. Podejrzewam, że ktoś poprosił go o dyskretną sprzedaż. Lake cieszy się dobrą opinią. Ma kancelarię w Parker Building, apartament 140. Zapłaciłem mu dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Erskine wyciągnął portfel i odliczył banknoty. Beneirs niemal mechanicznie przyjął pieniądze, a Erskine schował wisiołek do portfela. Potem wsunął do kieszeni kryształ. Beneirs wrócił za ladę i przestał się nimi interesować, jakby ich w ogóle nie było.

Dlaczego Beneirs tak chętnie wszystko wyśpiewał? — zapytał na ulicy Blake. Erskine roześmiał się.

— To proste. Kula nie tylko wykazała, że nie ma zdolności psi, ale jeszcze pozwoliła mi przejąć nad nim kontrolę. Dlatego powiedział, co wie. Nawet nas nie zapamięta. Pozostanie mu mgliste wspomnienie sprzedaży turkus, ale kiedy zawiadomi Lake'a o transakcji, nie będzie potrafił podać żadnych szczegółów. Znow jesteśmy krok do przodu. Mamy trop prowadzący do

Lake'a.

— Co to jest Ming-Hawn?

— Raczej kto. To artysta emalier. Zajmował się sztuką typową dla jego sukcesyjnego świata. Najlepsze dzieła stworzył w końcu osiemnastego wieku. Mieszkał w świecie, który powstał w trzynastym wieku w wyniku podboju całej Europy przez Mongołów. Uciekinierzy stamtąd, a więc Normanowie, Bretończycy, Saksonowie i Nordycy dopłynęli statkami do kolonii wikingów w Winlandii. Ich potomkowie poženili się z Indiankami z potężnych miejscowych imperiów, rozciągających się na południowym zachodzie. Dali początek państwu zwanemu Ixanilia. Wciąż istnieje na tamym poziomie. Obecna cywilizacja nie jest zbyt atrakcyjna, lecz stwarza różne możliwości, które mogą przyciągnąć Pranję. Ale na razie jest nam potrzebny Lake.

Erskine wszedł do drogerii i skierował się do kabin telefonicznych.

— Poszukaj w spisie jego domowego numeru — polecił Blake'owi. Sam wziął drugą książkę telefoniczną.

Blake ciągle szukał, kiedy Erskine dzwonił. Agent wyszedł z kabiny ze zmarszczonym czołem.

— Lake jest chory. Leży w szpitalu. Mieszka na Nelson Arms.

— Nie znalazłem jego domowego numeru — powiedział Blake.

— Hm... — Erskine wrzucił następną dziesięciocentówkę. Z kabiny dobiegł jego przytłumiony głos.

— Geoffrey Lake, prawnik, Nelson Arms. Chcemy dostać raport jak szybko się da. Tak. — Odwiesił słuchawkę. — Wracamy do naszej nory. Dziś przeprowadzka.

— Ktoś sprawdzi Lake'a?

— Do takich zadań wynajmujemy agencję detektywistyczną. Jeśli okaże się czysty, spokojnie działamy dalej. Jeśli nie, może siedzieć w kieszeni u Pranjy. Wtedy trzeba będzie uważać.

Nie weszli przez podziemny lombard, tylko okrążyli budynek. Erskine wyszczerzył zęby.

— Lisia nora ma kilka wejść. Będziesz musiał je poznać.

— Działacie w dość skomplikowany sposób. Chyba trudno to zorganizować?

— Nie. W światach, które ciągle odwiedzamy w celach handlowych lub naukowych, założyliśmy stałe bazy obsadzone przez naszych ludzi. Są dobrze zamaskowani. Tutaj to prowizorka, ale blisko jednej z naszych tymczasowych baz. A że chodzi tylko o magazyn, łatwo było wynająć pomieszczenie i przystosować do naszych potrzeb.

Erskine poprowadził Blake'a przez obskurny hol małego biurowca. Przed otwartą windą siedział na stołku siwy mężczyzna. Na widok Erskine'a uśmiechnął się i odłożył gazetę.

— Szacunek, panie Waters. Jak tam podróż?

— W porządku, Pop. Szef powinien być zadowolony, jak zobaczy raport sprzedaży. Plecy ciągle boją?

— Jak zawsze. Na samą górę?

— Zgadza się. Szef jest jak gołąb, lubi siedzieć wysoko. Erskine uśmiechnął się szeroko do windziarza, kiedy wysiadali na ostatnim piętrze.

— Kończysz robotę o czwartej, Pop? Jak zwykle?

Starszy człowiek skinął głową.

— Jeśli nie zdąży pan wyjść na czas, trzeba będzie zejść po schodach — ostrzegł.

— Ale pan zawsze zdąża, panie Waters. Mam rację?

— Nie wtedy, kiedy szef patrzy. Trudno, łatwiej zejść, niż wejść. Trzymaj się, Pop.

W korytarzu było dwoje drzwi: oszklone z napisem i metalowe. Gdy tylko winda zniknęła z widoku, Erskine otworzył kluczem te drugie. Prowadziły na dach. Wspięli się po schodach i wyszli na świeże powietrze. Pod nimi rozciągała się przepaść wąskiego zaułka. Erskine przerzucił nad nią deskę.

— Jeżeli masz lęk wysokości, nie patrz w dół — pouczył. Przeszli po kładce na dach magazynu i zeszli schodami do zakurzonego korytarza. Erskine przywarł do ściany i rozkrzyżował ręce. Pod jego ciężarem panel ustąpił. Przekroczyli próg jednej z sypialni w ukrytym apartamencie.

— Masz to? — przywitał ich Hoyt.

— Mam. I jeszcze pewien trop. Beneirs, właściciel sklepu, kupił to od Geoffreya Lake'a, prawnika od spraw majątkowych. Kazałem J.C. zająć się nim.

— Co z tym prawnikiem? — zawołał z daleka Kittson.

Erskine złożył mu raport.

— Ciekawe, czy rzeczywiście jest chory, czy tylko robi unik? — zastanawiał się Hoyt.

— Pranj wie, że tu jesteśmy. Ale podejrzewam, że sprzedał ming-hawna, zanim to odkrył. Musi bardzo potrzebować gotówki. Dlatego chcę się dowiedzieć wszystkiego o tym Lake'u. Zwłaszcza o jego kontaktach i czy ktoś go już odwiedzał w szpitalu. — Kittson odchylił się na krześle i zapatrzył w sufit. — Pan Lake jest chory... To doskonała okazja, żeby jego serdeczni przyjaciele okazali troskę...

Hoyt wstał.

— Owoce, kwiaty czy jedno i drugie?

— Kwiaty sugerowałyby kobietę. Za mało o nim wiemy, żeby ryzykować. Owoce będą w sam raz. Wystarczy paczka średniej wielkości. Możesz dołączyć wizytówkę pana Beneirsa.

— A kiedy przeprowadzka? — zapytał Erskine po wyjściu Hoyta.

— Trzeba poczekać, aż Jas sprawdzi tamto mieszkanie. Nie ma sensu przenosić się, żeby potem stwierdzić, że jesteśmy pod obserwacją. Nieograniczone fundusze dają nam dużą przewagę. A Pranj musi na czas opłacić wynajętych ludzi. Jeśli zaczął sprzedawać to, co wyszabrował na innym poziomie, widocznie Stóm udało się zająć jego majątek w ojczyźnie.

Zadzwoił telefon. Kittson słuchał przez chwilę.

— Dobra robota. Prześlemy ci zwykłą stawkę. — Wyłączył się.

— J.C. przekazał wiadomości o Lake'u. Facet jest w średnim wieku. Jego rodzina prowadzi tę samą kancelarię prawniczą od czterech pokoleń. Konserwatywny. Zajmuje się głównie sprawami majątkowymi i powiernictwem. Kawaler. Najbliższa krewna to siostra w Miami. Dwa tygodnie temu przeszedł operację. Nie kontaktował się bezpośrednio z ludźmi Pranja.

— Kmoat potrafi być bardzo przekonujący — przypomniał Erskine.

— Zobaczmy, czego Hoyt dowie się w szpitalu. Jestem ciekaw, czy Lakę nosi tarczę. Coś mi mówi, że od tej chwili powinniśmy działać szybko.

Rozległ się brzęczyk i wszedł Saxton. Zdjął filcowy kapelusz i dobrze skrojony tweedowy płaszcz, potem usiadł.

— Wszystko w porządku, możemy się przenieść. Ale ktoś obserwuje nasz zaułek. Musiałem przejść po dachu.

— Kto? — zapytał Erskine.

— Mięśniak, którego ostatnio widzieliśmy, jak podpierał ścianę w „Kryształowym Ptaku”. Wiecie, o kim mówię... — Wyjął z kieszeni pudełko cygar i starannie wybrał jedno. — Najsprytniejszym posunięciem Pranja byłoby teraz wciągnięcie nas w jakąś aferę, żeby nasza działalność zwróciła uwagę miejscowych władz. Zyskałby na czasie, bo chwilowo musielibyśmy zniknąć z tego poziomu.

Blake zauważył ze zdumieniem, że wszyscy patrzą na niego. Pierwszy odezwał się Kittson.

— Jaki wybrałbyś donos, żeby sprowadzić nam na kark tutejszą policję?

— Biorąc pod uwagę waszą tajną kryjówkę... — odpowiedział z namysłem Blake — pewnie nielegalny hazard albo narkotyki.

W obu wypadkach zrobiliby tu nalot. Można by też wspomnieć o powiązaniach z mafią i przygotowaniach do jakiegoś skoku. Saxton przygryzł wargi.

— Innymi słowy, może nam narobić masę kłopotów. Lepiej wynośmy się stąd, i to szybko! Kittson przytaknął.

— Dobra. — Wyciągnął z szuflady mały plan miasta. — „Kryształowy Ptak” jest w podziemiach tego przebudowanego domu z piaskowca. Wyżej są mieszkania, zgadza się?

— Tak. Trzy. W dwóch mieszka personel klubu — odrzekł Erskine.

— Czy na dachu jest antena telewizyjna?

— Co najmniej jedna.

— Więc odstawimy numer z ekipą naprawczą.

— Kiedy? — spytał Saxton.

— Zaraz. I przyślesz tu kogoś, żeby posprzątał.

— A możemy najpierw coś zjeść? — westchnął Saxton. Kittson zgodził się po krótkim wahaniu. Siedzieli przy stole, kiedy wrócił Hoyt.

— Jeden z naszych przyjaciół ma na oku zaułek, drugi dach — oznajmił. — A może już o tym wiecie? — A Lake?

— Nie ma tarczy. Ale nie udało mi się z nim zobaczyć.

O czwartej przylatuje z Miami jego siostra... Kittson spojrział na Erskine'a.

— Miłe spotkanie dwóch dam na lotnisku mogłoby wiele załatwić.

Blondyn pociągnął łyk kawy.

— Czego ja nie robię dla Służby! Za tę robotę powinienem dostać Krzyż Zasługi z Gwiazdą.

Kittson uśmiechnął się ironicznie.

— Zawsze trzeba dobierać agenta do zadania, a nie odwrotnie.

— To jest zgrabne zwalanie odpowiedzialności na kogoś innego — zauważył Erskine. — Medytacja na pewno podsunie mi właściwą ripostę. Ale dziś liczą się czyny, nie słowa. Mam tylko nadzieję, że to, czego się dowiem od tej pani, będzie warte mojego poświęcenia i chodzenia w kiecce. — Wstał od stołu.

Godzinę później apartament opuściła kobieta w modnym kostiumie i futrze z norek. Wyszła w towarzystwie Saxtona. Po dwudziestu minutach BJake uczestniczył w ewakuacji dwóch pozostałych agentów. Żaden z nich nie spakował rzeczy osobistych i wyglądało na to, że on też musi zostawić swoje. Uznał to za karygodne marnotrawstwo.

Wszyscy trzej przebrali się w kombinezony monterów i zjechali windą do suterenu. Hoyt miał teraz ciemne włosy i dziwnie zmienioną, bardziej kwadratową szczękę.

Dwa przednie zęby wystawały mu jak u wiewiórki spod ściągniętej górnej wargi.

W ten sam tajemniczy sposób zmienił się Kittson. Zgrubiały mu rysy twarzy, a orli nos przypominał teraz kartofel i poczerwieniał. Rozstaw oczu wydawał się zbyt mały, a chód był ociężały i chwiejny.

Nie poszli w kierunku lombardu, tylko w przeciwnym. Okrążyli szyb wentylacyjny i wyszli tylnymi drzwiami na parking. Stała tu furgonetka z napisem: BRACIA RANDEL — NAPRAWY RTV.

— Umiesz prowadzić samochód? — zapytał Kittson. Blake przytaknął.

— To wsiadaj za kierownicę. Hoyt powie ci, dokąd jechać. Po tych słowach wysoki mężczyzna wśliznął się jak piskorz do ciasnej przestrzeni bagażowej.

— Wyjedź na ulicę i skręć w prawo.

Blake ostrożnie dojechał do wylotu wąskiego zaułka.

— Tej jednej drogi ucieczki nie odkryli — odezwał się Hoyt, gdy włączyli się do ruchu.

— Umysł chroniony tarczą pół przecznicy za nami — dobiegło z tyłu.

Hoyt spróbował się obejrzeć.

— Na wszelki wypadek pojedziemy na okrągło. Siedzą nam na ogonie, Mark?

— Tak. Ale nie mogę zlokalizować samochodu. Za duży tłok na jezdni.

Blake dziwił się, dlaczego nie czuje niepokoju. Albo w obecności tamtych tracił zdolności pozazmysłowe, albo po prostu nie było powodu do obaw.

— Zielony wóz dostawczy — poinformował Kittson. — Ale skręca w ostatnią przecznicę za nami.

Hoyt spojrzał na Blake'a.

— Co ci mówi przecucie? Czekają nas kłopoty?

— Na ile potrafisz przewidzieć, to nie.

— Tamten zielony furgon mógł przywieźć następną zmianę do śledzenia naszej pustej mysiej dziury — powiedział w zamyśleniu Hoyt. — Dla bezpieczeństwa podsunie im fałszywy trop. Skręć za najbliższy róg, Walker, a potem przejedź prosto pięć przecznic aż do promu.

— Dochodzi trzecia — uprzedził Kittson.

— Prom płynie na drugą stronę jakieś pięć minut. Polecimy na skróty wzdłuż magazynów i wyskoczmy na autostradę przy Pierce i Walnut. Wrócimy do miasta mostem Franklina. Stracimy około czterdziestu minut, ale to najlepszy sposób, żeby zgubić ogon.

— No dobra... — zgodził się z rezygnacją Kittson. Na promie zamienili się za kierownicą. Hoyt lepiej prowadził i dobrze znał drogę. Przywiózł ich z powrotem do miasta

w trzydzieści pięć minut.

Z zatłoczonej dzielnicy biurowców wjechali do mieszkalnej. Wysokie domy z piaskowca otaczały park ogrodzony żelaznym parkanem. Pół wieku temu musiały tu być eleganckie apartamenty. Teraz w wielu dolnych oknach wisiały tabliczki POKOJE DO WYNAJĘCIA, a kilka budynków przerobiono na sklepy. Hoyt zaparkował przy rogu ulicy. Strome schody pod półkolistą markizą prowadziły do płytkiego podziemia. Migający neon nad wejściem obwieszczał światu, że mieści się tu lokal o nazwie „Kryształowy Ptak”.

Zapadał wczesny, zimowy zmierzch. W powietrzu zaczęły wirować duże płatki śniegu. Blake nie zauważył w polu widzenia ani jednego pojazdu czy przechodnia. Hoyt wyłączył silnik, ale nie ruszył się. Siedział, jakby nasłuchiwał. Potem odezwał się prawie szeptem.

— Dwóch z tarczami w klubie. Ale dom jest chyba czysty.

— Tak — zgodził się niewidoczny Kittson.

Wygramolił się ze swojego miejsca, a Hoyt zwrócił się do Blake'a.

— Przesiądź się za kierownicę i bądź gotów do szybkiego odjazdu.

Kittson podszedł i wyjął komiks z kieszeni.

— Udawaj, że czytasz, i miej oczy otwarte.

Blake wyciągnął się na siedzeniu. Patrzył znad komiksu, jak dwaj agenci podchodzą do drzwi. Przywitała ich kobieta o wyglądzie prostytutki.

Wzdłuż ulicy rozbłysło więcej świateł; w domach z pokojami do wynajęcia bledsze, w sklepach jaśniejsze. Pojawili się przechodnie. Jakiś mężczyzna z gołą głową — mimo śniegu i wiatru — zbiegł szybko po schodach do lokalu. Widocznie spieszył się na umówione spotkanie. Blake zastanawiał się, jakie myśli można by wyczytać z umysłów przechodniów.

Nagle wyraźnie wyczuł niebezpieczeństwo! Przytłaczało go, dusiło. Nie doznał takiego wstrząsu od czasu spotkania z obcą osobowością. Zaciśnął palce na kierownicy i rozejrzał się. Skąd nadeszło ostrzeżenie?

W budynku mieszczącym klub nie zauważył nic podejrzanego. Neon błyskał jak przedtem, w oknach powyżej paliło się światło. Popatrzył wolno w głąb ulicy. Przyglądał się każdemu domowi. Ani samochodów, ani ludzi... Zaraz!

Po drugiej stronie placu, przed sklepem zatrzymał się wóz dostawczy. Zielony!

Hoyt kazał mu zostać na posterunku. Ale właśnie stamtąd nadeszło ostrzeżenie. Jeśli wysiądzie i zrobi krok lub dwa...

Tylko rosące napięcie trzymało go na miejscu. Pod wpływem impulsu uruchomił silnik. Znowu spojrzął na klub. Zza rogu budynku wyłonił się wysoki cień. Biegł w jego kierunku. Za nim drugi. Ten z tyłu przystanął obok śmietnika. Uniósł pokrywę i pogrzebał we wnętrzu. Pierwszy dopadł furgonetki i wskoczył do środka. Blake zwiększył obroty. Mężczyzna przy śmietniku wepchnął coś pod kurtkę i w kilku susach pokonał odległość do samochodu.

Kiedy Hoyt wsiadł, Blake ostrzegł. — Zielony wóz dostawczy! Tam, po prawej! Ruszyli. Hoyt wychylił się, gdy przejeżdżali obok. — „Denise”. Suknie... — przeczytał głośno. — Widocznie przebranie Pranja to dwa metry jedwabiu i damski pasek. Możliwe...

Ale Blake'a bez reszty pochłaniało prowadzenie i poczucie zagrożenia.

— W prawo! — warknął Hoyt.

Skreśli w następną ulicę pełną starych domów. W świetle latarni wirowały tumany śniegu. — W lewo... Tutaj!

Blake automatycznie wykonywał polecenia. Z tyłu furgonetki, gdzie ukrył się Kittson, nie dochodziły żadne dźwięki. Skreśli jeszcze kilka razy i wyjechali na szeroką aleję biegnącą wzdłuż granicy wielkiego parku, który dzielił miasto na dwie części. — Wjedź do parku. Zamienimy się miejscami. Blake wydostał się z gęstniejącego ruchu; zaczęły się powroty do domów. Zatrzymał samochód za drzewami i krzakami. Nie docierały tu światła miasta. Przesiedli się.

Pojechali dalej. Kluczyli szerszymi i węższymi alejkami. W końcu stanęli na żuźlowym parkingu przy nieczynnym letnim teatrze z restauracją.

— Wsiadamy!

Blake postawił nogę na ziemi w momencie, gdy Kittson zatrząskiwiał tylne drzwi. Agent odwrócił się plecami.

— Chodźmy!

— Dokąd?

— Wyjdziemy z parku przy Sto Czternastej Ulicy. Przetniesz szeroką aleję i zaczekasz na przeciwległym rogu na autobus linii 58. Pojedziesz do dzielnicy mieszkalnej. Po czterdziestu minutach wysiądziesz przy Mount Union. Dojdziesz do pierwszej ulicy. To będzie Patroon Place. Wejdiesz tylnymi drzwiami do trzeciego



domu. Ma podwórze ogrodzone murem. Zapukasz dwa razy. Wszystko jasne?

— Tak.

Podczas spaceru nie zamienili ani słowa. Po wyjściu z parku dwaj agenci oddalili się bez pożegnania. Po chwili zniknęli w tłumie.

Blake poszedł na przystanek. Czekająca tam już spora grupka. Okazało się, że autobusy numer 58 chodzą rzadko, i musiał jechać w strasznym tłoku. Wielkie śródmiejskie budynki wkrótce ustąpiły miejsca prywatnym domom z podjazdami.

Na rogu Mount Union zobaczył duży, jasno oświetlony *drugstore*, prawdziwy supermarket w swoim rodzaju. Ale odcinek, który miał przejść, tonął w ciemnościach; latarnie stały daleko od siebie. Pierwsza ulica to Patroon Place... Policzył domy.

Pod numerem trzecim paliło się światło w oknach. Brama była otwarta, na wjeździe widniały świeże ślady opon. Wokół panowała cisza. Kiedy skierował się do tylnych drzwi, wiatr syknął mu śniegiem w oczy. Zapukał zgodnie z instrukcją. Erskine wpuścił go do jasnego, ciepłego wnętrza.

Blake znalazł w sypialni na piętrze własne ubrania. Nie miał pojęcia, jak tu trafiły. Ogrzał się, przebrał i wszedł do małego pokoju z ciężkimi, dziewiętnastowiecznymi meblami. Hoyt siedział rozwalony w masywnym fotelu.

Z dziecinnym uśmiechem obserwował malutkiego czarnego kotka, który zajadał drobno posiekane surowe mięso. Wskazał Blake'owi zwierzątko.

— Przedstawiam ci Panienkę. Ma apetyt, co?

Kotka poruszyła ogonkiem jakby na powitanie, ale nie przestała jeść. Łapczywie połykała skrawki wołowiny.

— Zabrał ją pan z tamtego śmietnika? Uśmiech zniknął z twarzy Hoyta.

— Ktoś ją związał i wpakował do worka, żeby zamarzła.

Kotka zwinęła się w kłębek i czyściła łapką pyszczek. Przerwała, popatrzyła na Hoyta i wskoczyła mu na kolana. Wyprężyła się i zamruczała z zadowolenia.

— Może nam pomóc. — Hoyt podrapał ją za uszami. — Ten poziom nie zdaje sobie sprawy z możliwości własnych zasobów naturalnych. Z kotami, psami i niektórymi ptakami można nawiązać kontakt umysłowy. Tak, Panienka może się przydać... — Uśmiechnął się złowrogo. — Tym bardziej że Pranj nie cierpi kotów. Nie zdziwiłbym się, gdyby to z jego rozkazu Panienka została dziś wyrzucona na ulicę.

Kotka zapadła w drzemkę. W pokoju zapanowała atmosfera ciepła i spokoju.

Kiedy Blake obudził się następnego ranka, za oknem padał śnieg. Na dworze rosły zasy. Czwartek. Liczył dni od początku tej zwariowanej przygody. Miał wrażenie, iż minęło ich więcej.

Garaż był otwarty. Odsnieżoną ścieżką oddalały się od domu dwie sylwetki. Erskine i Saxton. Wsiedli do samochodu i odjechali.

Blake nie spieszył się. Wolno szedł po schodach, zastanawiając się, do kogo należy ten dom. Mieli dwie służące, pokojówkę i kucharkę. Kto zaprosił tu agentów i po co?

Kittson stał samotnie w małej jadalni i patrzył w okno. Kotka bawiła się na parapecie; próbowała łapać płatki śniegu za szybą. Radio zapowiadało dalsze obfite opady. Informowało, że służby miejskie z trudem radzą sobie z odsnieżaniem głównych ulic. Obecną sytuację porównywano z nagłym atakiem zimy sprzed pięciu lat, gdy życie zostało sparaliżowane na dwa dni.

— Coraz gorzej — odezwał się Blake.

Agent tylko chrząknął. Blake domyślił się, że Kittson jest w transie i musi się skoncentrować. Czyżby odbierał jakieś sygnały albo wiadomości na falach dostępnych jedynie dla niego i jego kolegów?

Do pokoju wszedł Hoyt. Miał ramiona białe od śniegu. Wziął kotkę na ręce.

— Trochę dalej stąd już zrezygnowali z odsnieżania bocznych ulic.

Kittson zaczął spacerować między oknem i fotelem.

— Jeśli utkniemy tu przez pogodę, to Pranj też.

Hoyt wzruszył ramionami i usiadł. Zajął się kotką. Gdyby Blake nie widział na własne oczy tego, co nastąpiło, nigdy by w to nie uwierzył. Zawsze słyszał, że kotów nie można wytresować, bo mają wrodzoną niezależność i nie słuchają rozkazów. Tymczasem wielki mężczyzna nawiązał kontakt z kłębkim czarnej sierści. Kotka przyglądała mu się wytrzeszczonymi oczami, biegała po pokoju lub wspinała się na meble albo chwytając pyszczkiem kawałek papieru i przynosiła swojemu panu niczym pies. Ale szybko się zmęczyła i Hoyt pozwolił jej odpocząć.

Wczesnym popołudniem Blake postanowił wyjść. Obaj agenci pograżyli się w transie; być może uczestniczyli na odległość w jakiejś akcji. Nudziło mu się i miał do nich żal, że został jakby celowo odsunięty.

Przy tylnych drzwiach spotkał kucharkę.

— Da pan radę dojść do *drugstore*'u? — zapytała nieoczekiwanie. — Agnes znów boli głowa. Bez swoich kropli do końca dnia będzie do niczego. Głupio zrobiła, że czekała do ostatniej chwili, żeby wykupić receptę. — Kobieta trzymała w dłoni kartkę.

— Chętnie to załatwię — zapewnił Blake i wyszedł w zamieć.

W sklepie panował nastrój jak w dni wolne od pracy. Robotnicy drogowi popijali kawę i wymieniali dobre i złe nowiny z klientami, którym udało się tu dotrzeć. Blake czekał na zrealizowanie recepty i słuchał rozmów. Wrócił do rzeczywistości, do prawdziwego życia. Od trzech dni tkwił w nierealnym świecie niczym ze snu.

Jak można wierzyć w istnienie różnych światów? W przestępców uciekających z jednego poziomu na drugi? W esperów, którzy potrafią przewrócić życie do góry nogami? Jeśli ma trochę zdrowego rozsądku, powinien natychmiast wynieść się jak najdalej od domu przy Patroon Place i od Kittsona. Zrobiłby to, gdyby nie wątpił, że mu się uda. Ale nie zdoła się uwolnić od tych mocy. Świat rzeczywisty, świat nierealny... Wpadł w pułapkę.

A jednak od rana buntował się przeciwko temu. Podejrzewał, że jest takim samym narzędziem, jak kotka w rękach Hoyta. Wykorzystają go do czegoś i odsuną na bok, kiedy przestanie być potrzebny. Przypominało mu to stosunek rodziców do dziecka i wywoływało niechęć i żal.

Czy tę urazę rozbudzał i podsyczał jakiś czynnik zewnętrzny? Przygotowywano go do czegoś? Może do zabicia kogoś?

Na dworze poszarzało; zapadał zmierzch. Co kilka kroków otrzępywał się ze śniegu. Przed sobą zobaczył znajomą sylwetkę. Szczupły mężczyzna, szybki chód... Erskine!

Oczyszczoną jezdnią wolno nadjeżdżał samochód. Blake nagle zrozumiał. Niebezpieczeństwo! Coś grozi Erskine'owi! Rzucił się naprzód i krzyknął. Ale tamten szedł skulony i wśród zamieci nie zauważył go ani nie usłyszał.

Samochód podjechał do Erskine'a z tyłu. Dwie ciemne postacie wyskoczyły na ulicę i podbiegły do niego. Blake poślizgnął się na oblodzonym chodniku. Próbował złapać równowagę, gdy poczuł gwałtowny ból pod czaszką. Ogarnęła go ciemność.

Pulsowało mu w głowie. Nie mógł sobie przypomnieć, co się stało. Usta miał zakneblowane szmatą i zaklejone taśmą, a ręce i nogi związane. Wokół było ciemno. Szarpnął się, ale więzy nie puściły. Porywacze znali się na swojej robocie. Chciał się przekręcić na bok i wtedy odkrył, że nie może się ruszyć. Kolanami niemal dotykał brody. Wpakowali go do jakiejś ciasnej skrzyni!

Erskine! Czy jego też uwięzili? Mimo zdolności pozazmysłowych esperzy nie potrafili wszystkiego. Kittsonowi nie udało się uciec przed typem z tarczą w hotelu „Shelbourne”. A jednak Blake żałował, że nie ma chociaż jednej z ich zdolności. Gdyby mógł nawiązać teraz kontakt z Erskine'em! Jego własny system ostrzegawczy nadal działał, ale ostatnio odzywał się tak często, że już się przyzwyczaił do niemal ciągłego niepokoju.

Porywacze nie zabili go, więc jest im do czegoś potrzebny. Jakim cudem tak szybko wpadli na właściwy trop? A może chodziło im o Erskine'a, a on wyłudował tu tylko przez przypadek? Ciekawe, kiedy Kittson i Hoyt odkryją, co zaszło, i uwolnią go? (Blake'owi nawet nie przyszło do głowy, że mogą nie kiwnąć palcem w jego obronie). Czy tajemniczy „nasłuch” dostarczy im informacji o tym nieszczęściu?

Nie ma sensu zadawać sobie pytań, na które nie sposób odpowiedzieć. Lepiej

skoncentrować się na tym, co można zrobić. W tej chwili... nic.

Blake zorientował się, że dokądś jadą. Nie wiedział, jak długo trwała podróż, ale nagle pojazd stanął. Skrzynia pomknęła do przodu i przewróciła się. Poczł ból i usłyszał przytłumione głosy.

Ciepło... Więcej głosów... I coś jeszcze... Zapach perfum. Blake próbował zebrać fakty. Zielony wóz dostawczy, sklep z damskimi ubraniami na wprost „Kryształowego Ptaka”...

Zdrętwiały mu ręce i nogi. Pokręcił głową. Dostrzegł smugę światła. Ktoś cicho rozmawiał.

Kiedy go wypuszczą, będzie zbyt zeszywniały, by stawiać opór. Ale... Pranj to esper. A kto pochodzi stamtąd, gdzie owe zdolności są czymś normalnym, uważa się za lepszego od tych, co ich nie posiadają. Świadomie lub nie.

Podobnie było z agentami, choć okoliczności zmuszały ich do prowadzenia życia zwykłych obywateli światów bez psi. Dzięki treningowi wyzbyli się świadomej wyższości nad innymi. Ale Pranj nie ma powodu ukrywać swych talentów. Może wiara we własne zdolności zaślepia go i nie docenia przeciwników, z wyjątkiem wrogów ze swojego świata?

Mimo bólu głowy Blake zmusił się do trzeźwej oceny sytuacji. Czym właściwie dysponuje? Jedną zdolnością psi. Przeczuwa niebezpieczeństwo i chroni go silna bariera psychiczna. To niewiele przeciw całemu arsenałowi niewidzialnych broni Pranja. Ale podczas pierwszego spotkania z przestępcą bariera wytrzymała. A jeśli taki atak się powtórzy? Czy udałoby mu się zbudować na tej barierze fałszywe wspomnienia na użytek przeciwnika?

Jego ciało pozostawało w bezruchu, lecz umysł pracował na najwyższych obrotach. Gorączkowo rozważał tę możliwość. Szkoda, że tak mało wie. Czy zdołałby przekonać Pranja, że jest tylko postronną osobą? Po wprowadzeniu kilku zmian mógłby powiedzieć prawdę i jego historia brzmiałaby wiarygodnie.

Myślał, że ma do czynienia ze zwykłymi agentami FBI, którzy ścigają pospolitego przestępcę. Nadal tak sądzi, bo dlaczego nie? Może to wystarczyłoby Pranjowi i uznałby go za nieszkodliwego.

Blake miał zaledwie mgliste wyobrażenie tego, co zamierza osiągnąć, ale energicznie zabrał się do pracy. Przypominał sobie szczegóły z przeszłości. Życie w swoim mieście, potem przyjazd tutaj na studia... To wszystko prawda, można łatwo sprawdzić. W hotelu usłyszał dźwięk... Teraz musiał sobie wmówić, że pamięta, jak brzmiał. Pomógł Kittsonowi uwolnić się od napastnika. Kittson pokazał legitymację. Kazali mu przyłączyć się do nich... Bezlitośnie dławił rzeczywiste wspomnienia fałszywymi. O wizycie w sklepie Beneirsa, wtorkowym ataku i opowieściach agentów trzeba zapomnieć. Kiedy Blake stoczył w swoim umyśle tę dziwną walkę, zdumiał się. Brutalne eksperymenty na własnym wnętrzu dały mu nową umiejętność głębszego wnikania w istotę rzeczy.

Na zewnątrz zgasło światło. Blake na moment wpadł w panikę. Zostawia go tutaj? Już ledwo oddychał i stracił czucie w zdrętwiałych kończynach. Ile jeszcze wytrzyma?

Przestał się bać, gdy dzięki nowej zdolności wnikliwej oceny sytuacji uświadomił sobie, że strach jest prawidłową reakcją. I za sprawą telepatii przeciwnik może się dowiedzieć, że się przeraził. A to świadczy o jego niewinności.

Od chwili uwięzienia Blake przebył daleką, nieznaną drogę. Wcześniej nawet nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Przeżyty wstrząs dokonał w nim przemiany. Już nie był tym samym człowiekiem, którego schwytano na zaśnieżonej ulicy. I wiedział, że dawny Blake Walker odszedł na zawsze.

Ktoś znów zapalił światło. Rozległy się ciężkie kroki. Czyjeś ręce oderwały wieko

skrzyni. Bezbronny, skulony Blake zmrużył oczy przed blaskiem. Wyciągnięto go na zewnątrz i rzucono na podłogę. Dostał kopniaka i spojrzął na dwóch mężczyzn. Żaden nie przypominał Pranja. Zdziwił się i przestraszył.

— Taaa... to jeden z nich. W końcu się ocknął — powiedział wyższy.

— Przecież ci mówiłem, że był z nimi. — Niższy wypluł przeżutą zapałkę. — Co z nim zrobimy?

— Weźmiemy go do szefa. Zdejmij mu sznur z nóg. Nie będziemy go taszczyć.

Niższy wyjął nóż sprężynowy i rozciął więzy na kostkach Blake'a. Kiedy zobaczył, że więzień patrzy na niego, wyszczerzył spróchniałe zęby i groźnie machnął ostrzem. Blake uchylił się i prześladowcy wybuchnęli śmiechem.

— Bądź grzeczny, koleś, bo Kratz przetnie ci nie tylko sznur — ostrzegł wyższy.

— Jasne — przytaknął niższy. — Jestem dobry w te klocki. Mogę cię delikatnie skaleczyć albo tak chlasnąć kosą, że nikt cię potem nie pozna. Lepiej się o to nie proś, kapujesz?

Podnieśli Blake'a i przydusili do ściany. Dokuczliwe zdrętwienie nóg zastąpił ból towarzyszący przywróconemu krążeniu krwi. Do pomieszczenia wszedł trzeci mężczyzna. Miał ciemną, okrutną twarz. Dziwnie wykrzywione usta odsłaniały dwa ostre zęby.

— Zabierzcie go na dół! — rozkazał.

— Robi się, Scappa.

Nowy poszedł przodem. Dwaj pozostali powlekli Blake'a jego śladem. Przebyli ciemny korytarz i schody. W podłodze widniał otwór zejścia. Scappa szedł pierwszy, za nim Kratz. Potem wciągnęli tam więźnia. Blake upadł i omal nie stracił przytomności przy twardym lądowaniu. Ale nie dali mu spokoju. Wysoki dołączył do reszty i poderwał go do góry.

Przeszli do następnej piwnicy i rzucili Blake'a na krzesło. Uderzył związanymi rękami w oparcie i jęknął z bólu. Wysoki przywiązał go tak, że nie mógł się ruszyć. Scappa pokazał kciukiem za siebie.

— Wynocha!

Blake zauważył, że ludzie Scappy wynieśli się z ochotą. Wdrapali się na drewniane schody i zniknęli. Scappa rozłożył na stopniu chusteczkę, usiadł i zapalił papierosa. Przypominał widza w teatrze, który niecierpliwie czeka na podniesienie kurtyny.

Nastąpił atak. Ale nie było to gwałtowne wbicie sondy jak poprzednio. Blake czuł wolno rosnącą presję, jakby tym razem przeciwnik zamierzał rozprawić się z nim na dobre.

Blake skupił się na starannie wybranych wspomnieniach. Bez trudu dodał do nich uzalenie się nad sobą. Dlaczego został wciągnięty do tej rozgrywki? Pod naciskiem przeciwnika stopniowo ujawnił spotkanie z Kittsonem i późniejsze zdarzenia.

Już nie widział piwnicy i Scappy. Patrzył w głąb siebie. Musiał kontrolować nawet swój strach, żeby nie zagroził ścianie fałszywych wspomnień. Intruz nie mógł się dowiedzieć, że Blake odgrodził się murem!

Blake nie wiedział, na którą stronę przechyla się szala zwycięstwa. Wygrywa czy przegrywa? Sondy były coraz ostrzejsze, sięgały coraz głębiej. Jakby umysł, który je zapuszczał, niecierpliwiał się. Zmęczony Blake uparcie trzymał się swojej historii. Osobliwe, milczące przesłuchanie trwało.

Wreszcie tamten wycofał się. Blake drżał. Znów czuł się splugawiony aktem przemocy. Ale tliła się w nim isierka nadziei. Szturm na barierę nie był tak silny, jak się obawiał. Czy Pranj uznał go za zwykłego, niewinnego człowieka z tego świata, który padł ofiarą oszustwa agentów? Ocknął się, gdy głowa podskoczyła mu od wymierzonego policzka. Przez czerwoną mgłę dojrzał sadystycznie wykrzywioną twarz Scappy.

— Zabrać tego śmiecia!  
Po rozklekotanych schodach zbiegł z łoskotem wysoki, za nim Kratz.  
— Co mamy z nim zrobić? — zapytał nożownik.  
— A jak myślisz? Zamknijcie go razem z tym drugim. Można o nim zapomnieć.  
— Jasne. — Wysoki pociągnął za sznury, którymi związano więźnia. — Wycisnął pan coś z niego, szefie?  
Scappa przestał się uśmiechać.  
— Nie twój interes. Zabierajcie go!  
— Dobra, już się robi... — mruknął potulnie wysoki.  
Wypchnął Blake'a z piwnicy. W połowie korytarza przystanął. Kratz oświetlił latarką metalowe drzwi. Odciągnął rygle i popchnięty Blake wpadł do środka.  
— Poproś kumpla z celi, żeby cię rozwiązał, palancie!  
Blake potknął się i przewrócił. Tylko dzięki taśmie trzymającej knebel nie otarł sobie skóry na twarzy. Odwrócił głowę. Drzwi zatrzasnęły się.  
Otoczyła go ciemność i zapadła cisza. Nie mógł wstać. Może dopełznąć do ściany, oprzeć się o nią plecami i podnieść centymetr po centymetrze? Na razie nie miał siły. Spocone ciało przenikał chłód kamiennej podłogi.  
Wtrącili go do jakiegoś grobowca? Ma tu umrzeć? Nie związali mu z powrotem kostek, ale ręce pozostawili skrepowane. Rusz się! Wstawaj! To na nic... Jest zbyt zmęczony.  
Blake zamarł. Coś usłyszał. Jakiś ruch. Drugi więzień?  
— Kto... Kto tu jest? — padło z ciemności. Próbował przegryźć knebel i odezwać się.  
— Dlaczego nie odpowiadasz? — przynaglił przestraszony głos. — Powiedz coś! Ktoś się zbliżał.  
Erskine? Niemożliwe! Blake nie wierzył, żeby agent mógł się kiedykolwiek bać tak jak ten człowiek. Podchodził z wahaniem i przystawał co krok. W końcu potknął się o kolano Blake'a i runął z wraskiem. Przywalony jego ciałem Blake stracił oddech. Błysnął płomyk i rozległ się okrzyk. Palce tamtego natrafiły na knebel, brutalnie oderwały taśmę i wyciągnęły mu szmatę z ust.  
Blake poruszył językiem. Jeszcze nigdy nie chciało mu się tak pić jak teraz.  
— Kim jesteś? — zapytał obcy. — Dlaczego cię tu zamknęli?  
— Żeby się mnie pozbyć — wyszeptał Blake. — Rozwiążesz mi ręce?  
Tamten bezceremonialnie przewrócił go na brzuch i zdjął więzy.  
— Długo tu jesteś? — spytał Blake.  
— Nie wiem! — odparł mężczyzna z nutą hysterii w głosie. — Dostałem w łeb i obudziłem się tutaj. — Kurczowo złapał Blake'a za ramię. — Ale stąd może być drugie wyjście! Coś mówili...  
Z pomocą obcego Blake stanął na nogach.  
— Pójdziemy wzdłuż ściany — powiedział tamten. — Zostało mi tylko pięć zapalek, a na środku jest duża dziura.  
Zmusił Blake'a do wędrówki przy murze.  
— Drugie wyjście? — upewnił się Blake.  
— Tak mówili, zanim mnie tu wrzucili. Coś ich ubawiło, śmiali się. Jakoś podejrzanie. Ale lepiej spróbować niż siedzieć tutaj.  
— Powoli — uprzedził po chwili.  
Blake nie potrafiłby powiedzieć, jak długo posuwali się centymetr po centymetrze. Przekonał się tylko, że piwnica jest duża. Nagle obcy odezwał się z podnieceniem.  
— Odkryłem tę rzecz tuż przed tym, jak cię tu wepchnęli.  
Włóż na to!  
Blake napotkał na swojej drodze niewielkie podwyższenie. Przykłęknął na

podłozie i wyciągnął rękę. Dotknął gładkiej, niemal śliskiej powierzchni. Metalowa płyta? Wspiął się na nią.

— Wymacałem, że coś z tego wystaje — pochwalił się jego towarzysz. — Jakiś drog. Jakby go wyrwać, mielibyśmy łom. Kilka kamieni w ścianie jest obluzowanych. Pomóż mi, może się uda...

Blake stęzał. Każdym nerwem i mięśniem wyczuwał zagrożenie.

— Nie...!

Zdażył wymówić tylko jedno słowo. Płyta zatrzęsała się i zwała go z nóg. W zielonej poświacie zobaczył ciemną postać. Dzielila z nim małą platformę i zaciskała dłonie na dźwigni wystającej z metalowej powierzchni.

Promieniowaniu towarzyszyło wirowanie, kołysanie i szarpnięcia. Blake nie wiedział, czy kręci mu się w głowie, czy też tratwa naprawdę wiruje. Niewielka powierzchnia, na której przycupnęli, wydawała się jedynym bezpiecznym miejscem w nagle oszalałym świecie.

Kiedy wzrok Blake'a przywykł do zielonego, przyćmionego światła, dostrzegł ściany. O ile to były ściany; kłębiły się niczym gęsty dym. Z czterech stron otaczał ich zielony blask, a dalej rozciągał się zupełny chaos.

Rozbłyskiwały jasne światła, ale zaraz przesłaniały je ciemne plamy. W pewnej chwili nakrył ich stożek zimnego, upiornego błękitu i wciągnął w rozległą przestrzeń. Przed oczami Blake'a migały różne widoki. Nie śmiał wierzyć, że są prawdziwe. Mijały ich dziwne pojazdy. Kilka razy platforma znalazła się wśród wiejskiego krajobrazu, kiedy indziej na polu bitwy. Wokół wybuchały pociski i eksplozje miotały tratwą. Dwaj ogłuszeni pasażerowie musieli się dobrze trzymać, żeby nie spaść.

Towarzysz Blake'a wrzeszczał ze strachu i chował głowę w ramiona. Ale ani na moment nie wypuszczał z rąk dźwigni. Blake zaczął pełznąć w jego stronę. Ten drążek z pewnością steruje ich niewiarygodną podróżą. Jeśli kiedykolwiek mają się zatrzymać, tamten musi go puścić. Transporter wibrował i żył własnym życiem. A na zewnątrz zielonej bańki pojawiły się i znikwały wciąż nowe, dziwaczne sceny. Blake doczołgał się do mężczyzny i pociągnął go za ramię. Bez skutku. Przerażony człowiek tak mocno zaciskał dłonie na drążku, że Blake nie mógł rozerwać jego chwytu. W końcu udało mu się oderwać kolejno wszystkie palce nieznanego.

Uwolniona dźwignia odskoczyła. Tratwa zawirowała i zakołysała się. Blake upadł i uderzył się w głowę. Cienie umykające na zewnątrz zielonej poświaty stężały.

Obce palce przeorały mu boleśnie twarz.

— Obudź się! Obudź się!

— Co...?

Blake zobaczył prawdziwe światło. Było nieruchome i łagodniejsze niż znane mu elektryczne oświetlenie. Pochylał się nad nim drobny, wychudzony mężczyzna. Na wytrzeszczone oczy opadał mu kosmyk ciemnych, zmierzwionych włosów. Patrzył na Blake'a dzikim wzrokiem i szarpał go, próbując podnieść.

— Ocknij się, do cholery! — W kącikach jego ust pojawiła się piana. Prawie krzyczał: — Gdzie my jesteśmy? Powiedz, gdzie jesteśmy?

Blake wstał i rozejrzał się. Wciąż tkwili na metalowej platformie, ale już nie w podziemnym więzieniu Scappy. Znaleźli się w dużym pomieszczeniu o ścianach z rdzawoczerwonych cegieł. Kafle na podłodze miały ten sam kolor. Światło padało z sufitu. Wzdłuż trzech ścian stały długie stoły. Przedmioty na blatach kojarzyły się Blake'owi z laboratorium. W górę prowadziły schody.

Podszedł do krawędzi platformy. Mężczyzna spróbował złapać go za rękę.

— Nie schodź!

Blake zrobił unik i odwrócił się.

— Dopóki nie poruszysz dźwignią, zostaniemy tutaj. Chcę się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

Przychodziło mu do głowy tylko jedno logiczne, rozsądne wytłumaczenie: odbyli podróż na inny poziom.

Mężczyzna spozrywał na drążek niczym na wycelowany w siebie miotacz ognia. Blake uznał, że może mu zaufać — nie dotknie dźwigni.

Zeskoczył z platformy. Nie zdziwiłby się, gdyby w tym momencie dziwne



laboratorium okazało się tylko iluzją i zniknęło.

Postąpił krok naprzód. Nic się nie zmieniło. Pod stopami nadal czuł twardą podłogę, tak rzeczywistą, jak jeszcze niedawno chodnik w mieście. Usłyszał cichy odgłos spadających kropli. Z rury nad zlewem kapła woda.

Woda! Rzucił się przed siebie. Musiał przytrzymać się stołu, żeby nie stracić równowagi. Wyciągnął rękę. Płyn obmywał jego brudną dłoń i spływał między palcami. Blake zobaczył na ścianie rząd przycisków. Miał takie pragnienie, że zapomniał o ostrożności. Wcisnął pierwszy z prawej. Z rury popłynął ciepły strumień.

Na brzegu zlewu stał czysty suchy kubek. Blake nappełnił go szybko i łąpczywie wypił letnią wodę. Umył opuchnięte ręce i podstawił pod kran zaczerwienione od więzów nadgarstki. Zmoczył twarz. Podrażnione miejsca wokół ust i otarcia na policzkach zaszczypały.

— Gdzie my jesteśmy?

Obejrzał się. Mężczyzna podszedł do krawędzi platformy i rozglądał się. Ciekawość walczyła w nim ze strachem. Blake dopiero teraz zauważył, że jest młodszy, niż początkowo ocenił. Mógł być jego rówieśnikiem. Miał na sobie poszarpany sweter i brudne, sztruksowe spodnie. Dawno się nie strzygł. Ręce latały mu nerwowo i co chwilę obciągał ubranie, odgarniał z czoła włosy albo pocierał brodę.

— Wiem tyle co ty — warknął Blake.

Facet nie wyglądał groźnie. W zasadzie Blake nie miał ochoty na bliższą z nim znajomość. Ale ponieważ odbyli tę dziwną podróż razem, łączyły ich teraz niewidzialne, choć niepewne więzy.

— Jestem Lefty Connors — przedstawił się nagle mężczyzna. — Rozprowadzam towar dla Wielkiego Johna Torforty. — Przyglądał się Blake'owi zmrużonymi oczami, jakby chciał sprawdzić, jaki efekt wywoła to oświadczenie.

— Blake Walker. Porwał mnie Scappa. Lefty wzdrygnął się.

— Mnie też. Podobno kręciłem się po jego terenie. Tamten wysoki typ przyłożył mi w łeb i ocknąłem się w piwnicy. Dla kogo pracujesz?

— Dla nikogo. Byłem z ludźmi z FBI. Scappa widocznie chciał ze mnie wydusić, co o nich wiem.

Lefty wytrzeszczył oczy.

— Nie gadaj?! Federalni chodzą za Scappa?! Ale numer! Wielki John nieźle by zapłacił, żeby to usłyszeć. — Rozejrzał się. — Ale najpierw musimy stąd prysnąć. Tylko gdzie my jesteśmy?

Blake wskazał platformę.

— Dostaliśmy się tu, bo pociągnąłeś za drążek.

— Nie chrzań! — zdenerwował się Lefty. — Mówiłem ci, że obszedłem cały loch, gdzie nas wrzucili. Nie było tam takiej piwnicy jak ta!

— Więc jak to wszystko wytłumaczysz? — uciszył go skutecznie Blake. Na razie nie zamierzał zdradzać własnej wersji wydarzeń. Bez wątplenia wpadł w ręce ludzi Pranja, który właśnie w ten sposób przemieszczał się na inne poziomy czasu. Najwyraźniej uwięziono ich w „punkcie kontaktowym” jego świata. Ruch dźwignią przeniósł ich przez szereg następnych poziomów. Dlatego po drodze widzieli tyle dziwnych rzeczy.

Ale ile może wyjawić swemu towarzyszowi niedoli? Jeśli jakimś cudem wrócą do własnego świata, wszystko, co mu powie, będzie przeczyło jego ignorancji.

Postanowił trzymać język za zębami. Przynajmniej na razie.

— Mówiłeś o jakiejś dziurze na środku — przypomniał. Zaskoczony Lefty spojrział na sufit.

— Myślisz, że ta platforma to coś w rodzaju windy, i że zjechaliśmy na dół?

Blake wzruszył ramionami.

— Kto wie? Ale w każdym razie wydostaliśmy się z piwnicy.

Lefty rozpromienił się.

— No jasne! I nigdzie nie ma tamtych typów. Może zobaczymy, co jest na górze tych schodów? Rany, niech tylko stąd wyjdę! Wielki John wyłoży niezłą kasę, jak mu wszystko opowiem. Co oni tu mogą robić? Jak myślisz? — Uspokoił się i skupił całą uwagę na otoczeniu.

— To wygląda na laboratorium.

— Takie, gdzie robią bomby atomowe? Rany! Więc dlatego federalni chcą dorwać Scappę? Może lepiej stąd spadajmy, i to szybko!

Blake miał ochotę zbadać teren. Był tak samo zaciekawiony jak Lefty. Ale czy warto ryzykować i oddalać się od platformy? To jedyny łącznik z ich własnym światem. Lefty poczynił sobie coraz pewniej. Wszedł na schody. Blake zawahał się.

— Rusz się, człowieku! — dobiegł go niecierpliwy szept. Wspiął się niechętnie za Leftym.

Z krótkiego korytarza prowadziły w górę następne schody. Ale Lefty zatrzymał się przy szeroko uchylonych drzwiach.

— To chyba jakiś sklep... — mruknął niepewnie. ‘

Na półkach pod ścianami stały małe pudełka i słoiki. W przyćmionym świetle nie mogli dostrzec nic więcej. Blake wszedł do środka.

Nie zauważył kontuarów. Większość wolnej przestrzeni zajmowały stoliki i krzeselka. Restauracja? Kawiarnia?

Przeszedł na palcach przez salę. Może szerokie drzwi od frontu wychodzą na ulicę? Pchnął je lekko... Tak, ulica!

W wąskim zaułku tu i ówdzie zalegał brudny śnieg. W blasku dziwnych lamp umieszczonych na niskich budynkach miał niebieskawą barwę. Obce miasto...

Lefty pociągnął go za ramię.

— Schowaj się! Chcesz, żeby wypatrzył cię jakiś glina? Oskarżają nas o włam!

Blake przyznał mu w duchu rację i zamknął drzwi. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Ale musi się dowiedzieć, gdzie są. Tylko trzeba to rozegrać powoli i ostrożnie, żeby Lefty zbyt szybko się nie połapał.

Gdyby zdobył gazetę lub jakąś inną wskazówkę... Blake odwrócił się i zdjął z półki pięknie wykonany słoiczek ze stożkową pokrywką zakończoną uchwytem w kształcie malutkiej głowy. Przysunął go do światła. Uśmiechnięta twarz ohydneho diabła przypominała chimere w masce voodoo. Odstawił słoiczek i przyjrzał się następnym.

Wszystkie były zapieczętowane i bez nalepek, ale różniły się główkami na pokrywkach. Zapewne one wskazywały klientom zawartość. Obok rzędów rogatych diabłów ciągnęły się szeregi zębatach wilkołaków. Blake odetchnął z ulgą na widok realistycznie przedstawionych sów. Odnalazł jeszcze inne demony oraz parę zwierząt i ptaków.

— Ciekawe, co w nich jest? — zastanawiał się głośno Lefty. Bał się dotknąć słoiczków; spacerował wzdłuż półek i oglądał je z daleka.

— Trudno powiedzieć.

Dlaczego otoczenie przestało niepokoić Lefty'ego? Nie jest chyba aż tak głupi, żeby nie zdawać sobie sprawy, że są w niezwykłym miejscu?

Lefty przystanął nagle.

— Wiem! To taki salon piękności, gdzie bogatym facetkom sprzedają towar prosto z Paryża.

— Możliwe — odrzekł bez przekonania Blake. Wątpił, by jakaś kobieta chciała kupić kosmetyk z przerażającą podobizną potwora.

Lefty wskazał frontowe drzwi.

— No dobra... Tędy nie wyjdziemy. Założę się, że zaraz zwałiłaby się tu połowa chłopaków z najbliższej komendy. Zawsze mają na oku takie eleganckie miejsca. Chodź, obejrzymy resztę.

Wyszedł na korytarz i wspiął się na schody. Blake wolałby raczej pójść do platformy. Skoro dostali się tu na niej, powinni też na niej wrócić. Może czas powiedzieć Lefty'emu prawdę? Jednak coś go wciąż ostrzegało, żeby się wstrzymał.

Schody doprowadziły ich do następnego korytarza. Był dłuższy niż ten piętro niżej. Blake domyślił się, że sklep zajmuje tylko część budynku. W nikłym, niebieskim świetle, padającym zza gzymsu, naliczył pięćdziesiąt zamkniętych drzwi bez klamek. Lefty ze zdumieniem obejrzał pierwsze.

— Dlaczego nie ma klamki?

— Może są przesuwane — podesunął Blake, ale nie spieszyło mu się, żeby to sprawdzić. Gdyby przypadkiem trafił na mieszkańca innego poziomu, nie mógłby wyjaśnić, kim jest i co tu robi w środku nocy. Wzdrygnął się na myśl o odwrotnej sytuacji. Wyobraził sobie podróżnika zabłąkanego w czasie, który nagle zjawia się w jego świecie. Jak przybysz wytłumaczyłby się przed domownikami i policją?

Ale Lefty nie miał takich zmartwień. Pchnął pierwsze drzwi. Nie ustąpiły, więc spróbował otworzyć drugie, potem trzecie.

— Co jest, do jasnej...?!— Ostatnie drzwi odsunęły się, zanim zdążył ich dotknąć.

Pułapka? Bardzo możliwe. Lefty bał się wejść w ciemność. Ktoś ich oczekuje? Nieważne. Blake miał ochotę pobiec co sił w nogach do platformy. Lefty niezdecydowanie kiwał się przed drzwiami. Ciekawość zmagająca się w nim z ostrożnością.

W końcu przestąpił próg i przeraźliwie wrzasnął. Rozbłysło światło. Fotokomórka? Blake nie znał się na tym, ale tak podejrzewał. Zajrzał do środka ponad ramieniem Lefty'ego i zobaczył pokój. Fotele, dywan, stół, ozdoby na ścianach... Sprzęty nieznacznie różniły się stylem. Panował tu idealny porządek, jakby od pewnego czasu nikt niczego nie używał. Zatem są tu sami. To dodało Blake'owi odwagi. Przepchnął się obok swego przestraszonego towarzysza.

Puszysty dywan bardziej przypominał prawdziwe futro niż sztuczne włókno. Podobnie miękkie poduszki półokrągłych foteli z jasnoszarego drewna. Światło padało z cienkiej rury biegnącej wzdłuż ścian tuż pod sufitem. Za prostokątami z nieprzezroczystego tworzywa kryły się zapewne okna. Między nimi i nad długą futrzaną kanapą wisały maski. Wyglądały jak żywe, choć Blake wątpił, by zastępowały czyjeś portrety. Patrzyły na niego wyolbrzymionymi oczami z błyszczących kamieni. Ich surowy, niemal groźny wyraz zniechęcił go do bliższych oględzin. Jeśli jednak kogoś przedstawiały, raczej wolałby nie spotkać oryginałów. W skrzywieniu ust i we wzroku czaiło się okrucieństwo i obcość.

Półkę, zajmującą całą długość jednej ściany, wypełniały książki w drewnianych oprawkach koloru mebli. Na lewo od Blake'a było dwoje otwartych drzwi.

Widząc, że Blake'owi nic nie zagraża, Lefty podeszedł bliżej. Rozejrzał się z zainteresowaniem. Salon wywarł na nim duże wrażenie.

— Rany! To jest melina!

Dotknął poduszki najbliższego fotela.

— Futro! A co to za gęby na ścianach? Mieszka tu jakiś łowca głów czy jak? — Własne domysły tak go ubawiły, że wybuchnął śmiechem. Spoważniał, kiedy bliżej przyjrzał się maskom.

— To jakieś świrowate miejsce. Nie pasuje mi.

Z sąsiednich pomieszczeń nie dochodziły żadne odgłosy. Gdyby ktoś tu mieszkał, z pewnością już by się pojawił. Blake utwierdził się w przekonaniu, że są sami w

apartamencie. Jego wewnętrzny system ostrzegawczy milczał; nie wyczuwał niebezpieczeństwa.

Wszedł do drugiego pokoju. Światło znów zapaliło się samo, gdy tylko przestąpił próg. Zobaczył sypialnię. Narożnik zajmowało niskie szerokie łóżko. Przypominało koję. Było przykryte błyszczącą wyszywaną narzutą. Wśród haftów mieniły się klejnoty. Na podłodze leżał biały miękki dywan. Przy ścianie stała hebanowa skrzynia ozdobiona czerwonymi i złotymi motywami liści. Nad nią wisiało lustro w srebrnej ramie.

Blake spojrzął na odbicie swojej brudnej twarzy. Wyglądał teraz jak zakazany typ. Dobrze, że nie natknął się na żadnego miejscowego. Ale znów odniósł wrażenie, że apartament jest od dawna niezamieszkały.

— Rany! — powtórzył swoje ulubione słowo Lefty. — Meta pierwsza klasa! Nie to co speluna Wielkiego Johna!

W Blake'u odezwał się artysta. Z przyjemnością obejrzałby dokładnie drogie kamienie na narzucie i resztę skarbów. Ale czas naglił; lepiej nie przeciągać struny. Trzeba wrócić do laboratorium i spróbować uruchomić platformę. Muszą z powrotem przenieść się do własnego świata. Nawet, gdyby znów mieli wylądować jako więźniowie w piwnicy Scappy. Coś mówiło Blake'owi, że tutaj mogą ich czekać gorsze rzeczy. Maski wstrząsnęły nim bardziej, niż gotów był się przyznać przed samym sobą.

— Lepiej wracajmy... — zaczął.

— Gdzie? — przerwał mu Lefty. — Jasne, że musimy stąd spadać, ale jak?

Blake nie zdążył mu nic wyjaśnić. W tym momencie rozległ się cichy gong. Pierwszy dźwięk, jaki tu usłyszeli.

Na ścianie obok drzwi mieszkania znajdowała się okrągła płyta podobna do iluminatora na statku. Jej szary kolor zniknął i błysnęła trzy razy. Zaczęły się na niej formować jakieś wzory. Lefty wrzasnął i rzucił się do wyjścia. Wybiegł na korytarz.

Blake nie ruszył się. Patrzył na pojawiające się rzędy liter. Nie znał tego pisma, ale coś mu przypominało. Gdzieś już widział podobne zakrętasy. Ocknął się i zobaczył zasuwające się drzwi. Zamknęły się i odcięły go od Lefty'ego. Uderzył w nie ramieniem. Na próżno.

Walił w drzwi pięściami i wołał do Lefty'ego, żeby podszedł do nich. Może się otworzą. Ale nawet jeśli tamten jeszcze nie uciekł, i tak nie reagował. Blake znalazł się w pułapce.

Tymczasem płyta zgasła i pismo zniknęło. Pogodził się z tym, że jest uwięziony. Nie wierzył, że Lefty go uwolni. Popęłnił błąd, nie wyjawiając mu prawdy o ich podróży. Lefty będzie się starał opuścić budynek. Jeśli mu się uda, wzbudzi podejrzliwość pierwszego napotkanego tubylca. Im bardziej oddali się od platformy, tym pewniejsze, że go złapią.

Blake ocenił, że jest wczesny poranek. Niedługo ktoś pojawi się w sklepie na dole, a do laboratorium przyjdą pracownicy. Zostało mu niewiele czasu. Musi się stąd wydostać!

W sypialni odkrył drugie drzwi na korytarz, ale nie dały się otworzyć. Znalazł też nieco dziwnie wyposażoną kuchnię. Na jej widok poczuł głód. Przez moment miał ochotę poszukać jedzenia, ale zdrowy rozsądek przestrzegł go przed tym.

Jedyna droga ucieczki wiodła przez okno. Przy mocowaniu się z panelem maskującym złamał dwa paznokcie, ale pokonał przeszkodę. Pozostała tylko szyba. Szkło? Nie. Tworzywo wybrzuszyło się pod naciskiem palców. Kiedy uporał się z drugą barierą, poczuł typowe miejskie zapachy. I kilka nowych.

Szczęście nadal mu sprzyjało. Około półtora metra poniżej ciągnął się występ muru, a pod nim dach wysuniętego parteru budynku. Gdyby wydostał się na zewnątrz...

Musiał zdjąć marynarkę, żeby zmieścić się ciasnym otworze. Przez chwilę stał na występie i trząsał się, potem zeskoczył na dach. Niebieskawe lampy uliczne były daleko, ale zobaczył to i owo. Niewiele domów miało więcej niż cztery lub pięć pięter. Nie zauważył ani jednego wieżowca.

Spojrzał w ciemność pod sobą. Dziedziniec albo podwórze. Zawahał się. Jeśli znajdzie się na dole, może nie zdoła już wejść z powrotem. Straci szansę dotarcia do platformy.

Po nocnym niebie sunęły majestatycznie dwie pomarańczowe kule. Zataczały krąg nad miastem. Samolot? Powiódł za nimi wzrokiem. Wtedy w jego budynku rozbłysło światło.

Przy końcu ściany zobaczył jasny kwadrat okna. Wydało mu się otwarte. Gdyby dostał się tamtędy do środka...

Wspiął się z powrotem na występ muru i zaczął się posuwać w kierunku światła. Może Lefty znalazł następny pokój? Z jego pomocą łatwiej byłoby tam wejść. Tym razem Blake powiedziałby mu prawdę i wróciliby razem na platformy.

Jednak wrodzona ostrożność kazała Blake'owi zachować czujność. Podkraść się do okna, zajrzał do środka i... zeszywniał.

Lefty rzeczywiście tam był. Tyle że bardzo się zmienił. Czuł się jak u siebie w domu. Z wystraszoną drobnym kombinatorem, który towarzyszył Blake'owi w ucieczce z podziemnego więzienia, łączyło go tylko powierzchowne podobieństwo.

Nerwowość, wytrzeszczone oczy i grymas ust zniknęły. Spokojna, pociągła twarz wyrażała teraz siłę. Gładko zaczesane do tyłu włosy odsłaniały wysokie czoło. Na zaciśniętych wargach błąkał się dziwny uśmiech. Siedział w półokrągłym fotelu i obracał w palcach cygaro. Czeką na coś? Mieszka tutaj? Lefty?!

Jedyna możliwa odpowiedź poraziła Blake'a. To nie Lefty! Nie ten żaloszny nieszczęśnik, przy którym uważał się za lepszego. Podobno tylko Pranj wie o światach na innych poziomach. Zatem mimo różnic w wyglądzie ten cherlawy człowieczek to Pranj! Zamaskował się tak dobrze, że nie wzbudził podejrzeń Blake'a.

Nie wylądowali w tym świecie przez przypadek. Pranj zna ten poziom, ma tu kontakty i bazę wypadową. Wyciągnie od Blake'a informacje i pozbędzie się go. A na razie jest pewien, że jego nieświadoma ofiara czeka w zamknięciu.

Blake zacisnął pięści. Do diabła! Nie poradzi sobie z groźnym przestępcą o zdolnościach espera. Musi się wycofać i spróbować dotrzeć do platformy, zanim Pranj odkryje, że się uwolnił.

Z ulicy dobiegł jakiś odgłos. Blake przesunął się o dwa kroki i spojrział w dół. Przed budynkiem zatrzymał się jajowaty pojazd. Otworzyła się kłapa, wysiedli trzej mężczyźni i weszli do domu. Blake pospiesznie wrócił do okna.

Na okrągłej płycie na ścianie wyświetliła się wiadomość. Pranj wstał i wcisnął guzik pod jej obramowaniem. Po chwili w pokoju zjawili się trzej mężczyźni.

Blake przyglądał się im z zainteresowaniem. Wszyscy byli wysocy i muskularni. Nosili obcisłe bryczesy, sznurowane buty do kolan i kaftany na klamry związane od pasa po szyję. Kaftany dwóch miały złote i srebrne naszytki oraz klamry i pasy wysadzone drogimi kamieniami. Klejnoty zdobiły również rękawice i gardy sztyletów. Trzeci mężczyzna wyróżniał się krótką purpurową peleryną na ramionach. Stał przy drzwiach jak służący.

Cała trójka miała ciemną skórę i osobiście wygolone głowy: od czoła po kark biegły tylko dwa cienkie pasy włosów. Dwaj mężczyźni usiedli bez zaproszenia. Wyglądali na aroganckich i nie znoszących sprzeciwu. Zapewne należeli do miejscowej arystokracji lub klasy rządzącej.

Blake domyślił się, że goście przybyli na naradę. Zatem Pranj nie powinien na razie zwracać sobie nim głowy. Musiał to wykorzystać.

Ale powrót do zamkniętego apartamentu nic by mu nie dał. Pozostawały drzwi od ulicy, którymi weszli mężczyźni. Zeskoczył na dach parteru i podbiegł do krawędzi. Na dole nie było nikogo. To jedyna szansa.

Wylądował tak ciężko, że aż stęknął. Miał nadzieję, że w jajowatym pojeździe nikt nie został. Bez przeszkód dopadł zamkniętych drzwi i napał na nie.

Ustąpiły pod naciskiem i wsunęły się w ścianę. Blake nie wierzył własnemu szczęściu. Lecz kiedy przestąpił próg, natychmiast się zasunęły i przycięły mu marynarkę. Próbował ją wyszarpnąć, ale bez skutku. Po raz drugi musiał ją zdjąć. Jednak teraz już jej nie odzyskał; pozostała w drzwiach i wskazywała drogę jego ucieczki.

Tym bardziej powinien się spieszyć. Dobiegł do podnóża schodów, przystanął i przez chwilę nasłuchiwał. Z góry nie dochodził żaden dźwięk. Popędził drugimi schodami w dół i wpadł do laboratorium. Nic się tu nie zmieniło; platforma nadal stała pośrodku. Blake przypomniał sobie, że nie ma broni. Jeśli z powrotem wyląduje u Scappy, będzie mu potrzebna.

Szybko przebiegł wzdłuż stołów. Przydałaby się choćby pałka. .. Jest młotek. Kiedy po niego sięgał, zauważył coś lepszego. Sztylet! Podobny do tych, które nosili goście Pranja. Dziesięciocalowa klinga była ostra jak brzytwa. Wsunął broń za pasek. Potem zabrał jeszcze jeden łup: mały słoiczek z podobizną diabła na pokrywce. Schował go za flanelową koszulę. Może posłuży do zlokalizowania tutejszej bazy Pranja, jeżeli jeszcze kiedykolwiek zobaczy się z agentami?

Blake wgramolił się na platformę i ujął dźwignię. Dopiero teraz zauważył na niej kilka drobnych nacięć. Zmierzył kciukiem jej położenie. W chwili lądowania była na pewno na ostatnim rowku. Następny musiał oznaczać miejsce, skąd uciekł Pranj — świat agentów. Może podróż na ten poziom to niezły pomysł? Tamtejsi mieszkańcy nie zażądają wyjaśnień i odniosą się z sympatią do jego poczynań. Wystarczy zameldować się agentom. Jeszcze raz policzył nacięcia. Piąte... szóste... Czy wybrać najwyższe?

W budynku rozległ się krzyk. Blake drgnął. Niech będzie pierwszy rowek... Pociągnął dźwignię. Nic. Obrócił ją. Nic. Na schodach zadudniły kroki. Następny okrzyk. Tym razem pełen tryumfu. Pewnie znaleźli jego marynarkę!

Blake rozpaczliwie szarpał drążek. W końcu padł na platformę, by sprawdzić, skąd wystaje. Blokada! Jasne!

Kroki zbliżały się. Blake dźgnął zapadkę ostrym czubkiem sztyletu. Sprężyna

puściła. Chwycił oburącz dźwignię i spojrział w górę.

Prześladowcy zbiegali ze schodów gęsiego. Pościg prowadził „służący” w czerwonej pelerynie. Na końcu podążał Pranj. Przypominał dowódcę, który wyprowadza armię z kwatery głównej na głębokie tyły. Na zmienionej twarzy „Lefty’ego” malowała się furia.

Mężczyzna w pelerynie uniósł jakąś rurę i spojrział wzdłuż niej, jakby celował z karabinu. Blake nie miał chwili do stracenia. Na chybił trafił pchnął dźwignię do przodu. W tym momencie coś uderzyło go w ramię i lewa ręka opadła mu bezwładnie.

Usłyszał znajomy szum i platformę otoczyła kula zielonej poświaty. Trzej miejscowi rozdziawili usta. Pranj patrzył z bezsilną wściekłością. Miał minę człowieka, który nie docenił przeciwnika i przegrał. Blake poczuł satysfakcję. Może dzięki niemu Pranj utknie w tym świecie na zawsze?

Laboratorium zniknęło i Blake rozpoczął denerwującą podróż przez światło i ciemność. Leżał na platformie ze zdrową ręką pod głową. Bezwładne ramię wyciągnął wzdłuż tułowia. Był zadowolony, że może odpocząć i zdać się na maszynę, której działania nie rozumiał.

Światła, ciemność, światła, ciemność... Niebieska mgła. Światła. Ciemność. Platforma przestała drżeć. Podróż zakończyła się w ciemności. Blake’a ogarnęło znużenie i zasnął.

Obudził się zeszywniały z zimna. Na jego rękę padał błydy promień światła. Słońce? Skąd się wzięło?

Uniósł się z trudem i podparł na prawym łokciu. Poruszył lewym ramieniem. W piersi i plecach poczuł taki ból, że z jego wyschniętych ust wyrwał się słaby krzyk. Kiedy rozjaśniło mu się w głowie, rozejrzał się ze zgrozą. Myślał, że jest wolny, a tymczasem...

W każdym razie nie wylądował w piwnicy, z której uciekł poprzedniej nocy. Zaraz... Czy to było zaledwie wczoraj? Nieważne, czas już nie miał znaczenia. Usiadł zgarbiony, oparł ranne ramię na kolanach i popatrzył ponuro wokół.

Dookoła wznosiły się ściany z surowych kamiennych bloków o nieregularnych kształtach. Dopasowano je do siebie z taką precyzją, że nie zauważył żadnej szpary. Czyżby platforma opadła na dno wyschniętej studni?

Mniej więcej dwa metry nad sobą zobaczył wyłom w murze i słońce. Może uda się tamtędy wyjść? Wstał i zakręciło mu się w głowie. Platforma zakołysała się pod nim. Spoczywała na stercie poczerńiałego gruzu. Wystawała stamtąd zwęglona belka. Przyjrzał się ścianom. Nosiły stare ślady pożaru. Ogień musiał strawić budowlę dawno temu, bo kiedy kopnął belkę, rozsypała się w proch.

To z pewnością nie piwnica Scappy. Ani świat, z którego uciekł Pranj. Chyba że założył bazę w rumach z dala od osiedli swoich ziomków.

W Blake’a wstąpiła nikła nadzieja. Ruszył wzdłuż okrągłego muru. Zapadał się po kostki w spopieliałych szczątkach. Nie znalazł żadnego otworu. Wejście musiało być na górze.

Spojrział na wyłom. Miał wystarczającą szerokość, by się w nim zmieścić. Ale czy zdoła się, podciągnąć jedną ręką, to już inna sprawa.

Usiadł z powrotem na platformie. Żołądek bolał go z głodu i dokuczalo mu pragnienie. Oblizwał suchym językiem spieczone wargi. Musi coś zjeść i wypić. Co robić? Znow na ślepo powierzyć swój los maszynie w nadziei, że tym razem przeniesie go do własnego świata lub do świata agentów? A może lepiej pozostać tutaj i zbadać okolicę?

Jeśli Pranj ma bazy na całej trasie zaprogramowanej dla platformy, Blake wpadnie w tarapaty, gdziekolwiek wyląduje. Przypomniał sobie również ostrzeżenia agentów o poziomach, na które boją się zapuszczać nawet wyszkoleni specjaliści. Są światy

radioaktywne oraz takie, gdzie ludzkość wybrała inne i bardziej szaleńcze sposoby na przetrwanie.

Wśród ruin panowała cisza i spokój. Wyglądały na opuszczone. Odpocznie, pozbiera myśli i ułoży jakiś plan. Ale najpierw... Wzdrygnął się z zimna, gdy poczuł powiew wiatru. Trzeba się ogrzać i zdobyć pożywienie.

Podszedł do ściany. O dziwo, jakoś udało mu się podciągnąć i wdrapać na górę. Trząsał się z osłabienia i zmęczenia, lecz w końcu stanął na ziemi po drugiej stronie. Rozejrzał się nieprzytomnie.

Pod stopami miał chodnik. Miejscami wiatr zwiewał z niego śnieg, gdzie indziej rozciągały się zasy. Tworzyły się u podnóży wież i nagich karłowatych drzew. Nie wyglądało to na ulicę w cywilizowanym świecie. Blake stał na okrągłym brukowanym placu. Między kamieniami rosły kępki pożółkłej, suchej trawy i chwasty. Było oczywiste, że od dawna nikt tędy nie chodził.

Blake przykłęknął i zaczerpnął garść śniegu. Przyłożył do ust zgrabiące palce i zaczął lizać. Nie spuszczał oka z wież, drzew i linii krzewów. Nie dostrzegł na śniegu śladów ludzi ani zwierząt. Oprócz świstu wiatru w ruinach budowli nie słyszał żadnego dźwięku.

Z wysiłkiem wyrwał kilka kępek trawy ze zmarzniętej ziemi. Potem podszedł do drzew i pozbierał na wpół spróchniałe patyki, które pozostały z opadłych gałęzi. Musiał rozpalić ogień.

Na szczęście miał w kieszeni zapałki. Przyłożył jedną do stosu. Uśmiechnął się na widok pełzającego płomienia. Nie był zupełnie bezradny w roli Robinsona Crusoe.

Ognisko zapłonęło na dobre. Z przyjemnością grzał sine ręce. Ciepło powoli przenikało jego ciało i częściowo wróciło mu czucie w lewym ramieniu. Ale kiedy nim poruszył, przeszył go ból. Nie zauważył jednak krwi ani śladu po pocisku.

Niezdarnie rozpiął koszulę i poszukał rany postrzałowej. Pod obojczykiem widniała tylko czerwona plama podobna do oparzenia. Na razie nie mógł nic na to poradzić.

Zapiął koszulę i przyjrzał się uważnie okolicy. Żadnych domów, same zrujnowane wieże. W polu widzenia naliczył co najmniej dziesięć. Nie tworzyły regularnych ulic jak w zwykłym mieście. Nie miały drzwi i okien czy choćby wąskich szczelin strzelniczych, zatem jedyna droga do środka prowadziła górą. Niedostępne twierdze obronne? A jednak tę, z której wyszedł, zdobyto i spalono.

Widocznie tutejsi mieszkańcy żyli kiedyś w stanie ciągłego oblężenia. W końcu ich miasto padło ofiarą wroga.

A najeźdźcy? Zniszczyli je i wycofali się? Nic nie wskazywało na próby odbudowy wież.

Blake znów zlizął śnieg z dłoni. Przydałoby się coś zjeść. Na tym odludziu pewnie nie brakuje królików i ptaków. Nigdy nie polował i wątpił, by jedną ręką wiele zdziałał. Ale ma ogień i nóż. A skoro od dawna nie powstała tu noga człowieka, wśród ruin powinna grasować drobna zwierzyna. Z pewnością nie jest płochliwa i da się łatwo podejść. Wykopał butem przymarznięte kamienie odpowiedniej wielkości. Jeśli ktoś potrafi celnie rzucać piłką baseballową, tym bardziej trafi w królika.

Dołożył do ognia i ruszył ścieżką ku jednej z dalszych wież. Jej przepołowiona korona przypominała dwa wielkie zęby wrzynające się w poranne niebo.

Wśród budowli hulał wiatr. Zawodził i huczał, wciskając się w wyłomy murów i wpadając do mrocznych czeluści wież. Blake dwukrotnie krył się, bo wycie wichru zabrzmiało jak ludzki krzyk. Ale nikogo nie dostrzegł.

Wypatrzył natomiast ślady gołębia na śniegu, a u stóp następnej wieży odciski małych łapek. Nie potrafił jednak rozpoznać, jakie zwierzę je zostawiło. Wiedział jedno: każde stworzenie to mięso. Poszedł świeżym tropem.



Dotarł do wieży ze zwaloną połową ściany. Zapach stęchlizny oznaczał, że coś się tu zagnieździło. Ale bardziej zainteresowało go coś innego.

W środku leżał duży kawał muru. Musiał runąć stosunkowo niedawno i odsłonił wnętrze dawnego spichlerzyka. Blake'a ogłuszył nagle trzepot skrzydeł; na jego widok wzbilo się w powietrze stado gołębi i innych ptaków. Przed kamiennym schowkiem wznosiły się kopczyki wysypanego ziarna. Blake trafił na przynętę, o jakiej nawet nie marzył. Wiedział, że ptaki tu wrócą. Wziął garść ziarna i wepchnął do ust. Potem cofnął się pod ścianę. Żuł pokarm i czekał.

Nie mylił się; pierwsze wróciły gołębie. Blake przywiązał kilka małych kamieni do przeciwnych rogów chusteczki do nosa. Wybrał białego, tłustego ptaka dziobiącego rozsypane pożywienie...

Godzinę później wypróżnił się w śnieg. Pieczone mięso bez soli nie należało do najsmaczniejszych potraw pod słońcem. Na języku pozostał mu mdły smak gumowatego ziarna. Ale zaspokoił głód. I nie tylko to.

Czuł satysfakcję. Agenci wciągnęli go do rozgrywki z Pranjem i dał się oszukać przestępcy. A jednak uciekł mu. I poradził sobie tutaj bez przygotowania i żadnych narzędzi. Nie marzył i nie głodował. Wszystko zawdzięczał wyłącznie sobie. Jakie to krzepiące.

Co doprowadziło do upadku tego miasta? Z pewnością wojna. Ale jaka? Kto walczył z kim? Czy ludzie z wież należeli do jego rasy? Otoczyli ich barbarzyńcy, którzy nie zamierzali wykorzystać zwycięstwa? Tak padł ostatni bastion cywilizacji w tym świecie? Blake'a zżerała ciekawość. Jakże pragnął dowiedzieć się. Odruchowo sięgnął po drewno, ale wstrzymał się. Po co dorzucać do ognia? Trzeba wrócić do platformy i spróbować...

Zesztywniał. Z przerażenia zapomniał o sztylcie za paskiem. Wśród wściekłego wycia wichru nic nie usłyszał. Tymczasem z krzaków wypełzło coś o błyszczących ślepiach, w których odbijał się blask płomieni.

Skradała się ku niemu smocza poczwara z germańskich podań ludowych, uosobienie koszmaru. Mierzyła ponad dwa metry długości, miała wieloprzegubowy tułów i mnóstwo nóg. Pękaty łeb wielkości jednej trzeciej cielska był pozbawiony pyska i nozdrzy, z przodu żarzyły się tylko szkliste ślepia.

Blake cofał się krok po kroku, a stwór ostrożnie podążał naprzód. Albo zwabił go jedynie blask ognia, albo człowiek. Powolne, lecz zwinne ruchy wskazywały, że atak może być trudny do odparcia.

Blake przywarł plecami do ściany wieży i poczuł przeraźliwy ból w lewym ramieniu. Ale dzięki temu ocknął się i wyciągnął sztylet. Poczwara zatrzymała się przed ogniskiem i wpatrywała w płomień jak urzeczona.

Blake wziął głęboki oddech i przyjrzał się jej. Każdy segment srebrzystoszarego tułowia chronił pancerz jak u żuka. Cielsko wyginało się łatwo niczym u gąsienicy. Na razie stwór nie interesował się nim i Blake nie wiedział, czy jest niebezpieczny. Skoro ogień tak go zahipnotyzował, może uciec do platformy?

Okrągły łeb odwrócił się. Potwór zdawał się nasłuchiwać. Ale Blake słyszał tylko zawodzenie wiatru. I nagle odezwał się jego system ostrzegawczy. Wcześniej nie uprzedził go o zbliżaniu się poczwary, lecz teraz...

Za późno na wdrapywanie się na mur z jedną bezwładną ręką; stwór mógłby go ściągnąć z powrotem. Poczwara zaczęła okrążać ognisko. Nagle spod jej stóp usunął się gruz i omal nie straciła równowagi. Gdy zawadziła bokiem o kamienny blok, rozległ się metaliczny dźwięk. Metal!

Szybko ominęła przeszkodę, jakby rozdrażniona niemłą przygodą, i dotarła do Blake'a. Zwinęła się u jego stóp, uniosła łeb i wlepiła w niego ślepia pozbawione wyrazu i oznak życia. Przypominały szklane kule. Szkło?

Blake był tak pochłonięty obserwacją poczwary, że nie zauważył dotąd postaci, która podążała bezszelestnie jej śladem. Podniósł głowę dopiero, gdy poczuł fetor. Najpierw gąsienica-smok, teraz wilkołak! Wygląd pasował do opisu z dziecinnych bajek.

Owłosiona postać mogłaby mieć ciało jaśniejsze niż Blake, gdyby nie brud; teraz miało szary odcień. Nie wyglądała do końca jak zwierzę, choć Blake wolałby ją tak sklasyfikować. Na biodrach nosiła rodzaj kiltu z wystrzępionych niegarbowanych skór przewiązanego rzemieniem. Poruszała się zgarbiona w półprzysiadzie i strąki włosów częściowo zasłaniały otepiałą ze zgrozy twarz. Ale najgorsze, że była kobietą!

Poczwara ani drgnęła, jakby pilnowała Blake'a na rozkaz.

Wiedźma przykucnęła przy ognisku. Nagle uniosła głowę i spojrzała ponad płomieniami na Blake'a. Oczy pozbawione dotąd wyrazu jak u jej psa-gąsienicy ożywiły się. Zmieniła się w dzikiego, drapieżnego myśliwego. Ściągnęła wąskie wargi i odsłoniła ostre zęby, przypominające wilcze lub lwie kły. Pod łuskowatą, pokrytą brodawkami skórą napięły się mocne mięśnie. Wolno wyciągnęła ręce zakończone długimi, ostrymi pazurami.

— Nie! — wrzasnął Blake. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że to zrobił, dopóki jego głos nie odbił się echem w czeluściach wież.

Okrzyk strachu widocznie przełamał ostatnie opory wiedźmy. Zawyla, jakby rzucała wyzwanie, i po raz pierwszy wyprostowała się na całą wysokość. Żyłaste, umięśnione ciało wyglądało na przerażająco silne. Blake zeszywniał. Wyglodniała dzika bestia zaraz skoczy mu do gardła!

Ale poczwara była szybsza. Rozwinęła się, poderwała i rzuciła naprzód. Spod jej

brzucha wystrzeliły macki. Oplotły Blake'a i przygwoździły do ściany. Dotknięcie macek parzyło. Metal! Na wysokości wzroku zobaczył ślepią. Sztuczne! To nie jest żywa istota!

Czuł się tak bezbronny i bezsilny, jak w rękach ludzi Scappy. Ale mechaniczna gąsienica nie zamierzała go zmiażdżyć. Trzymała go tylko i czekała na rozkaz.

Wiedźma znów zawyła. Rzuciła wyzwania albo przywoływała inne stwory. Blake zadrżał i spróbował się uwolnić. Bez skutku; tylko zabołało go ramię. Wzdrgał się na myśl o dotyku dzikiej bestii, ale ona zbliżała się nieubłaganie. Wtem coś trzasnęło niczym nadeptnięty patyk. W owłosionej piersi wiedźmy utkwiała jasnoniebieska strzała. Dzikuska zatoczyła się i wrzasnęła kilka razy. Z jej ust buchnęła krew. Upadła na plecy i skończyła w drgawkach.

Poczwarą nie rozluźniła chwytu. Nawet nie odwróciła łba, żeby popatrzeć na śmierć swojej pani — o ile taka była zależność między nimi. Nadal przypierała Blake'a do muru chłodnym, metalowym ciałem.

Od strony tych samych krzaków, z których wypełzła gąsienica, nadchodziła następna postać. Kroczyła pewnie, jakby dobrze znała otoczenie i niczego się nie obawiała.

Eskimos? Wskazywało na to charakterystyczne ubranie z futer. Ale odrzucony do tyłu kaptur odsłaniał rysy wyspiarza z Mórza Południowych! Gładką twarz zdobił tatuaż. Granatowe kropki i spiralki zgrabnie zastępowały zarost, którym nie obdarzyła go natura.

Polinezyjczyk zatrzymał się obok martwej wiedźmy. Przyglądał się Blake'owi z nieukrywaną ciekawością i nie zwracał najmniejszej uwagi na poczwarę. Potem schylił się, podniósł duży kamień i ominął ognisko. Gąsienica nie poruszyła się. Stała obojętnie jak przyrośnięta do ściany wieży.

Człowiek w futrzanym stroju zamachnął się i rozwalił kamieniem jej czerwone, wylupiane oko. Był tak szybki, że Blake ledwo się połapał, kiedy roztrzaskał drugie. Szkło popękało, ale poczwara nadal trwała w bezruchu. Nie broniła się.

Myśliwy kilkakrotnie szarpnął jedną z macek krępujących Blake'a. W końcu ustąpiła i mechaniczny stwór runął bezwładnie na ziemię. Mężczyzna roześmiał się, nadeptnął go futrzanym butem i poszedł po swoją broń. Wyglądała na kuszę. Położył ją między stopami i uniósł otwarte dłonie na znak pokoju.

Roztrzęsiony Blake szybko odwzajemnił gest. Nieznajomy zapytał o coś melodyjnym głosem. Blake z zalem pokręcił głową. — Nie rozumiem — odpowiedział wolno. Tamten nastawił uszu z tak zaskoczoną miną, jakby obcy język był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Ale nie wyglądał na zaniepokojonego. Wskazał pytająco na ognisko i wzdrgnął się przesadnie. Blake odszedł od ściany, starając się dowieść, że ma dobre zamiary, szerokim gestem zaprosił swego wybawcę do ogrzania się.

Myśliwy usiadł po turecku i wyciągnął ręce do ognia. Rozdygotany Blake przycupnął na kamiennym bloku. Eskimos, Hawajczyk, czy ktokolwiek to był, wydawał się przyjaźnie nastawiony. Ale jak zareaguje, kiedy Blake spróbuje dostać się do platformy? Jeśli wdrapie się na mur, będzie świetnym celem dla kuszy.

Mężczyzna po drugiej stronie ogniska zajął się bronią; dwoma palcami pocierał cięciwę. Uśmiechnął się i coś zagadał, jakby uważał, że Blake go zrozumie. Potem wstał jednym zgrabnym ruchem.

Zanim Blake zdążył zaprotestować, zaczął zasypywać ogień śniegiem. Blake pokręcił głową, ale obcy roześmiał się. Pokazał tłące się jeszcze ognisko i gąsienicę. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że blask może zwabić inne.

Blake nie miał wątpliwości, że poczwara to skomplikowany robot. Tylko dlaczego produkt zaawansowanej technicznie cywilizacji towarzyszył prymitywnej wiedźmie?

Nie pasował ani do dzikuski, ani do cywilizacji, która zbudowała wieże. Z pewnością nie służył myśliwemu, bo inaczej ten by go nie zniszczył. Za dużo tu zagadek. Blake nie mógł się już doczekać powrotu na platformę.

Kiedy ognisko zgasło, mężczyzna podszedł do wiedźmy. Rozłupał jej szczękę i wyciągnął spośród szczątków kości dwa zakrwawione zęby. Przerażony Blake cofnął się pod ścianę wieży. Co za potworny akt barbarzyństwa! Miał ochotę wdrapać się na górę i uciec. Myśliwy wytarł kły bestii o śnieg, obejrzał je i schował trofeum do sakiewki przy pasie.

Skinął ręką, żeby iść za nim. Jego uśmiech już nie wydawał się taki przyjazny. Blake przecząco pokręcił głową. Wiedział, że sztylet to żadna obrona przed kuszą. Ale nie zamierzał dobrowolnie oddalać się od platformy. Kto wie, jakie jeszcze niebezpieczeństwa czyhają w tym świecie?

Uśmiech zniknął z wytatuowanej twarzy. Oczy zwęziły się. Kusza wycelowwała w pierś Blake'a.

Blake pomyślał o niebieskiej strzale w ciele wiedźmy i zniszczonym robocie. Myśliwy załatwił jedno i drugie tak sprawnie, jakby robił to codziennie. Blake mógł być następną ofiarą. Nie opuszczając broni, mężczyzna wskazał głową kierunek.

Silny wiatr nie ustawał. Co gorsza, rozpełtała się zamieć. Blake trząsał się z zimna. Drobnym, zmrożonym śniegiem smagał go przez cienkie ubranie. Ale ruszył przed siebie; nie miał innego wyjścia. Nie potrafił porozumieć się z obcym, a opór byłby bezcelowy. Próba ucieczki pogorszyłaby tylko jego sytuację.

Ominął wygasłe ognisko i martwą wiedźmę. Myśliwy poszedł za nim. Opuścił kuszę, ale trzymał ją w pogotowiu.

Przedzierali się zarośniętą ścieżką przez krzaki. Śnieg gęstniał. Blake starał się zapamiętać drogę i położenie wież, żeby trafić do platformy, gdyby udało mu się uwolnić. Stracił ochotę na zwiedzanie tego świata. Wolałby wrócić do własnego, nawet do więzienia Scappy. Tam przynajmniej mógłby przewidzieć, co mu grozi.

Za zaroślami ciągnął się mocno ubity szlak. Biegł w ziemi na głębokości około trzydziestu centymetrów. Był tak wąski, że umożliwiał jedynie wędrówkę gęsiego. Myśliwy zaczekał, aż Blake zejdzie do płytkiego rowu, i skierował go na północ.

Dróżka wiła się w dół, opadając łagodnym stokiem między wieżami. Dzięki ścianie drzew nie docierał tu wiatr. Skręcili do jednej ze zrujnowanych budowli. Poza kupą gruzu niewiele z niej pozostało. Blake poczuł kwaśno-słodkawy odór bijący z dziury w murze.

Obcy przystanął. Krzyknął cicho i splunął z obrzydzeniem do otworu. Odczepił od pasa małe pudełko. Wręczył je Blake'owi i wydał jakiś niezrozumiały rozkaz. Blake domyślił się, że ma otworzyć pokrywkę.

W środku wyłożonym poczerniałą, wypaloną gliną żarzył się mały, czerwony węgielek. Blake podniósł wzrok na myśliwego. Tamten pokazywał gwałtownie, żeby narwał trawy. Z pewnością chodziło mu o rozpalenie ogniska. Dlaczego akurat tu i teraz, trudno było odgadnąć. Ale wyglądało na to, że ma ważny powód.

Blake rozpałił ogień na otwartej przestrzeni niedaleko nory w ruinach. Mężczyzna nie podszedł bliżej. Wpatrywał się czujnie w wejście do kryjówki. Wyraźnie zamierzał wywabić stamtąd kogoś lub coś. Następną wiedźmę? A może poczwagę?

W zupełnej ciszy Blake usłyszał metaliczne dźwięki. Gąsienica! Rozejrzał się za kamieniem. Teraz już wiedział, jak ją unieszkodliwić.

Ale z czeluści jaskini nie wypełził dwumetrowy potwór. Wybiegły stamtąd jego miniaturki! Całe stadko. Jedna za drugą pędziły do ognia. Mierzyły niewiele ponad dziesięć centymetrów długości. Młode! Tylko jak roboty mogą się rozmnażać?

Myśliwy zastąpił im drogę i rozdeptał jedną gąsienicę. Przywołał gestem Blake'a, żeby się przyłączył. Blake rozgniół kamieniem potworka, podniósł i obejrzał. Nie

mylił się — to maszyny. Z wnętrza wystawał skomplikowany mechanizm. Jeszcze jedna tajemnica tego świata.

Mężczyzna w futrach krążył wokół ogniska i polował na małe stworki. Ale poza czterema zniszczonymi wcześniej nie znalazł więcej. W końcu mruknął coś pod nosem i zaczął zasypywać ogień.

Wyglądał na zadowolonego z siebie. Kiedy popiół przestał dymić, znów skinął na Blake'a. Powędrowali dalej. Szlak oddalał się teraz od wież. Po drodze nie spotkali więcej legowisk metalowych gąsienic i wiedźm. Nie zatrzymali się ani razu.

Doszli do krawędzi wysokiego cypla wrzynającego się w morze o szarej, zimowej barwie. Blake spojrzał w dół. Przy brzegu zalegała kra. Na plażę schodziło się po klamrach. Blake opuszczał się po nich z trudem. Musiał używać lewej ręki i przy każdym ruchu tak go bolała, że na czoło występował mu zimny pot. Ale nie miał wyboru. Zagryzał wargi i schodził.

Na plaży pod ścianą urwiska znajdował się obóz myśliwego. Na piasku, poza zasięgiem fal leżała dziwna łódź ze ściętym dziobem. Miała ramę z lekkiego metalu obciągniętą skórą. Poszycie było posmarowane grubą warstwą lśniącej substancji. Za schronienie służyła nisza w skale i dobudowany do niej szałas. Dwie osoby ledwo mogły się tu poruszać.

Przy ścianach płytkiej groty suszyły się skóry rozpostarte na deskach. Poślanie ze sprężystych, sosnowych gałęzi przykrywały koce utkane z cienkich pasków futra. Cuchnęło tutaj dymem i zwierzęcymi skórąmi, ale zapach ani trochę nie przypominał fetoru bijącego z legowiska w wieży.

Kiedy myśliwy znalazł się na swoich śmieciach, przestał pilnować jeńca. Odłożył kuszę, rozpałił ogień i zaczął przygotowywać posiłek. Blake rozglądał się ciekawie. Obóz stanowił osobliwą mieszaninę prymitywu i cywilizacji. Koce z futer pasowały do barbarzyńców żyjących w lasach, natomiast komplet misek wyprzedzał nawet epokę Blake'a. Cieniutkie, niemal przezroczyste tworzywo przypominało do złudzenia delikatną porcelanę. Ale naczynia nie pękały i nie topiły się, choć stały na gorącym kamieniu w samym środku ogniska.

Myśliwy zrzucił futrzaną kurtkę z kapturem, jakby chciał dowieść, że też jest pełen kontrastów. Pod grubym futrem nosił koszulę z jedwabistego materiału, która tak ściśle opinała ciało, że wydawała się namalowana na skórze. Na ognistoczerwonym tle widniały kropki i spiralki będące kopią tatuażu na jego twarzy.

Z naczynia stojącego w ogniu unosił się smakowity zapach. Blake przełknął ślinę. Zdążył już niemal zapomnieć o gliniastym ziarnie i na wpół surowym gołębiu.

Gospodarz nałożył gulaszu do małej miski. Potem odkorkował róg ozdobiony ornamentami i inkrustacją i napełnił filiżankę bez ucha. Podał ją uroczysto gościowi.

Blake'owi trzęsły się ręce. Musiał użyć obu, by podnieść naczynie do ust. Pociągnął duży łyk. W pierwszej chwili napój miał łagodny smak. Potem zaczął palić gardło i wnętrzności, rozgrzewał całe ciało.

Myśliwy odebrał pustą filiżankę i znów napełnił. Wygłosił jakieś zdanie i wychylił ją duszkiem. Wyjął nóż i zaczął wyjadać z gulaszu skrawki mięsa i nieznanych warzyw. Blake wyciągnął sztylet i poszedł w jego ślady.

Kiedy zaspokoił głód i odpoczywał w ciepłe, zadumał się nad paradoksami tego poziomu. Czy to jedna z baz Pranja, czy też trafił przypadkowo do nieznanego, niezbadanego świata? Jakie wydarzenie historyczne doprowadziło w dalekiej przeszłości do upadku miasta wież i pojawienia się dzikich wiedźm oraz ich mechanicznych gąsienic? Skąd wziął się wyspiarz odziany w filtra?

Wszelkie spekulacje wydawały się zbyt fantastyczne. Chętnie pokazałby ten poziom Saxtonowi i poprosił o logiczne wytłumaczenie. Powieki zaczęły mu ciążyć. Oparł się o brzeg łóżka. Gospodarz groty zabrał się do wyprawiania jednej ze skór.

Blake walczył z sennością, w końcu dał za wygraną.

Łódź na plaży przykryła śnieżna zaspą, przed wejściem do grotty gęsto wirowały białe płatki. Blake podniósł wyżej kaptur futrzanej kurtki, którą myśliwy przykrył go podczas snu. Zastanawiał się, czy to dobry moment na ucieczkę. Zdaży dotrzeć do platformy, zanim obcy go dogoni? Wyszedł kilka minut temu. Blake obserwował go spod przymkniętych powiek, udając, że drzemie.

Ale nie miał ochoty wędrować wśród zamieci. Wmawiał sobie, że nie trafi do wież i zgubi się, a tym samym utraci, być może bezpowrotnie, możliwość wydostania się z tego świata.

W ciągu minionych godzin próbował ustalić, czy Pranj odwiedza ten poziom. Na razie nie zbliżył się do rozwikłania zagadek tego świata i wątpił, że kiedykolwiek je rozwiąże. Ale zdołał jako tako porozumieć się z myśliwym. Nazywał się Pakahini i pochodził z kraju leżącego na zachód od tej wyspy. Przyplłynął tu po futra bardzo cenione przez jego współplemieńców. Z dumą pochwalił się białymi skórami, których Blake nie potrafił rozpoznać. Teraz zbierał sidła i szykował się do powrotu w rodzinne strony.

Jednak na wszystkie pytania o wiedźmy i ich metalowe poczwary odpowiadał wzruszeniem ramion. Blake nie wiedział, czy go nie rozumie, czy też nie chce o tym rozmawiać. Podejrzewał to drugie.

Ku swemu zdumieniu dowiedział się, że Pakahini uważa go za rozbitka z zatopionego statku. Blake skwapliwie przytaknął.

Pomyślał z krzywym uśmiechem, że podróż na platformie można by porównać do fatalnego rejsu. Jego język i strój utwierdziły myśliwego w przekonaniu, że przybył zza morza. Dowodziło to, że Pakahini spotykał już ludzi ze wschodu lub słyszał o nich. O ile Blake'owi odpowiadała rola rozbitka, o tyle wcale nie odpowiadały mu plany myśliwego. Pakahini zamierzał bowiem zabrać go łodzią do swoich. Zbadał dokładnie ubranie i rzeczy osobiste Blake'a i uznał, że musi pokazać współplemieńcom przedstawiciela wysoko cywilizowanego społeczeństwa.

Blake domyślił się, że pragną się wspiać na wyższy szczebel rozwoju. Wszelkie nowe umiejętności mogły im w tym pomóc. To nie oni zbudowali wieże. Pakahiniemu udało się wytłumaczyć, że były już zrujnowane, gdy pierwsze plemiona jego rasy zapuściły się tutaj. Poza tym nigdy nie wznosili kamiennych budowli.

Niestety — długa poranna rozmowa w niczym Blake'owi nie pomogła. Jeśli zostanie w grocie, Pakahini po niego wróci. Zabierze go łodzią na północ i pokaże w swojej wiosce jako myśliwskie trofeum. Amerykanin już się pewnie stamtąd nie wydostanie. Musi stąd zniknąć, i to szybko!

Blake uniósł lewą rękę najwyżej jak mógł i poruszył palcami. Bolały przy każdym zgięciu. Zesztywnienie ustąpiło, ale bał się ją przeciągać. Czy zdoła wspiać się po kłamrach? Chyba że pójdzie plażą i poszuka łagodnego zbocza. Tylko czy na górze odnajdzie szlak, jeśli oddali się od niego?

W końcu zdecydował się na wędrowkę wzdłuż brzegu. Gdyby teraz nadwerężył ramię, jak wdrapałby się potem do wieży? Musiałby się poddać kilka kroków od celu.

Zamieć trwała. Mocniej naciągnął kaptur futrzanej kurtki. Szedł tak blisko ściany urwiska, że zawadzał o nią łokciem. Ale to pomagało mu utrzymać kierunek. Jedyny pożytek ze śnieżycy, że szybko zasypie jego ślady. Pakahini nie wytropi go.

Wkrótce przestał widzieć obóz. Nie tylko z powodu zamieci; urwisko skręcało. Parł naprzód. Był zadowolony, że wiatr wieje mu w plecy. Stracił wyczucie czasu i odległości, lecz wreszcie ujrzał to, czego szukał: przerwę w skalnej ścianie. Z tarasu

omywanego przez wody zatoki wznosiły się kamienne schody. Pozostałość po ludziach z wież, pomyślał.

Przyjrzał się pokruszonym, oblodzonym stopniom. Wspinaczka byłaby ryzykowna, ale znalazł inny sposób. Usiadł na pierwszym stopniu i podciągnął się na następny. Jako dziecko zjeżdżał na siedzeniu w dół, teraz posuwał się do góry. Tak było najbezpieczniej i trochę oszczędzał bołą rękę.

Dwa razy o mało nie ześlizgnął się z powrotem. Odetchnął z ulgą, kiedy osiągnął szczyt. Przy dobrej widoczności i orientacji w terenie poszedłby na przełaj do wież. Podczas zamieci nie miał odwagi. Musiał wrócić wzdłuż krawędzi urwiska do znajomego szlaku.

Pochylił głowę i ruszył. Po kilku krokach wiatr uderzył w niego z taką siłą, że zaparło mu dech i stanął. Przestraszył się, że zdmuchnie go z urwiska. Bał się iść na otwartej przestrzeni.

Jeśli ta wyspa przypomina w zarysach tamtą z jego świata, która jest gigantycznym miastem, powinien niedługo znaleźć schronienie. Ale przy takiej wichurze nawet próba przejścia kilkudziesięciu metrów może się źle skończyć. Trzeba dojść do najbliższej wieży, schować się, i przeczekać śnieżycę. Może Pakahini pomyśli, że się zgubił; nie będzie go szukał i odpłynie. Tak, to ma sens. A zatem — do wieży.

Można pójść szeroką aleją prowadzącą od schodów w głąb łądu. Prędzej czy później dojdzie do jednej z budowli.

W przeciwieństwie do bezładnie rozsianych wież, które widział wcześniej, drogę do serca wyspy wytyczono z matematyczną dokładnością biegła prosto jak strzełił. Wkrótce wśród zamieci zamajaczyły kontury wysokich budowli. Ale te były większe i nietknięte. Żadnych ruin, żadnych dziur w murze. Jak do takiej wejść? Blake parł naprzód, zataczając się przy podmuchach porywistego wiatru.

Strasznie marzł. Zwykle spodnie i buty z cholewką chroniły przed zimnem w jego własnym świecie, ale tutaj nie wystarczały. Na dłoniach miał rękawice z jednym palcem przyczepione do rękawów futrzanej kurtki. Włożył ręce pod pachy i szedł zakosami od jednej wieży do drugiej. Nigdzie nie znalazł otworu w ścianie.

Wycie wichru było ogłuszające. Nie usłyszałby teraz nawet całego stada metalowych gąsienic i wiedźm-wilkołaków.

Przystawał co kilka kroków i rozglądał się. Ale na śniegu, sięgającym mu już dobrze powyżej kostek, nie zauważył żadnych śladów.

W dole zobaczył szerokie schody. Wznosiły się jak rzędy skalnych półek. Wiatr wymiótł do czysta śnieg z tarasu na szczycie. Zszedł do ich podnóża, ale bał się tam wspiać. Okrążył wzniesienie. Chodnik skończył się; dalej Blake nie miał dokąd iść.

Oparł się plecami o ścianę jednej z nietkniętych wież. Ruiny, z których wyszedł po wylądowaniu w tym świecie, leżały na lewo — na tyle orientował się w terenie. Zaryzykować wędrówkę w tamtą stronę z nadzieją na znalezienie schronienia, gdzie przeczeka zamieć? Przecież nie będzie trwać wiecznie!

Najpierw dojdzie do następnej wieży. Zawsze może zawrócić. Dobrnął do najbliższej budowli, potem ruszył do dalszej. Drogę zagroziła mu ściana kolczastych krzaków, wystających ze śniegu. Musiał je okrążyć.

Dyszał ciężko i kręciło mu się w głowie, gdy wreszcie wiatr sam popchnął go z brutalną siłą ku kryjówce. W ścianie wieży widniał duży czarny otwór. Blake przypomniał sobie legowisko poczwary i zawahał się. Ale nie wyczuł znajomego odoru, więc wszedł. W środku walały się zwęglone szczątki sprzętów i przedmiotów zdobytej fortecy. Biel śniegu ginęła pod ciemnym pyłem. Blake usadowił się na występie muru i wpatrzył tępo w zamieć na zewnątrz.

Po pewnym czasie wzdrygnął się z zimna. Musi się ruszać albo rozpalić ogień. Ale jak? Ucieczka z obozu w taką pogodę to był głupi pomysł. Powinien mieć więcej



cierpliwości i przekonać Pakahiniego, żeby odprowadził go do platformy. Teraz się zgubił, nie może rozpaść ogniska i jest uwięziony przez śnieżycę.

Jeszcze nie całkiem zdawał sobie sprawę z szaleństwa, jakie popełnił. Wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem po niewielkiej przestrzeni. Z otwartego szczytu wieży spadał czasem śnieg, ale wiatr tu nie docierał.

Stracił poczucie czasu, lecz nagle zorientował się, że już nie słyszy ogłuszającego wycia wichru. Wyrzwał na zewnątrz. Śnieg przestał padać. Chwilowa przerwa czy koniec zamieci? Tak czy inaczej, ma szansę dotarcia do platformy.

Uważał, że zanim tu wszedł, zmierzał w dobrym kierunku. Zboczył tylko trochę, żeby ominąć krzaki.

Śnieg sięgał mu teraz do kolan i marsz okazał się potwornie męczący. Blake nieznacznie zmieniał kurs i wybierał drogę wzdłuż wież i drzew, gdzie nie utworzyły się zaspasy.

Od czasu do czasu przystawał. Odpoczywał i przyglądał się ruinom. Szukał wzrokiem charakterystycznej, zębatej wieży. Kiedy ją zobaczy, będzie w domu. W czystym powietrzu widział mnóstwo dziwnych kształtów, ale żaden nie wyglądał znajomo.

Brnął przez ostatnią zaspę i kierował się ku otwartej przestrzeni między dwiema wieżami, gdy coś usłyszał. Zatrzymał się. Dzikie wycie nie przypominało wiatru. Wiedźma!

Obejrzał się. Echo zniekształciło odgłos. Czy dzikuska idzie jego tropem? A może zwęszyła inną ofiarę? Pakahiniego?

Myśliwy bez lęku rozprawił się z wiedźmą i jej gąsienicą, więc wątpliwe, by dał się zaatakować. Ale jeśli złamał nogę albo skrzył kostkę i upadł? Na śniegu, lodzie i kamieniach nietrudno o wypadek. Leżący człowiek to łatwa zdobycz dla poczwary i jej pani.

Pakahini? Blake przestępował z nogi na nogę. Zawdzięczał myśliwemu życie. Jeżeli sytuacja się odwróciła i teraz Pakahini potrzebuje pomocy... Ale nie miał pewności. Może gąsienica pełźnie za nim! Nie potrafił ustalić, skąd dobiegło wycie.

Rozsądek nakazywał iść naprzód. Ale Blake zawrócił i szybko skierował się w prawo. Miejscami biegł, jeśli pozwalała na to teren. Serce mu waliło, zaciskał zęby i dyszał świszczące. Nasłuchiwał, czy nie odezwie się drugie wycie.

Wieży stały teraz dalej od siebie. Między nimi rosły gęste krzaki i coraz bardziej zbaczał z obranego kursu, żeby je okrążyć. Wtem zobaczył znajomy widok. Przetarł oczy rękawicą. Nie mylił się! Zębata wieża! Przez przypadek znalazł to, czego szukał.

Rozległo się drugie wycie. Zwolnił. Jednocześnie włączył się jego system ostrzegawczy. Niebezpieczeństwo!

Trzecie wycie. Zabrzmiało szybciej, niż zamarło echo poprzedniego. Blake był niemal pewien, że wyrwało się z innego gardła. Całe stado wiedźm ma ochotę na łatwy łup?

Ściągnął prawą rękawicę i wydobyl sztylet. Trzymając ostrze w zębach, rozejrzał się za odpowiednim kamieniem. Skradał się ostrożnie pod osłoną zagajnika, potem skrył się za kupą gruzu. W końcu dotarł do zębatej wieży i okrążył ją.

Od wieży z platformą dzieliła go już tylko otwarta przestrzeń z cienką ścianą karłowatych, bezlistnych krzewów. Był u celu! Ale zapomniał o tym na widok sceny rozgrywającej się przed nim.

Lśniące cielsko gąsienicy przyciskało do ziemi postać odzianą w futra. Nad leżącym człowiekiem walczyły zaciekle dwie wiedźmy. Błyskały kły i pazury. Blake zamachnął się. Rzucony kamień trafił z głuchym odgłosem w czaszkę bliższej dzikuski. Osunęła się bezwładnie w objęcia przeciwniczki. Tamta bez namysłu zatopiła zęby w jej gardle.

Blake wypadł na polanę. Może ofiara jeszcze żyje? Po raz pierwszy użył noża, by kogoś zabić. Doznał dziwnego szoku, gdy ostrze zagłębiło się w ciele. Wiedźma uniosła zakrwawioną twarz i utkwiała w nim dzikie oczy. Poczwarą obróciła się i wyprostowała. Chciała go złapać za nogi, ale uskoczył w bok. Dzikuska skuliła się i upadła. Gąsienica zamarła w pionie, jakby śmierć pani odebrała jej zdolność działania.

Blake rozłupał szklane ślepie, jak zrobił to Pakahini, i metalowa bestia runęła z hałasem na ziemię. Potem spojrzął na leżącego. Rozpoznał myśliwego tylko po brudnej, podartej kurtce z futer. Trudno było odgadnąć, jak i dlaczego zginął. Blake nie mógł się zmusić do oględzin straszliwie zmasakrowanych zwłok. Czy Pakahini ścigał go i wpadł w pułapkę? Być może. Ale teraz Blake pragnął jedynie wydostać się z tego świata.

Podciągnął się na mur i opuścił do mrocznego wnętrza wieży. Jeden róg platformy przysypał śnieg. Blake oczyścił ją odruchowo, potem usiadł po turecku na wprost dźwigni. Nie wiedział, w jakim jest świecie i czy teraz wylądował w czasie i miejscu, gdzie znajdzie pomoc lub uda mu się przetrwać. Mógł tylko zgadywać.

Wyciągnął rękę w stronę drążka. Drugi rowek, na chybił trafił. Ale jeśli i tym razem źle wybrał, już nie oddali się od platformy. Zwolnił blokadę i pociągnął dźwignię.

Światła, dźwięki, chwile ciemności. Zamknął oczy, bo kręciło mu się w głowie. Wibracje ustały. Siedział bez ruchu i czuł, że dłoń ześlizguje mu się z drążka. On też zsuwał się wolno z platformy. Otworzył oczy.

Z pewnością opuścił wieżę. Ale platforma znów tkwiła wśród rumowiska. Dlatego stała przechylona. Otaczały ją ściany z pokruszonych cegieł. Z gruzów wystawały poskręcane, zardzewiałe pręty. Nad głową zobaczył dziurawy dach. Przez otwory przeświecało słońce nie dające ciepła.

Tu i ówdzie leżał śnieg. Blake usłyszał osypujący się żwir. Odwrócił się błyskawicznie i wyszarpnął sztylet. Z resztek muru patrzył na niego szczur.

Ruiny i pustkowie. Blake wstał chwiejnie i przeszedł przez stos poczerniałych kamieni. Skąd tu wziąć wodę i jedzenie? Wydawało mu się, że od ostatniego posiłku z Pakahinim minęły wieki. Wzdrygnął się na wspomnienie myśliwego. Nogi uginały się pod nim i miał zawroty głowy. Obawiał się, że wkrótce opuszczą go siły. Czy ryzykując podróż na platformie, wpadł w pułapkę Pranja?

Znajdował się teraz w głębi zagraconej piwnicy. Zaczął się przedzierać przez zwały szczątków. Wtem poczuł dym. Ognisko!

W kręgu ułożonym z cegieł tliła się ostatnia szczapa. Rozdmuchał ogień i dorzucił kilka kawałków drewna z połamanymi meblami i roztrzaskanymi skrzyżniami. Leżały razem na kupie. Z zaciekawieniem obejrzał zgrabną nogę antycznego krzesła. Widział podobne u dekoratora wnętrza w swoim świecie. Musiało tu dojść do jakiejś wielkiej katastrofy. Ale nie czas na zagadki. Był zziębnięty, zmęczony i słaby. I jeszcze nie otrząsnął się po ostatniej scenie w świecie Pakahiniego. Rozejrzył się.

Kilka betonowych bloków ustawiono tak, jakby służyły do siedzenia. W rogu leżała sterta postrzępionych koców i podartych szmat. Miejsce do spania? Ale Blake nigdzie nie zauważył jedzenia. Kto tu obozuje?

— ... jasne — dobiegło z zewnątrz. — To on, Manny. Widzieliśmy, jak stąd wyląził. Ten meliniarz Angol go zdjął, a potem Ras załatwił Angola. To on obrobił naszą metę...

Blake wpadł w panikę. Przez moment nie wiedział co robić. Wracać do platformy? Nie zdąży. Dał nura za osuwisko cegieł. Ale poczuł wielką ulgę, że obcy mówią po angielsku.

Na kamieniach rozległy się kroki. Przez otwór w murze weszła niska postać. Blake

zamrugał ze zdumienia, gdy padło na nią słońce.

Chłopiec w połatanych łachmanach wyglądał na niewiele więcej niż dziesięć lat. Trzymał odbezpieczony karabin i rozglądał się czujnie.

— Pusto — oświadczył. — Tak jak myśleliśmy, Manny. Przecież mówiliśmy, że był sam — dodał oskarżycielsko.

— Taaak? — odpowiedział ktoś z powątpiewaniem. — Sierżant słyszał co innego, mały. Powinieneś bardziej ruszać mózgownicą. Ras, zostań na straży. Zobaczymy, czy nie wypłoszymy jeszcze jednego ptaszka.

Pojawiła się druga postać, tym razem drobny, szpakowaty mężczyzna. Obrzucił piwnicę podejrzliwym spojrzeniem. On też trzymał karabin, a za pasem miał dwa noże.

— Mówiłeś, że kiedy ten Angol zdjął tamtego? — Mężczyzna badał teraz wzrokiem każdy szczegół w kryjówce.

Chłopak spojrział na jasną plamę słońca na podłodze i zmrużył oczy.

— Dwie, trzy godziny temu. Tamten facet wylazł stąd ze swoją bańką na wodę i wystawił się na czysty strzał. Wtedy Angol go kropnął. Akurat wracaliśmy z patrolu. Ras zrobił tę sztuczkę z rykoszetem, co go uczyłeś. I trafił Angola, Podskoczyłem bliżej, patrzę, obaj dostali. Tamten w łeb, Angol w bebechy. I po nich.

— Więc jakim cudem to ognisko tak buzuje, co? — zapytał Manny.

Chłopak obrócił się w miejscu i spojrział na płomienie.

— A skąd mam wiedzieć? Kręcimy się tu od dwóch dni i nie widzieliśmy nikogo poza tamtym. Zupełnie nikogo! Wpadłem tu wczoraj, jak stąd wylazł. Było pusto. Ani śladu kogoś innego. Mam gdzieś, co Długi nagadał sierżantowi. Od kiedy tu czatujemy, był tylko jeden facet! Idź i spytaj Rasa, jak mi nie wierzysz!

Manny podrapał się w głowę.

— Dobra. Ty i Ras poszukacie żarcia. Ja popilnuję na zewnątrz.

Mężczyzna wyszedł. Jego miejsce zajął drugi chłopiec, trochę starszy od pierwszego. Też był uzbrojony. Na widok ogniska stanął jak wryty.

— Jakim cudem...? — zaczął, ale kolega nie dał mu dokończyć.

— Nie gadaj jak Manny. On myśli, że tamten facet miał kumpla.

— Przecież nikogo nie widzieliśmy! — zaprotestował Ras. Miał ciemną skórę i włosy. Z pewnością był innej narodowości, a nawet rasy niż jego piegowaty towarzysz ze zmierzwioną, kasztanową szopą na głowie.

— Jasne. Ale ogień sam nie dołożył sobie drewna. Szukamy żarcia i spadamy stąd. Nie lubię sztuczek z duchami.

Zabrali się z wprawą do pracy. Blake domyślił się, że nie robią tego po raz pierwszy. Działali metodycznie i dokładnie. W końcu kilkoma kopnięciami odsunęli na bok stertę szmat w rogu piwnicy. Znaleźli luźny kawałek ściany i wyjęli go. Schowek wypełniały puszki. Ras odetchnął z ulgą.

— Są. Ale... Zobacz! Miał dużo więcej, niż myśleliśmy!

— Więc obrobił nie tylko nas! — parsknął drugi chłopak. — Nie będziemy chyba narzekać, że teraz mamy za dużo, no nie?

Zaczął wyjmować łup z kryjówki. Uzbierał się tego spory stos. Wyprostował się i zmarszczył czoło.

— Idź i powiedz Manny'emu — rozkazał. — Nie zabierzemy tego wszystkiego do obozu. Nie możemy taszczyć żarcia i uważać na meliniarzy.

Szpakowaty wrócił, żeby obejrzeć zdobycz.

— Nieźle — pochwalił. — Odebraliśmy co nasze i jeszcze chyba drugie tyle. Nic

dziwnego, że ten Angol go stuknął. Dla meliniarza to byłby dobry połów.

— Teraz nie możemy wlec wszystkiego z powrotem! — sprzeciwił się młodszy chłopiec. — Nawet nie wpakowalibyśmy tego do dziury bez pomocy.

— Jasne, jasne. Spokojnie, Billy. Nikt nie chce zrobić z ciebie szkapę pociągowej. Weźmiecie z Rasem tyle, ile dacie radę. Ja zostanę na straży. Jeśli tamten frajer miał kumpla, ktoś musi pilnować, żeby nie zwinął nam reszty towaru. Do roboty.

Bili wyciągnął zza pasa złożony worek i załadował część puszek. Potem ustąpił miejsca Rasowi. Kiedy obaj wyszli, Manny zaczął niecierpliwie spacerować po pustej przestrzeni. Od czasu do czasu przystawał i nasłuchiwał. Wreszcie kopnął w stos puszek. Jedna potoczyła się w kierunku kryjówki Blake'a.

— Przynęta... — zastanowił się głośno. — Cholernie dobra przynęta, żeby zwabić tego drugiego z powrotem. O ile było ich dwóch. — Zajął pozycję w drzwiach.

Na razie puski wabiły tylko Blake'a. Konserwy? Szkoda, że nie miał szczęścia i nie znalazł ich pierwszy. Manny został sam, ale był uzbrojony w karabin i dwa noże. Wyglądał na takiego, co wie, jak się posługiwać tym arsenałem.

Blake obliznął wargi i żołądek skręcił mu się z głodu. Jedzenie leżało niemal w jego zasięgu. Pamiętał, jak Kittson przyciągnął do siebie w powietrzu paczkę papierosów. Zazdrościł agentom ich zdolności. Nie potrafiłby również tak manipulować Mannym, jak Erskine Beneirsem. A może?

Miał pod ręką trochę „amunicji”. Podniósł cegłę. Gdyby mógł zmusić Manny'ego do przesunięcia się o krok lub dwa... Zaledwie godzinę temu udało mu się umiejętnie wykorzystać kamień. Blake wzdrygnął się na to wspomnienie i skoncentrował na obecnym zadaniu.

Utkwił wzrok w wartowniku i skierował na niego całą siłą swojej woli. Niech odejdzie od drzwi... Niech się przesunie o krok w lewo... Tylko kawałek... Musi!

Blake nie wiedział, czy to przypadek, czy pojedynek z Pranjem poszerzył zakres jego zdolności psi. W każdym razie Manny zaczął się niespokojnie wiercić. Spoglądał na dogasające ognisko i przestępował z nogi na nogę.

— „Przynęta...” — odczytał Blake z ruchu jego warg. — „Przynęta...”

Manny nie odwrócił się plecami do drzwi, ale zrobił krok w lewo. W tym momencie Blake rzucił cegłę. Trafił w skroń. Mężczyzna jęknął, poleciał na ścianę i osunął się na podłogę.

Blake wyskoczył z ukrycia. Nie miał gdzie odciągnąć wartownika, ale rozbroił go. Chwytał jedną puszkę, usiadł po drugiej stronie ogniska i dorzucił drewna.

Jego zdobycz okazała się wojskową konserwą. Jakoś uporał się z blachą i łąpczywie wpychał zawartość do ust. Pośpiesznie przeżuwał mięso, gdy zauważył, że Manny otworzył oczy i obserwuje go. O dziwo, bez zaskoczenia!

— Techniczny? — zapytał.

Blake nie wiedział, czy lepiej przytaknąć, czy zaprzeczyć. Pociągnął łyk z manierki Manny'ego i nie odezwał się.

— Musisz nim być. To futro i w ogóle... Nie mamy tu takich. Nie jesteś meliniarzem. Za bardzo się wyróżniasz. Snajper od razu by cię zdjął.

Blake zerknął na swoją eskimoską kurtkę, pamiątkę ze świata Pakahiniego. Miała kontrastowe, białe i czarne plamy, a na dole jaskrawopurpurową taśmę z błyszczącymi haftami: kropki i spiralki — symbole plemienia myśliwego.

Rzeczywiście bardzo rzucała się w oczy. Wypłowiałe, brązowe ubranie Manny'ego stapało się z otoczeniem. Nawet jego szpakowate włosy były jakby barwą ochronną.

— Prawdziwy, żywy techniczny! Ale skąd się tu wziąłeś? Mieszkałeś z tym facetem, co go załatwił Angol? Długi ciągle mówił, że jest was dwóch. Ale nasi cię nie widzieli, bo powiedzieliby coś. — Oczy Manny'ego zabłyśły. Podciągnął się i usiadł wygodniej. — Macie znów samoloty, chłopaki? Takie, co mogą siadać, gdzie

chcecie? Te... no... jak im tam... helikoptery? Łysy meldował, że widział jeden duży, ale myśleliśmy, że to Nazy. Schowaliśmy się na dwa czy trzy dni, żeby zobaczyć, co będzie.

Blake pomyślał, że to równie dobre wyjaśnienie jego obecności tutaj, jak każde inne.

— Tak, przyleciałem helikopterem. Ale rozbił się. A co to właściwie za miejsce?

Manny przysunął się bliżej,

— Nie jesteś Nazem — zauważył z przekonaniem. — Nigdy nie wierzyłem w to gadanie, że Nazy jeszcze są gdzieś na północy. Nie utrzymaliby się, zawsze byli za słabi. A radio podawało, że nikt nie przypłył im z pomocą. Tutaj zdrowo nam dołożyli, to fakt. Musiałeś widzieć, jak leciałeś. Ale to nic w porównaniu z tym, jak im pogoniliśmy kota. A to jest... — Wymienił nazwę miasta.

Blake przestał jeść. Oczywiście w głębi duszy spodziewał się tego od początku. Od chwili, gdy usłyszał znajomą mowę Manny'ego i chłopców. To samo miasto, ale inny poziom. Choć niezbyt odległy od jego poziomu. Tyle że dookoła same ruiny...

Co tu się stało?

— Skąd jesteś? — ciągnął Manny. — Kiedyś słyszałem, że grupy technicznych pochowały się w górach i tak dalej. Sierżant chciał z nimi nawiązać kontakt, jak tylko wykończymy wszystkich meliniarzy i będzie spokój. Teraz walą do nas, ledwo wyjdziemy z naszych nor. Jesteś zwiadowcą technicznych, co? Przysłali cię, żebyś zobaczył, co jest grane?

Blake zdecydował się przytaknąć. Skinął głową.

— Co tu się stało? — zapytał. Starał się odgadnąć, na ile świat na tym poziomie różni się od jego własnego. Z pewnością powstał na skutek niedawnego wydarzenia historycznego. Gwara Manny'ego pochodziła z jego czasów, broń też. Ten świat nie był tak obcy, jak świat Pakahiniego, wiem i metalowych gąsienic.

— Ano, załatwiły nas wielkie naloty. Sterowane rakiety i tak dalej. Potem nagle przestały nadlatywać. Pewnie nasi chłopcy dali tamtym popalić, jak oni nam. — Manny roześmiał się sucho. — Byłem w straży miejskiej. Uwierzysz, że patrolowałem te ulice? Teraz aż śmiesznie o tym wspominać. To jak głupi sen albo coś takiego. Niektórych ulic już w ogóle nie ma. Jest za to Wielka Dziura. Metro wyleciało w powietrze i wszystko zalała woda.

No więc byłem w straży miejskiej, jak weszli spadochroniarze Nazów. Trzymaliśmy się razem z Wolnymi Brytyjczykami. Ci Angole to byli twardziele! Umieli porządnie dokopać Nazom! Walczyliśmy o każdy budynek. Wszystkiego już nie pamiętam. Tyle się działo, że człowiek nie myślał, tylko walczył. Chował się i znów walczył; o ile miał fart i nie oberwał. Czas się nie liczy, jak się żyje z minuty na minutę.

Wiem tyle, że w końcu wylądowałem w oddziale sierżanta. Zna się na rzeczy. Z nim nie zginiesz. Jesz i żyjesz. Jest z regularnej armii. Wyszedł ze szpitala, jak się zaczęło. Zebrał nas wszystkich: Wolnych Brytyjczyków, regularną armię, straż miejską i trochę chłopaków z marynarki. Wycofali się w samą porę, zanim zbombardowali ich bazę. Wziął też kobiety, co potrafiły obchodzić się z bronią nie gorzej niż faceci. Okopaliśmy się dookoła parku i przetrwaliśmy. Pogoniliśmy stąd Nazów, choć zajęło to trochę czasu.

Teraz walczymy z meliniarzami. To luzacy. Walą do każdego, kto wejdzie na ich teren. Jak ich załatwimy, będziemy szukać rzeczy, które pomogą nam zacząć wszystko od nowa. Tego chce sierżant: zacząć wszystko od nowa. — W głosie Manny'ego zabrzmiała duma. — Zeszłego lata posialiśmy w parku kukurydzę i mieliśmy co jeść. I hodujemy zwierzaki z zoo: jelenie, sarny, łosie... Czasem na mięso, jak krowy. Ale głównie znajdujemy i jemy zapasy. — Wskazał na puszki. —

A jak wam leci?

— Trochę lepiej — odrzekł Blake. Uznał, że taka odpowiedź będzie w sam raz. Zastanawiał się, czy mógłby otworzyć drugą konserwę.

— Co to, do jasnej...! — wykrzyknął nagle Manny, patrząc ponad jego ramieniem. Blake obejrzał się.

Manny wpatrywał się w kupę gruzu, za którą stała platforma. Blake zerwał się na nogi z okrzykiem niedowierzania. Zapomniał o towarzyszu i rzucił się naprzód. Wdrapał się na stertę cegieł w samą porę, by być świadkiem kompletnej katastrofy.

Zdażył jeszcze dostrzec platformę, ale wokół już gęstniała zielona mgła. To nie może być prawda! Przy dźwigni nie ma nikogo, a jednak platforma za chwilę zniknie mu z oczu!

Drażek poruszył się. Nie trzymała go niczyja ręka, ale przesunął się w dół. Zielona mgła szybko zamieniła się w nieprzeniknioną ścianę. Blake patrzył z walącym sercem, jak migocze i rozwiewa się. Platforma wyparowała bez śladu!

— Więc to był ten twój rozbity samolot, tak? Łapy do góry, koleś, i odwróć się. Tylko powoli!

Słowa Manny'ego z trudem dotarły do oszołomionego, wstrząśniętego Blake'a. Platforma zniknęła! Utknął tu na zawsze! Bez pośpiechu wykonał rozkaz.

Manny znów trzymał karabin i patrzył na niego złowrogo zwężonymi oczami.

— Wy, techniczni, nie jesteście za bardzo sprytni. Nawet jeżeli umiecie zbudować takie zabawki, jak ta, co ci właśnie uciekła. Nigdy nie spuszczaaj z oka faceta, któremu przyłożyłeś w łeb; taka jest zasada. A teraz wyjmij z za pasa ten kozik do patroszenia szczurów i rzuć tutaj. Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, jak z tą cegłą, bo wpakuję ci kulę między oczy!

Blake cisnął sztylet po podłodze. Manny przydepnął broń, ale nie schylił się po nią. Blake'a wciąż bardziej obchodziło to, że został tu uwięziony na zawsze. Niezbyt przejmował się Mannym.

— Możesz usiąść — poinformował Manny. — Przyda ci się to, bo wyglądasz, jakbyś miał upaść. Na tamtym bloku. I trzymaj łapy tak, żebym je widział. Co ci się stało w lewą?

— Mam zranione ramię — odparł ponuro Blake.

— Aha... Trafiał cię meliniarz czy wpadłeś w tarapaty tam, skąd przyleciałeś? Coś mi mówi, że musiałeś stamtąd szybko przyskać na tym twoim znikającym latawcem.

Blake nie odezwał się. Nie było sensu wyjaśniać, co zaszło w ciągu ostatnich dni. Manny nie uwierzyłby mu. Znów zajął pozycję przy drzwiach. Widział jednocześnie więźnia i to, co dzieje się na zewnątrz. Należał do gadatliwych typów.

— Ciekawe, skąd się wziąłeś? — rozważał głośno. — W tych łachach nie możesz być meliniarzem. Chyba że znalazłeś i obrobiłeś nowy magazyn. Ale nie byłbyś chyba taki głupi, żeby paradować w tym futrze. Pierwszy snajper stuknąłby cię jak kaczkę, ledwo wlażyłbyś mu na celownik. Więc musisz być technicznym. Tak czy inaczej, sierżant wyciągnie z ciebie prawdę. Faceci od razu pękają, jak każe im gadać. Od kiedy tu jesteś?

Blake zapatrzył się w ognisko. Czarna rozpacz. Dotychczas podtrzymywała go na duchu świadomość, że przynajmniej częściowo panuje nad sytuacją. Nawet w koszmarnym świetle Pakahiniego. Dopóki miał pod ręką platformę, zawsze istniała szansa ucieczki. Ale stąd może już nigdy nie wrócić. Podejrzał, że Pranj w jakiś sposób zlokalizował platformę i zabrał mu ją.

— Pytałem, od kiedy tu jesteś, facet? — warknął Manny.

— Co? A tak... Od niedawna. Sam nie wiem — odrzekł nieprzytomnie Blake.

— A co to było to coś, co samo odleciało?

— Nowy środek transportu.

— Tyle że nie miał odlecieć bez ciebie, co? — zadrwił Manny. — Co się porobiło? Włączył się jakiś alarm i nie zdążyłeś na czas? Teraz tu utknąłeś, dołączyłeś do nas, szczerów ruin. Sierżant na pewno się ucieszy. Moglibyśmy użyć jednej z tych znikających maszyn...

Przerwało mu trzykrotne gwizdnięcie. W odpowiedzi Manny gwizdnął raz. Do piwnicy weszli jego czterej kompani. Dwaj chłopcy przyprowdzili wysokiego, przeraźliwie chudego blondyna i Chińczyka.

— Ale numer! — wykrzyknął Bili. — Więc tamten miał kumpla! Manny pokręcił głową.

— To jakiś techniczny. Wypróbowywał latającą maszynę. Ale wystartowała bez niego i został z nami.

Cztery pary oczu wpatrywały się w Blake'a, jakby nagle wyrosły mu rogi albo skóra zmieniła kolor na niebieski.

— Techniczny! — wykrztusił Ras. — Skąd on się wziął? W pobliżu ich nie ma.

— A zwiedziłeś już całe miasto? — parsknął Manny. — Kręcimy się w kółko na pięciu kilometrach kwadratowych; reszty nie znamy. Nieważne. Sam i Alf, ładujcie puszki. Potem pomożecie nam zaprowadzić go do sierżanta. Będzie zadowolony, że ma prawdziwego, żywego technicznego!

Chińczyk i blondyn upchnęli konserwy do worków, potem podeszli do Blake'a.

— Dostał w lewe ramię i nie może dobrze ruszać łapą — poinformował ich Manny. — Zabrałem mu kosę. Hej, ty... — skinął na Blake'a — wstań, żeby Alf mógł sprawdzić, czy nic tam nie chowasz pod tym futrem.

Blake podniósł się ociężale i obojętnie poddał rewizji. Alf znalazł przy nim tylko słoiczek z główką diabła zabrany z laboratorium. Manny zdecydował, że dadzą go w prezencie Sierżantowi.

— W porządku, koleś — odezwał się po raz pierwszy jasnowłosy Alf. — Idziemy. Tylko spokojnie. — Blake nie potrafił rozpoznać jego akcentu, ale podejrzewał, że powolny sposób mówienia to poza.

— I niech ci nie strzeli do łba, żeby rzucać kamieniami — ostrzegł Manny. — Sam to snajper, a Alf może złamać kark gołymi rękami. Już widziałem go w akcji. Szyja trzasnęła facetowi jak patyk.

Jeden z chłopców wyszedł pierwszy z odbezpieczonym karabinem. Za nim ruszył Manny. Alf pokazał Blake'owi, że teraz jego kolej.

Otwór w ścianie znajdował się poniżej powierzchni ziemi. Do góry prowadziły wydrążone stopnie. Na dworze był słoneczny, zimowy dzień. W niezacienionych miejscach topniał śnieg. Ale nawet takie zasy, jakie rano Blake pokonywał wśród wież, nie ukryłyby straszliwych zniszczeń. Przed katastrofą miasto musiało być bliźniaczo podobne do tamtego z jego świata. Jeszcze jeden dowód na to, że wydarzenie historyczne, które rozdzieliło bieg czasu na dwa różne nurty, rozegrało się niedawno.

Gdyby nie zmęczenie i przygnębienie, Blake wypytałby mężczyzn o szczegóły. Ale teraz było mu wszystko jedno. Szedł posłusznie wąską ścieżką, wijącą się wśród zwałów gruzu.



Rozciągnęli się niczym patrol wojskowy na wrogim terytorium — chłopcy szli pierwsi jako zwiadowcy. Czasem grupka przystawała, gdy jeden lub obaj wypuszczali się naprzód pod osłoną ruin i badali teren. Wszyscy ruszali dalej na sygnał, że droga wolna. Blake domyślił się, że ludzie sierżanta nie kontrolują tej części miasta i stąd te środki ostrożności.

Całe kwartały zburzonych budynków sterczały wysoko ponad poziomem ulic, ale tu i tam widniały puste przestrzenie lub głębokie doły zarośnięte chwastami i wypełnione zamarznąłą wodą. Wyglądało na to, że tak jest od kilku lat.

Blake zorientował się, że oddalają się od centrum. Jednak tak często krążyli, że nie mógł ocenić przebytej odległości. Czasem posuwali się wydeptanymi ścieżkami, kiedy indziej przedzierali się na przelaj przez rumowiska.

— Cholerny bajzel, co? — zapytał Sam, pomagając Blake'owi wdrapać się na stertę ziemi i kamieni.

Blake zdobył się na słaby uśmiech.

— Owszem.

— U was też tak jest?

— Nie... — wysapał zdyszany Blake.

— Kiedyś będzie lepiej. Mamy dobrą metę. Sierżant się postarał.

Wyszli na otwartą przestrzeń między dwoma zwałami gruzu. Na tle błękitnego nieba odcinały się nagie gałęzie drzew. Blake dokonał zaskakującego odkrycia — zna to miejsce! Widział je w zupełnie innych okolicznościach. To park! Są przy bramie niedaleko ulicy, którą jechał furgonetką serwisu RTV!

Nie mylił się; zna to miasto. Ale to nie może być jego własny poziom. Podróż do następnych światów to nie wyprawa w przyszłość lub w przeszłość, tylko w inny, równoległy czas. Tak przysięgali agenci. Sam fakt, że rozpoznał to miasto, rozbudził w nim iskierkę nadziei. Gdyby jeszcze dowiedział się, jakie wydarzenie historyczne doprowadziło do tego, co się tu stało!

Grupka minęła potężną barykadę wzniesioną w jednej z dawnych parkowych bram. Wartownicy rozmawiali z patrolem, który właśnie wrócił z terenu. Ale Blake'a bardziej interesowały znaki rozpoznawcze tej okolicy. Szkoda, że nie zdążył lepiej poznać miasta, zanim wpadł w ręce Scappy.

Czy agenci tropią teraz Pranja w innych światach? Wiedzą, który wybrał, czy poruszają się po omacku? Czy będą go szukać również tutaj?

Saxton mówił, że Pranja przyciągają równoległe światy, gdzie chaos sprzyja wprowadzeniu dyktatury. W tym z pewnością panuje zamęt. Czy to zwabi Pranja, a w ślad za nim agentów? Blake pomyślał, że może jego sytuacja nie jest aż tak beznadziejna, jak początkowo się obawiał.

Popędzono go wyboistą drogą w głąb parku. Nie zdziwił się na widok znajomego letniego teatru z restauracją. Zerknął na parking. Rdzewiały tam dwa zdezelowane dżipy, a kilka wojskowych ciężarówek tkwiło w żużlu aż po osie. Ale nigdzie nie zauważył furgonetki z serwisu RTV.

Z drugiej strony budynku stał krąg parterowych domków. Sklecono je z pni drzew, cegieł i kamieni. Z kominów buchały kłęby niebieskiego dymu. Zatrwały powietrze podobnie jak obecność niezbyt czystych istot ludzkich stłoczonych na małej przestrzeni. Ale ktoś zadbał tu o porządek. Chatki ciągnęły się wzdłuż równo wytyczonej linii i każdą otaczał taki sam kawałek ziemi. Mimo prowizorycznego wyglądu kolonia sprawiała wrażenie stałej i dobrze zorganizowanej osady. Wyraźnie

kontrastowała z bałaganem w mieście.

Z masztu przed dużym budynkiem luźno zwisała flaga w trzech kolorach: czerwonym, białym i niebieskim. Zgadza się! Tyle że Blake nie był pewien, czy to znajoma kombinacja gwiazd i pasów. Niżej wisiał proporzec w szachownicę. Sam pokazał go kciukiem, gdy przechodzili pod nim.

— Dziesiąty Pułk Kawalerii. Sierżant tam służył.

Weszli po schodach do holu teatru. Dużą część pomieszczenia zajmowały zniszczone wojskowe biurka. Ale w tej chwili tylko dwa były zajęte. Przy jednym siedział wyprostowany mężczyzna o przeredzonych siwych włosach. Jego sylwetka wskazywała, że to zawodowy żołnierz. Przy drugim biurku pochylała się młoda kobieta. Podniosła wzrok znad podartej mapy i utkwiała w Blake'u zdumione spojrzenie.

Manny wysunął się na czoło grupki.

— Powiedz Sierżantowi, że mamy technicznego.

Siwy mężczyzna przyglądał się Blake'owi z nie ukrywanym zaciekawieniem. Dziewczyna wstała i zniknęła na widowni. Po chwili wróciła.

— Wprowadźcie go.

Blake'owi towarzyszyli teraz tylko Manny i Alf. W sali powyrywano większość foteli, jedynie cztery rzędy przed sceną pozostały nietknięte. Blake poczuł się onieśmieszony; wiedział, że jest w centrum zainteresowania. Na scenie stały trzy biurka, środkowe było wysunięte do przodu. Siedział przy nim mężczyzna, który musiał być władcą tego królestwa.

Wyglądał tak potężnie, że dwaj sąsiedzi wydawali się przy nim karłami. Od początku tej szalonej przygody Blake spotykał ludzi pewnych siebie: Kittsona i jego kolegów, Pranja i arystokratów przybyłych do niego z wizytą w obcym świecie, Pakahiniego. Ale żaden nie należał do świata ani gatunku Blake'a. Cały czas miał świadomość, jak bardzo różni się od nich.

Sierżant nie był ani aroganckim arystokratą, ani esperem o nieco przytłaczającej pewności siebie, ani członkiem plemienia, dominującego w swoim świecie. Sprawiał wrażenie przełożonego, który traktuje innych jak podwładnych tylko podczas akcji, urodzonego przywódcy zwykłych ludzi, takich jak Blake.

Jego pewność siebie nie miała nic wspólnego z arogancją czy wyniosłością. Oznaczała po prostu gotowość sprostania każdej próbie, jakiej podda go los. Spojrzał z góry na Blake'a i uśmiechnął się niemal łagodnie. Białe, mocne zęby silnie kontrastowały z brązową skórą koloru kawy.

— Wyglądasz, jakbyś przebył daleką drogę, przyjacielu — odezwał się życzliwym tonem.

Blake odprężył się. Manny i jego kompani nie wzbudzali wielkiego zaufania. Co innego Sierżant. Przypominał Kittsona.

— Raczej tak — przyznał.

Ciemne oczy przyglądały się uważnie jego ubraniu. Manny wystąpił naprzód i położył przed dowódcą sztylet i słoiczek. Sierżant zerknął na nie przelotnie.

— Wy, techniczni, obrabiacie teraz muzea? — roześmiał się. — Skąd jesteś, przyjacielu? Z Kanady? Chyba tam mają takie futra. Wpadłeś zobaczyć, jak radzą sobie szczury ruin?

— Miał jakąś latającą maszynę — zameldował z przejęciem Manny. — Ale zniknęła i zostawiła go.

Sierżant siedział bez ruchu. Patrzył to na Blake'a, to na podwładnego.

— Samolot? Helikopter? Manny pokręcił głową.

— Coś nowego. Całkiem płaską platformę. Nawet nie zauważyłem silnika. W tamtej piwnicy, co nakryliśmy szabrownika. Ten techniczny tam się schował. Stuknął

mnie w łeb, zanim go zauważyłem. Wsuwał nasze konserwy, jakby głodował. Potem zobaczyłem to zielone światło w rogu. On też zobaczył, krzyknął i podskoczył tam. W środku tego światła stała jego maszyna. Światło zgasło i maszyna zniknęła, jakby świecę zdmuchnął.

— I wtedy wkroczyłeś do akcji, Manny?

— Jasne, Sierzancie. To frajer. Zostawił mój karabin na podłodze.

Sierżant zwrócił się do Blake'a.

— Opowiedz nam, jak ta twoja maszyna znalazła się w tamtej piwnicy. — Jego głos nadal brzmiał łagodnie, ale kryła się w nim groźba. — Moglibyśmy wykorzystać taką sztuczkę.

Blake mógł tylko powiedzieć prawdę.

— Nie mam pojęcia. Sierżant wciąż się uśmiechał.

— Szkoda, przyjacielu. Zdaje się, że wy, techniczni i inne ważniaki, spisaliście nas na straty. Wynieśliście się stąd, zanim wszystko się rozpieprzyło i nie ma dla nas miejsca w waszych planach. Ale my ciągle tu jesteśmy i mamy coś do powiedzenia. No dobra, przyjacielu... Zostaniesz tu trochę z nami, zanim zdecydujemy, co z tobą zrobić. Zamknij go, Manny.

— Dostał w ramię, Sierzancie. Może Doktor powinien go najpierw obejrzeć?

— Co?! Wy, techniczni, walczycie teraz między sobą? — Sierżant wybuchnął śmiechem, jakby powiedział dobry dowcip. — Dobra, pokaż go Doktorowi, a potem zamknij.

— Tędy, techniczny — rozkazał Manny.

Nie wrócili do holu; weszli bocznymi drzwiami do dawnej restauracji. Salę podzielono na małe boksy, ale ścianki działowe nie sięgały wysokiego sufitu. W kłitkach paliły się świece i lampy naftowe.

Przy wejściu spotkali dziewczynę.

— Nie widziałas Doktorka? — zapytał Manny.

— Jest u siebie.

Doszli do pomieszczenia za płócienną zasłoną. Manny stanął.

— Jest pan tam, doktorze?

— Wejdz.

Manny odsunął kotarę i skinął na Blake'a. Przy mikroskopie siedział siwy mężczyzna.

— Co znowu, Manny? — zapytał, nie podnosząc wzroku. — Ty czy któryś z twoich chłopaków oberwaliście od meliniarza?

— Nie. Mamy jeńca. Trzeba go opatrzyć. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie.

— Jeńca?! Od kiedy sierżant bierze jeńców? — Jego oczy spoczęły na Blake'u. — Techniczny! — szepnął ze zdumieniem. — Na wszystkich świętych, to techniczny! W końcu skontaktowali się z nami!

— Może tak, może nie — ostudził go Manny. — Znaleźliśmy tylko tego. Wygląda na to, że dostał od swoich. Sierżant kazał go połatać i wpakować do magazynu.

Blake z pomocą lekarza rozebrał się do pasa.

— To nie od kuli! — wykrzyknął Manny na widok czerwonej plamy na jego ramieniu.

— Oparzenie — wyjaśnił lekarz. — Prawie jak od napromieniowania.

Blake wzdrygnął się. W jego świecie to słowo brzmiało złowieszczo. Kojarzyło się z najgorszą z możliwych katastrof.

— Skąd to się wzięło? — zainteresował się lekarz.

— Postrzał z nowego typu broni — odrzekł Blake. — Ale to tylko muśnięcie.

Lekarz pogrzebał wśród słoiczeków.

— I całe szczęście. Mogło wypalić w ciele dziurę. Oparzenie... I tak je

potraktujemy. — Uśmiechnął się z przekąsem. — Nie zostało nam wiele z zapasów, które wy, techniczni, zgromadziliście przed katastrofą, ale zrobimy, co się da. Spójrz na to, Manny. Kiepsko wygląda. Lepiej zostaw go u nas. Położę go w jednej z wewnętrznych salek. Stamtąd nie ucieknie. Muszę go mieć na oku przez jakiś czas.

Manny zawahał się. Lekarz dodał niecierpliwie:

— Postaw przed drzwiami wartownika, jeśli tobie i sierżantowi ma to ulżyć. To jedyne wyjście stąd i nie wymknie się niezauważony. Zresztą w takim stanie nie wydaje mi się zdolny do ucieczki.

Manny wzruszył ramionami.

— Dobra, czemu nie. Powiem Sierżantowi, że został u pana. To na razie...

Blake popatrzył za odchodzącym Mannym. W ramieniu czuł tępy ból. Diagnoza rozbudziła w nim nowe obawy.

— Jak źle to wygląda, doktorze?

— Na tyle źle, że muszę panu zadać kilka pytań — odparł lekarz. — Widać, że trochę pan ostatnio przeżył. Co pan powie na gorącą kąpiel, porządny posiłek i pogawędkę? To chyba lepsze niż siedzenie w celi?

— Zdecydowanie! — rozpromienił się Blake.

Blaszaną wannę trzeba było napełniać wiadrami, ale woda nie zdążyła ostygnąć i wystarczająco rozgrzała jego przemarznięte kości. Blake włożył świeże, choć połatane ubranie i zasiadł z lekarzem do jedzenia. Na ramieniu miał opatrunek i po raz pierwszy od kilku dni poczuł się naprawdę dobrze.

— Gdzie wy, techniczni, macie kwaterę główną? Sądząc po pańskim futrze, gdzieś na pomocy.

Blake'a kusiło, żeby powiedzieć prawdę, ale zwyciężyła ostrożność.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie to jest — odpowiedział wymijająco. — Wystartowałem stamtąd w pośpiechu i wylądowałem tutaj. Nie potrafią powiedzieć jak ani dlaczego.

Lekarz spojrzał mu prosto w oczy.

— To brzmi dość prawdziwie, że wyniósł się pan w pośpiechu. Manny miał rację? Jest pan przestępcą? Ma pan oparzenie od nieznanej broni. Techniczni walczą teraz między sobą czy Nazy wzięły drugi oddech i nadzieją się pan na nich?

— O ile wiem, ani jedno, ani drugie. Miałem do czynienia z... można go nazwać zdrajcą — zaczął wolno Blake. Starał się ułożyć wiarygodną historyjkę. — Próbuje zostać dyktatorem.

Lekarz nie wyglądał na zaskoczonego.

— Imitacja Hitlera, co? Mamy takich mnóstwo, od kiedy prawdziwy przestał nadawać z Londynu. Pojawiają się i znikają. Zwykli nudziarze.

— Z Londynu?! — wykrzyknął Blake. — Hitler w Londynie?! Od kiedy?

— Wy, techniczni, nie złapaliście ostatniej wiadomości radiowej tuż przed decydującym atakiem „Bez Powrotu”? — zdziwił się lekarz. Kiedy Blake pokręcił głową, ciągnął. — A tak, przypominam sobie, że było trochę bałaganu i zostaliście odcięci od reszty z nas. Miałem służbę w czwartym okręgu, wtedy była to strefa obronna. Słyszeliśmy, jak wykrzykiwał te swoje bzdury. Nagle przerwał, jak nożem uciął, i już wiedzieliśmy, że nasi chłopcy załatwili Londyn na dobre. I od tamtej pory cisza. Może za pięć czy dziesięć lat sierżant i tacy jak on postawią nas z powrotem na nogi. Wtedy weźmiemy samolot albo statek i sprawdzimy, co się naprawdę stało z Adolfem i jego kumplami.

Wydarzenie historyczne, pomyślał Blake. Coś związanego z drugą wojną światową, to jasne. Ale co? Szybko przebiegł w pamięci decydujące momenty konfliktu sprzed przeszło dziesięciu lat. I nagle wszystko zrozumiał.

— Więc tutaj Hitler wygrał bitwę o Anglię — szepnął, zapominając o obecności

lekarza.

Sierpień i wrzesień 1940. Ten świat poszedł inną drogą niż jego własny.

Blake miał okazję spokojnie pomyśleć dopiero później, gdy został sam. Leżał na pryczy i wpatrywał się w popękany, brudny sufit. Z części szpitalnej dochodziły tylko przytłumione odgłosy. Było mu ciepło, najadł się i zapewne zapadłby w popołudniową drzemkę, gdyby nie rozmyślanie.

Wszystkie kawałki łamigłówki ułożyły się w jedną całość. „Nazy” to naziści już nie istniejący w jego świecie. „Wolni Brytyjczycy”, Hitler przemawiający przez radio z Londynu... — wszystko jasne. Zna historię tego zrujnowanego miasta. Ale obawiał się, że jego dziwna ignorancja może go częściowo zdradzić.

Na impulsywną uwagę Blake’a lekarz zareagował gwałtownie.

— Oczywiście, że Hitler wygrał bitwę o Anglię! Nawet ludzie z eksperymentalnej bazy w sektorze specjalnym muszą o tym wiedzieć! Jest pan dobrze odżywiony, porządnie ubrany... Nie widzieliśmy nikogo takiego od lat. Pojawił się pan nagle i nie zna podstawowych faktów z najnowszej historii. Stanowi pan intrygującą zagadkę, młody człowieku!

Blake skulił się.

— Nie mogę tego wyjaśnić.

— Podejrzewam, że raczej pan nie chce! — parsknął lekarz. — Ale nie będę naciskał. Uznam za prawdę pańską historyjkę o zdrajcy w szeregach technicznych, który sprawia kłopoty. Głównie dlatego, że zgadza się z krążącymi ostatnio pogłoskami. Ale stawiam moją reputację, że pan sam nie jest technicznym. W przeszłości znałem wielu z nich i pan mi nie pasuje. Jest pan z innego świata.

Była to zapewne tylko metafora, ale Blake drgnął i przestraszył się, że lekarz to zauważył. Ile wie lub podejrzewa ten przenikliwy facet?

— Chciałbym... — zaczął ostrożnie. Lekarz nie dał mu dokończyć.

— Przyjmijmy, że przybył pan z tajnych laboratoriów. Tak pilnie strzeżonych, że od pewnego czasu całkowicie odciętych od świata zewnętrznego. Wyobrażam sobie, że taki ktoś byłby zaskoczony wieloma rzeczami. O co chce pan zapytać najpierw?

Blake nie bardzo wiedział. Poza tym może to pułapka? Ale choć lekarz nie wierzył, że jest technicznym, z jakiegoś powodu chciał mu pomóc zorientować się w tym świecie. Jeśli Blake miałby tu pozostać do końca życia, każda informacja mogła się przydać.

Zastanowił się i wybrał moment w historii, który jeszcze mógł być wspólny dla obu światów.

— Założmy, że nie wiem, co się działo od Dunkierki.

— Dunkierka... Koniec maja, początek czerwca 1940... Ostatnie tchnienie Brytyjczyków... — zadumał się lekarz. — No cóż, w początkach sierpnia zaczęło się zmasowane uderzenie na Wyspy, całodobowe naloty. Do końca miesiąca Nazy zniszczyły większość brytyjskich lotnisk. Anglicy próbowali wycofać się drogą morską do Kanady. My jeszcze nie przystąpiliśmy do wojny — roześmiał się cierpko. — Nie ma to jak przyjść za późno i dać za mało. Angolom udało się ewakuować trochę wojska i cywilów. W październiku wysłaliśmy im na pomoc okręty. Ale dziesiątego zaczęła się bitwa o Kanał, zakończona inwazją powietrzno-desantową na Wyspy. A piętnastego od zachodu uderzyły na nas Japońce.

— Pearl Harbor! — uściślił Blake, ale lekarz ze zniecierpliwieniem pokręcił głową.

— Hawaje nie miały z tym nic wspólnego. Nad całe nasze zachodnie wybrzeże nadlatywały chmury samolotów z ich lotniskowców. Więc podniósł się krzyk, żeby ściągnąć z powrotem naszą flotę wysłaną na pomoc konającej Anglii. Ale dla San Francisco, Los Angeles i Seattle było już za późno. Żółtki zapanowały na całym

Pacyfiku. Nie wiem, co się stało z Australią. Ostatnia wiadomość była taka, że ciągle prowadzą desperacką, partyzancką walkę wzdłuż słonych pustyń. Ale japońskie siły inwazyjne wylądowały w północnej Kalifornii i na Alasce. Ledwo zepchnęliśmy ich do morza, od wschodu zaatakowały niemieckie bombowce. Do tego doszedł sabotaż na wielką skalę i inne sztuczki.

Blake poruszył się niespokojnie na pryczy, przypominając sobie każde słowo lekarza. Same złe wiadomości. Co gorsza, to wszystko mogło być prawdą. Koszmar, który na szczęście nie zdarzył się w jego świecie. Ale tutaj to nie był sen — ten świat rzeczywiście istniał!

— ... broń biologiczna — ciągnął lekarz. — Choć teraz nie jesteśmy pewni. W drugim roku nastąpiło masowe zarażenie wirusem. Na pięciu chorych umierało czterech. To mogło być zaplanowane, bo pierwsza epidemia wybuchła mniej więcej w tym czasie, kiedy Nazy zrównały z ziemią Waszyngton i jednocześnie wylądowały z powietrza w dwóch miejscach: tutaj i na południu. Ledwo się trzymaliśmy i wirus omal nas nie dobił.

Potem coś się stało. Nie dowiemy się co, dopóki nie przepłyniemy lub nie przelecimy Atlantyku. Usłyszeliśmy, że Hitler z całą generalicją będą świętować w Londynie zwycięstwo. Wtedy zaplanowaliśmy atak „Bez Powrotu”, czyli wielki nalot. Wysłaliśmy ciężkie bombowce, transportowce... wszystko, co miało jakąś szansę dolecieć w jedną stronę. Może udało się załatwić ich najwyższe dowództwo? Albo wynieśli się, żeby walczyć gdzie indziej. Zawsze byliśmy ciekawi, jak długo będą się kochać z Ruskimi.

Nie wiemy, co się wydarzyło. Ale Nazy przestały nas niepokoić. Ich okręty zniknęły z naszych wód przybrzeżnych, a oddziały lądowe pozostawiono własnemu losowi. Niestety, najpierw wszystko legło w gruzach.

To było... zaraz... pięć albo sześć lat temu. Żyjąc w takich warunkach, traci się rachubę czasu. Okazaliśmy się dla nich twardszym orzechem do zgryzienia, niż myśleli. Mimo wirusa i całej reszty, którą nas poczęstowali. Ale nie można utrzymać w ruchu fabryk, w większości zrównanych z ziemią; nie przy tak kompleksowej mechanizacji jak nasza. Weźmy miasto wielkości tego. Wystarczy odciąć wodę, gaz, prąd, zaopatrzenie i dodać do tego epidemii, żeby po tygodniu zapanował kompletny chaos. Nie potrzeba nalotów.

Praca jednej fabryki zależy od dostaw wielu surowców i skomplikowanych narzędzi. Jedno i drugie nadchodzi koleją z innych części kraju. Wystarczy zniszczyć tory albo źródło zaopatrzenia i fabryka stoi. Jeśli środki produkcji są wysoce zmechanizowane, łatwo unieruchomić przemysł.

Łączność leży. Radia wyszły z użycia z braku części do produkcji i napraw. I nie ma ludzi do ich wyrobu. Jest u nas radioamator. Siedzi na nasłuchu dziesięć godzin dziennie i od dwóch lat nic nie złapał.

Teraz coś z mojej dziedziny. W międzyczasie wybuchły tu dwie epidemie wirusa. Mogę pokazać panu miejsca na przedmieściu czarne od ognia. Tam paliliśmy ciała. Nie setki, ale tysiące! To był istny koszmar! I jednocześnie odpieraliśmy inwazję spadochroniarzy. Żyjemy do dziś tylko dlatego, że od tamtej pory umiemy naciskać spust szybciej niż inni.

— Jacy inni? — zainteresował się Blake.

— Meliniarze. Dezerterzy od Nazów, których nie wyłapały nasze oddziały likwidacyjne, i przestępcy rozzuchwaleni brakiem policji. Ukrywają się, polują na nas i zagarniają nasze zapasy. Przepędziliśmy ich stąd, to znaczy z zachodniej części miasta, ale wciąż się tu zapuszczają i plądrują nasze kryjówki. Sierżant chce zorganizować wielką ekspedycję, żeby pozbyć się ich raz na zawsze. W zeszłym tygodniu nawiązał kontakt z grupą Wolnych Brytyjczyków. Ulokowali się na wyspie rządowej i mają dwie sprawne motorówki. Dadzą nam wsparcie morskie wzdłuż brzegu, jak dojdzie co do czego. Powinniśmy dziękować naszym szczęśliwym gwiazdom za Sierżanta!

— Kim on jest?

— Pochodzi z rodziny o długiej tradycji wojskowej. Słyszał pan o Dziesiątym

Pułku Kawalerii?

Blake nie słyszał.

— Ten oddział miał duże tradycje, mógłby się podzielić zaszczytami ze słynnym Siódmym Pułkiem Custer. I nigdy nie został zmasakrowany, bo jego dowódcy zależało na sławie.

Wchodził w skład starej Indiańskiej Armii Walczącej, która zdobyła tyle odznaczeń bitewnych, że włosy stanęłyby panu dęba z wrażenia. Indianie nazywali tych z Dziesiątego Pułku „Buffalo Soldiers”<sup>\*\*</sup> i nie czepiali się ich, o ile mogli. To był jeden z pierwszych czarnych pułków kawalerii.

Dziadek Sierżanta wstąpił do oddziału zaraz po wojnie domowej, potem w jego ślady poszedł ojciec; natychmiast po osiągnięciu wymaganego wieku. Sierżant nawet nie wyobrażał sobie innej kariery. Czuł się związany z pułkiem jak kiedyś rzymscy legionści. Dziesiąty Pułk już nie istnieje, ale na szczęście sierżant wciąż jest z nami. Gdyby nie on, dawno byłoby po nas!

Dzięki niemu powstała osada w parku, gdzie czujemy się względnie bezpieczni. Mieszkańcy zdobywają żywność i odzież pozostałą w sklepach i domach towarowych. Trzymają się kurczowo resztek cywilizacji, którą pamiętają. Wyrasta tu już drugie pokolenie. Mimo braku tego, co jeszcze kilka lat temu ludzie uważaliby za niezbędne do życia, świetnie sobie radzą. Planuj ą nawet dalszą rozbudowę osiedla.

Broń palna przestanie być przydatna po wyczerpaniu się amunicji, więc mamy łuki. W parku posialiśmy zboże; ziarno znaleźliśmy w jednym z domów towarowych. Hodujemy jelenie, sarny, daniele, łosie, łanie i renifery zabrane z zoo. A także konie ze szkoły jeździeckiej.

Blake słuchał lekarza z podziwem. Zrozumiał zalety przynależności do społeczności rządzonej przez Sierżanta. Gdyby nie miał już nigdy powrócić do swojego świata, mógłby się uważać za szczęściarza, pozostając w osadzie.

Na razie wyglądało na to, że zapomnieli o nim wszyscy z wyjątkiem lekarza. Wypał się i najadł, potem znów zasnął. Ale następnego ranka zaczął się niecierpliwic. Ból w ramieniu niemal zupełnie ustąpił i mógł prawie normalnie ruszać lewą ręką. Ubrał się i siedział na brzegu pryczy, gdy zjawił się Manny.

— Cześć — rzucił bezceremonialnie. — Sierżant chce cię zobaczyć.

Blake poszedł z nim bez ociągania. Tym razem wielki mężczyzna pochylał się nad mapą poznaczoną czerwonymi kropkami.

Porównywał ich pozycje z zapiskami na luźnych kartkach ze śladami palców. Na widok więźnia i strażnika odłożył robotę na bok.

— Co to za historia z tym zdrajcą, o którym wspomniałeś Doktorkowi? — zapytał agresywnym tonem.

— Z jego powodu tu jestem — odrzekł Blake. — Porwał mnie, uciekłem i wylądowałem w tym mieście.

— A ta maszyna? Nie wiesz, jak działa? Może należy do niego?

— Tak. I nie wiem, jak działa. Udało mi się na niej uciec i to wszystko.

— To techniczny, tak? A nazwisko? — padło ostre pytanie.

— O ile wiem, ma kilka. Lefty Conners, Pranj... Sierżantowi żadne nie wydało się znajome.

— Słyszałeś kiedyś o facecie zwanym Ares?

Blake przypomniał sobie ustęp ze szkolnego podręcznika.

— Grecki bóg wojny...

— Ten nie jest bogiem — przerwał mu z ponurym uśmiechem sierżant. — Ale też miesza się do wojny. — Wyciągnął się na krześle i założył ręce za głowę. — Zbieramy o nim informacje od prawie czterech miesięcy. Handluje z meliniarzami i próbuje ich zorganizować. Podobno obiecał im nową broń. Teraz zjawili się ty i



opowiadasz o zdrajcy wśród technicznych, który sprawia kłopoty. Wygląda na to, że nasz „Ares” i twój zdrajca mogą mieć ze sobą coś wspólnego, nie uważasz? Mówiłeś, że ten facet ma nowy pojazd latający i nową broń, z której dostałeś. Wszystko pasuje. Gdzie ukrywa się teraz ten Pranj czy Connors?

— Sam chciałbym wiedzieć. Chyba nie w tym mieście. Sierżant zmarszczył brwi.

— Ale pewnie wybiera się tutaj?

Blake dużo by dał, żeby móc na to odpowiedzieć. O wiele za słabo orientował się w podróży między poziomami. Był jednak przekonany, że platforma ma stałą bazę i podczas tych szalonych wypraw tkwi w jednym miejscu— to światy wokół niej pojawiają się i znikają. Gdyby zatem znów miała się zmaterializować na tym poziomie, Pranj zjawiłby się w tej samej piwnicy co on. Ale czy tak będzie? Czy to rzeczywiście „Ares”? Czy przybędzie, wiedząc, że Blake tu utknął? Czy to okaże się dodatkową zachętą? Same domysły i przypuszczenia. Blake zdawał sobie sprawę, że nie może przewidzieć reakcji tamtego na podstawie własnych. Pranj to esper; w dodatku esper przestępca.

Widok mapy sierżanta przypomniał mu o innej szansie schwytania Pranja. Co z agentami? Gdzie jest ich pojazd? Czy właśnie z niego korzystają w pościgu za Pranjem? Przestępca odkrył ich bazę w magazynie i musieli się przenieść na Patroon Place. Może tam jest ich punkt kontaktowy z innymi poziomami? Znowu same pytania bez odpowiedzi. Ale... warto spróbować.

— Może się zjawić tam, gdzie mnie znaleźliście — powiedział.

— Dlatego że ty tam wylądowałeś? — zapytał Sierżant. — Ten pojazd ma urządzenie naprowadzające?

— Już mówiłem, że nie wiem!

— Ale chyba czegoś się domyślasz? Tylko to miejsce przychodzi ci do głowy? — Głos Sierżanta brzmiał spokojnie, niemal leniwie. Tylko głęboko osadzone, ciemne oczy czujnie świdrowały Blake'a. Były prawie tak zniewalające jak oczy Kittsona.

— Pranj to uciekinier. Ścigają go.

— No i...? — Powieki sierżanta opadły i na wpeł przysłoniły oczy. — Chcesz się spotkać z tamtymi facetami? To twoi kumple? Gdzie mamy ich szukać?

— Muszę spojrzeć na mapę — odrzekł Blake. — I nie jestem pewien, czy tu są.

— Cwaniak z ciebie. — Sierżant odsunął się z krzesłem od biurka i skinął na niego. — Podejdz i popatrz. To nasza najlepsza mapa.

Papier był brudny, pogniciony i posklejany. Blake prześledził trasę do dzielnicy mieszkalnej, którą przejechał autobusem. Mimo plam odczytał nazwę Mount Union, potem znalazł i oznaczył Patroon Place. Gdyby mógł wyznać całą prawdę, poszukiwania zapewne byłyby łatwiejsze. Ale wątpił, by ktoś mu uwierzył na słowo. A jeśli miałby kiedykolwiek opuścić osadę, musiałby sam dotrzeć do tamtego miejsca.

Sierżant zerknął na mapę.

— Tam się zadekowali twoi kumple?

— Tak przypuszczam — odrzekł Blake. — Ale mogę się mylić. To jedna szansa na tysiąc.

Sierżant podparł brodę wielką pięścią.

— Cóż, to niewiele. Choć ostatnio tak jest ze wszystkim. Może najpierw rzucimy okiem na to miejsce w śródmieściu. Tam wylądowałeś i znamy ten rejon. A to jest dla nas coś nowego. — Wskazał palcem Patroon Place.

— Kiedy maszyna jest w użyciu, otacza ją zielona poświata.

— Jak cholera — wtrącił się Manny. — Sam widziałem, Sierżancie. W całej piwnicy zrobiło się jasno.

— Nawet w dzień? Pojazd twoich kumpli też tak działa? Blake mógł mieć tylko nadzieję, że wszystkie platformy są takie same.

— Tak.

— Więc możemy obstawić dwa miejsca na raz. — Sierżant ożywił się. — Ty pójdziesz z jednym patrolem na przedmieście, bo znasz swoich kumpli. My zajmiemy się Aresem, jak się pojawi. Oszczędzisz nam czasu i zachodu.

— Jeśli Ares to Pranj... — zaczął ostrzegawczo Blake.

— Jeśli to twój zdrajca... — roześmiał się sierżant — to już ma kłopoty przez duże „K”. Żaden problem. Nie z takimi twardzielami mieliśmy tu do czynienia.

Blake bardzo wątpił, by któryś z nich dorównywał Pranjowi. Żaden nie był przestępcą z innego świata i nie potrafił wnikać do mózgu przeciwnika, żeby kierować nim jak robotem. Miał tylko nadzieję, że dotrze do agentów szybciej niż ludzie Sierżanta do Pranja.

Nie mogąc ostrzec sierżanta w bardziej przekonujący sposób, Blake dołączył do oddziału, który wyruszał do dzielnicy mieszkalnej. Nie dostał jednak broni; nie zwrócono mu nawet sztyletu.

Ruszyli na zachód przez zarośniętą część parku. Kiedy mijali puste klatki zoo, Blake zapytał o zwierzęta; znał tylko los jeleni i ich krewniaków. Okazało się, że ptaki uwolniono. Gatunki zimujące na miejscu założyły gniazda wokół osady. Niedźwiedzie i drapieżniki zastrzelono.

— Oprócz wilków — dodał jeden z mężczyzn. — Uciekły. Zostały nam po nich dwie skóry. Dołączyły do psów i polują. Zimą ich stada są gorsze od snajperów.

Park był kiedyś pasem zieleni ciągnącym się przez dwie trzecie miasta. Teraz duże połacie zamieniły się w dziką dżunglę. Z dobrze utrzymanych alej pozostały tylko wąskie ścieżki wśród nieprzebitego gąszczu zarośli.

Okружили zamrożony kraniec stawu. Spłoszone ptactwo wodne wzbilo się z wrzaskiem do góry. Patrol Blake’a wymienił niewyszukane uprzejmości z grupą dźwigającą pojemniki z wodą. Nawet przy tym zajęciu mieszkańcy osady nie rozstawiali się z karabinami lub łukami. Blake dowiedział się, że broń palna przysługuje tylko najlepszym strzelcom. Reszta „bojowników”, czyli wszyscy mężczyźni powyżej dwunastu lat i niektóre kobiety, musi się zadowolić łukami. Podobno młodszy chłopcy posługiwali się nimi tak sprawnie, że karabiny woleli tylko ze względów prestiżowych. Po wyczerpaniu się amunicji i całkowitym przejściu na łuki następne pokolenie miało zapewnioną broń i instruktorów.

Celem dzisiejszej wyprawy było nie tylko dotarcie do ewentualnej bazy agentów, lecz również znalezienie nowych źródeł zaopatrzenia. Manny wyjaśnił, że to stałe zajęcie parkowych osadników. Korzystając ze starych planów miasta i map sierżanta, lokalizują sklepy i domy towarowe, skąd zabierają, co się da. Bardzo często okazuje się, że obiecujący trop prowadzi donikąd — na miejscu zastają tylko ruiny i zgłiszcza. Jednak systematyczne penetrowanie miasta daje na ogół dobre rezultaty i pozwoliło im przetrwać ostatnie, chude lata. Każda taka wycieczka to jak poszukiwanie zaginionych skarbów.

— Leki dla naszego doktora, materiały, ubrania, puszkowane żarcie... — ciągnął Manny. — Bierzemy wszystko, co jeszcze się do czegoś nadaje. Żeby tak ciężarówka była na chodzie i ulice niezawalone gruzem, szłoby nam lepiej. Ale jak trzeba by stawać co parę metrów i odwalać z drogi kamienie, to nawet nie warto się bawić. Tylko załatwimy meliniarzy, od razu szaber zrobi się łatwiejszy. Człowiek nie będzie się ciągle oglądał za siebie, czy nie wpakują mu kuli w bebechy. Póki co, musimy targać towar na plecach.

— Na rogu Mount Union był *drugstore* — podpowiedział Blake. Trzy czy cztery dni temu schronił się przed śnieżycą w jej jasno oświetlonym i ciepłym wnętrzu. Ale czy w tym świecie budynek jeszcze stoi?

— Tak? — zainteresował się Manny. — Może to coś dla nas? Jack... — krzyknął

przez ramię do chudego wyrostka pochłoniętego kłótnią z małym murzyńskim chłopcem — masz listę Doktorka?

Jack pomacał się po złachanej, kraciastej kurtce.

— Mam. A co, Manny?

— Po drodze będzie *drugstore*, o ile coś z niego zostało. Wskoczysz tam z Bobem i sprawdzisz, co można zabrać. Ale bierz tylko to, co wypisał Doktor.

— Dobra — zgodził się chłopak i powrócił do zażartej dyskusji z młodszym kolegą. Spierali się, czy warto tropić sforę psów, których ślady prowadziły na zachód. Skóry psów i wilków były wysoko cenione w osadzie.

— Jack to bystrzak — powiedział Manny. — Jak dorośnie, może będzie naszym drugim doktorciem. Sierżant wybiera młodych, co mają łeb do nauki. Chociaż wszyscy uczą się pisać, czytać i liczyć. W zeszłym miesiącu kazał nam przytargać książki z biblioteki. Nawet pozwolił wziąć konie, tyle tego było. Mówi, że może te dzieciaki będą musiały walczyć do końca życia, ale nie powinny być ciemne. Jak zauważy, że jakiś chłopak garnie się do czegoś, zaraz stara się go nauczyć ile tylko można. — Oczy Manny'ego zabłyśły. — Kiedyś, jak załatwimy meliniarzy i zaczniemy żyć spokojnie, ruszymy się stąd. Wyleziemy z tej pułapki na szczury i zobaczymy, co się stało z resztą kraju. Byliśmy najlepsi i znów będziemy. Przekonasz się.

Kto wie? — pomyślał Blake. W sprzyjających warunkach ci ludzie zapewne podnieśliby ten świat z gruzów. Może nawet zbudowaliby lepszy. Ale do tego potrzebna jest stabilizacja. Co ich czeka, jeśli zjawi się tu Pranj? Jak będzie wyglądała przyszłość, jeżeli informacje sierżanta okażą się prawdziwe i Ares da meliniarzom do ręki nową broń, na przykład karabiny termiczne z podziemnego laboratorium w innym świecie? Z takim wyposażeniem te wściekłe psy, które hamują powrót do cywilizacji, bez trudu zniszczyłyby załazek nowego życia. Dezerterzy i przestępcy zaprowadziliby własny porządek pod rządami Pranja.

W tej chwili Blake już nie uważał go tylko za swojego wroga. Ich walka przestała być prywatną sprawą dwóch przeciwników, słabszego i mocniejszego. Stała się wojną ze wszystkim, co Pranj sobą reprezentował. Blake musiał uratować ludzi Sierżanta przed degeneratem, który mógł tak łatwo rozwiać ich nadzieje na lepsze jutro. Teraz rozumiał znaczenie misji agentów — próbowali chronić światy na innych poziomach przed takim samym niebezpieczeństwem. Dlatego niestrudzenie ścigali Pranja. Każdy świat musiał iść własną drogą, o jego losach mogli decydować tylko jego mieszkańcy. Intruz z zewnątrz nie miał prawa narzucać im swojej woli.

Blake postanowił, że jeśli nie będzie mógł wrócić do własnego świata, powie sierżantowi całą prawdę o grożącym niebezpieczeństwie. Ale jeżeli istniała szansa skontaktowania się z agentami, musiał to zrobić szybko, zanim Pranj uderzy.

Wyszli z parku i skręcili w ulicę, gdzie stały rzędy nietkniętych domów. W kilku oknach nawet nie popękały szyby. W szkłe odbijało się zimowe słońce.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — spytał Manny.

Blake przystanął. Widział tę okolicę tylko nocą, ale był pewien, że są blisko celu.

— Hej, Manny! — zawołał Jack. — Jest *drugstore*!

— A nazwa ulicy? — zapytał Blake.

— Zaraz... Tak, Union! — odkrzyknął chłopak. — Mówi wam to coś?

Blake wziął głęboki oddech.

— To tutaj — powiedział bardziej do siebie niż do Manny'ego.

Wizyta na obecnej Patroon Place okazała się niemiłym przeżyciem. Świat podziemnego laboratorium i świat wież były Blake'owi tak obce, że traktował je obojętnie. Znajome miejsce to co innego. Ta sama ulica, te same domy, ale dawno opuszczone. Tylko pustka i ruiny. Wybite szyby, zniszczone drzwi, wszystko w gruzach.

Manny pokazał palcem jeden z budynków.

— Ten już obrobili. Takie chałupy bogaczy szabrownicy załatwiali na samym początku. Który to nasz?

Blake stanął na podjeździe i popatrzył na znajomy dom. Teraz wyglądał zupełnie inaczej niż tamten w jego świecie, kiedy mieszkali tu agenci. Ale rozpoznał go. To jakiś koszmarny sen, pomyślał. Miał wrażenie, że zamiast przenieść się w równoległy czas, odbył przypadkiem podróż w przyszłość lub w przeszłość. Wzdrygnął się i wolno ruszył naprzód.

Drzwi frontowe były wyrwane, a ściana wokół podziurawiona.

— To od kul — stwierdził fachowo Manny. — Facet, co tu mieszkał, musiał się bronić.

W środku natknęli się na barykadę z połamanymi meblami. Manny wyjął starą latarkę i oświetlił pomieszczenie. W rogu leżały zbieleńsze kości. Blake przeraził się na moment, że to może któryś z... Ale natychmiast przypomniał sobie, że jest w innym świecie. Nie wolno mu o tym zapominać.

— Czego szukamy? — zapytał Manny.

— Powinno być w piwnicy — odrzekł niejasno Blake. W takim miejscu najłatwiej było ukryć stanowisko platformy.

Manny przechodził z pokoju do pokoju, otwierając nieliczne, pozostałe w zawiasach drzwi. Znaleźli następne kości i ślady walki. Przed laty musiała się tu toczyć prawdziwa bitwa o każde pomieszczenie. W pewnej chwili światło latarki padło na podłogę i Blake zobaczył ślady łap.

— Wilk albo pies — powiedział Manny. — Włóczą się w tej dzielnicy.

— Czym się żywią?

— Nami — odparł ponuro Manny. — Jak uda im się kogoś upolować. Potrafią dogonić konia i wszystkie jeleniowate. Dlatego zimą nie chodzimy w pojedynkę i po zmroku nie wypuszczamy się w teren. Chyba że jest alarm. Często znajdujemy resztki meliniarzy, co byli głupi i włóczyli się po nocy albo mieli niefort. Jakies cztery, pięć tygodni temu Cal zaciągnął w zachodni koniec parku martwego kuca na przynętę. Zanim zaszło słońce, dopadły go cztery psy i jeden wilk. Cholernie cwane i groźne bestie. I robią się coraz cwańsze... O, jest piwnica...

Za ostatnimi drzwiami, które otworzył, zobaczyli schody. Zeszli w ciemność. Na półkach stały rzędy pustych zakurzonych słoików. Dalej ciągnęła się splądrowana i zdemolowana przechowalnia wina. Przeszli przez pralnię, potem przez kotłownię i stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Manny cały czas liczył pod nosem kroki i teraz powiedział:

— Ta piwnica jest większa niż dom. Chyba już stoimy pod podwórzem od frontu albo nawet pod ulicą.

W Blake'a wstąpiła nadzieja. Taka duża przestrzeń była komuś do czegoś potrzebna. Do ukrycia stanowiska platformy? Manny szarpnął solidne, drewniane drzwi, ale nie ustąpiły.

— Zaryglowane!

Blake przyszedł mu z pomocą. Drzwi ani drgnęły. Przesunął palcem po zawiasach; były świeżo naoliwione. W dawno opuszczonym domu? Odpowiedź mogła być tylko jedna: to punkt kontaktowy agentów z innymi poziomami. Wystarczy tu poczekać i spotka ich. Prędzej czy później muszą się pojawić. Wróci do własnego świata. Tylko czy ludzie Sierżanta pozwolą mu tutaj zostać? I jak długo będzie koczował w tym domu?

— Nasmarowane? — zainteresował się Manny. — To meta twoich kumpli, techniczny?

— Mam nadzieję. Ale nie wiem, kiedy przyjdą.

— Wystawimy tu posterunek — zaproponował Manny. — Jak się pokażą, zauważymy ich. Dlaczego mają metę w piwnicy? — Zadał to pytanie, jakby głośno myślał, ale Blake nie zamierzał odpowiadać.

Kiedy wspinali się z powrotem po schodach, z zewnątrz dobiegł charakterystyczny gwizd — sygnał ludzi Sierżanta. Na podwórzu czekał Jack z młodszym kolegą. Mieli na plecach wypchane worki. Małomówny Gorham zaglądał do garażu.

— Tego sklepu nie ruszyli, Manny! — przywitał ich Jack. — Mamy wszystko dla doktora i puszkowane żarcie! Tyle tutaj towaru, że warto przysłać konia. Trzeba powiedzieć Sierżantowi.

Manny spojrział na niebo. Pozycja bladego słońca wskazywała, że dawno minęło południe.

— Najpierw coś przekąsimy — zdecydował. — Potem Bob i Gorham polecą do obozu i zameldują, co tu jest. Jak Sierżant da konia, w porządku. I powiedzcie mu, że wystawiamy tutaj posterunek. Ty posortujesz żarcie w sklepie, Jack. Część odłożysz dla tych, co tu obejmą wartę; po co mają dźwigać prowiant? I trzeba zrobić zwiad. Żadnych śladów meliniarzy, Gorham?

Gorham pokręcił skołtunioną głową.

— Kiedyś tutaj grasowali, to widać. Ale chyba tylko na samym początku. Dużo zniszczyli, mało zabrali. Od tamtej pory pewnie nikogo tu nie było.

— To mamy fart. — Manny usiadł na tylnych schodach. — Jemy.

Przeżuwali przyniesione racje żywnościowe i popijali z manierek oczyszczoną wodę ze stawu. W powietrzu pojawiły się pierwsze płatki śniegu. Gorham przyjrzał się nadciągającym chmurom.

— Do wieczora rozpada się na dobre. Zobaczcie, jak ciemno na wschodzie.

Blake popatrzył w tamtym kierunku. Zapowiadała się prawdziwa zamieć. Mogła przeszkodzić w wystawieniu posterunku. Manny widocznie też się jej obawiał, bo poruszył się niespokojnie i szybko dokończył jedzenie.

— Gorham, weź Boba i lepiej ruszajcie — doradził. — Jak dostaniecie konia, wracajcie migiem. Musimy zdążyć wyczyścić ten sklep przed zawieją. Jack, włącz do środka i układaj żarcie tak, żeby było łatwo pakować. Ja się rozejrzę. — Po raz pierwszy przypomniał sobie o Blake'u. — Ty idź z Jackiem.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Blake nie zamierzał oddalać się stąd; w każdej chwili mogli pojawić się agenci. Ale nie był uzbrojony i wciąż miał status jeńca. Długo się ościagał i czekał, aż Gorham i Bob odejdą, a Manny zniknie na tyłach sąsiedniego domu. W końcu Jack znecierpliwiał się i w dodatku miał karabin.

— Rusz tyłek!

Blake zakręcił się w miejscu. Nagłe poczucie zagrożenia ugodziło go jak pocisk. Niebezpieczeństwo! Przez moment wpatrywał się w pusty dom i podwórze. Coś jest nie tak! Grozi im coś strasznego!

W mgnieniu oka rzucił się na chłopaka, chwycił go za ramię i gwałtownie odciągnął od budynku. Zaskoczony Jack obrócił się, gotów do walki. Blake stracił równowagę, ale nie puścił. Poleciał do przodu, pociągnął Jacka za sobą i obaj wpadli

do garażu. To uratowało im życie.

Rozległ się ogłuszający huk, oślepił ich potworny błysk i świat dookoła rozleciał się na kawałki. Blake usłyszał okrzyk bólu i strachu. Leżał półprzytomny na podłodze i czekał na koniec.

W oczach i ustach miał pełno gryzącego pyłu. Dusił się i nic nie widział. Wreszcie usiadł i przetarł rękami brudną twarz. Zamrugał przez łzy, żeby coś zobaczyć. Szumiało mu w głowie, ale dotarł do niego słaby jęk.

Jack leżał twarzą w dół. Drewniana belka przywalała mu nogi. Z przeciętego uda tryskała krew. Blake wolno odwrócił głowę. Tam, gdzie stał dom, pozostała tylko wielka dziura w ziemi.

Podpełził do chłopaka i szybko zabrał się do pracy. Udało mu się usunąć belkę, ale pod nią była otwarta rana. Jakiś kawałek metalu głęboko rozorał ciało. Blake zdołał powstrzymać krwawienie. Na szczęście wyglądało na to, że kość jest cała.

— Co... co się stało? — wystękał Jack, rozgarniając rękami pył i szczątki. — Mój karabin! Gdzie mój karabin?

Broń zniknęła i Blake nie miał ochoty jej szukać. Zmienił zdanie, kiedy nagle ciszę rozdarł huk wystrzału. Potem następne.

— Drugi... trzeci... — liczył głośno, próbując przeniknąć wzrokiem ścianę padającego śniegu. Manny albo Gorham z kolegą wpadli w tarapaty.

Jack uniósł się na łokciach.

— Karabin... Meliniarze...

Blake zaczął gorączkowo grzebać w rumowisku. Teraz jemu również zależało na znalezieniu broni. Ale ostrzegł Jacka:

— Leż spokojnie, bo wykrwawisz się na śmierć!

Jack usłuchał; widocznie Doktorek rzeczywiście uczył go medycyny. Przestał się wiercić i tylko patrzył na wysiłki Blake'a. W końcu spod gruzu wyłonił się karabin. Wydawał się nieuszkodzony. Blake poczuł się pewniej z bronią w rękach. Cokolwiek czaiło się wśród gęstniejącego mroku i śnieżnej zamieci, mógł stawić temu czoło. Ale po eksplozji jego system ostrzegawczy wyłączył się. Nie wyczuwał następnego niebezpieczeństwa.

— Co się stało? — powtórzył Jack mocniejszym głosem.

— Chyba wybuchła bomba.

Jack przyjął to spokojnie do wiadomości.

— Jeśli to była jedna z tych zabawek z opóźnionym zapłonem, to mieliśmy szczęście. — Uniósł głowę i rozejrzał się. — o rany! Dom zniknął!

— Tak. — Ale Blake'a bardziej obchodziła teraz najbliższa przyszłość niż niedawna przeszłość. Nie mógł zostawić Jacka, a zamieć przybierała na sile. Garaż ocalił im życie, lecz nie chronił wystarczająco przed burzą śnieżną. Jeśli Manny i reszta zginęli w strzelaninie, meliniarze mogą tu dotrzeć ich tropem. Wyjrzał na ulicę.

Eksplozja uszkodziła sąsiednie domy. Jeżeli są odcięci od obozu, będą potrzebować ciepłego schronienia, jedzenia, wody i opatrunków. Mogą to wszystko znaleźć tylko w jednym miejscu. Blake znów był zdany na siebie w obcym świecie i w dodatku czuł się odpowiedzialny za Jacka.

Ale chłopak żyje tutaj i zna wszystkie niebezpieczeństwa. Skoro dotąd potrafił przetrwać w tych warunkach, musi być twardy.

— Dojdiesz z moją pomocą do *drugstore'u*? — zapytał Blake. Jack oblizał wargi.

— Myślisz, że Manny oberwał?

— Skąd mam wiedzieć? Jest coraz większa zamieć i nie możemy tu zostać na noc.

Chodnik pokryła już gruba warstwa śniegu, wokół narożników budynków tworzyły się zaspasy.

— Dobra — zgodził się Jack. — W sklepie przynajmniej nie będzie wiało. Dam

radę. Człowiek może wszystko, kiedy trzeba. — Ostatnie zdanie zabrzmiało niczym myśl przewodnia jego społeczności.

Ale gdyby Blake wiedział, co go czeka, pewnie nie podjąłby się tego zadania. Prawie dźwigał uwieszonego na nim Jacka i posuwali się ślimaczym tempie. Co chwilę przystawali i oglądali prowizoryczny bandaż; sprawdzali, czy rana na udzie nie krwawi. Kiedy wreszcie dobrnęli do celu, Blake słał się ze zmęczenia. Zdołał jeszcze wciągnąć chłopaka w głąb sklepu i usiadł ze zwieszoną głową. Ledwo dyszał i kłuło go w boku.

Na dworze rozpełtała się istna nawałnica. Śnieg zupełnie przesłonił rozbite okno wystawowe i gromadził się na podłodze długiej sali. Na szczęście na tyłach drogerii dach, ściany i małe szyby były całe.

— Nawet jeśli nasi żyją... — odezwał się nagle Jack — nie zazdroszczę im przedzierania się przez tę zadymkę.

Blake domyślił się, że chłopak liczy na nadejście pomocy. Musiał go o coś zapytać.

— Czy przy takiej pogodzie meliniarze nie siedzą w swoich norach?

— Powinni — odparł Jack. — Łatwo wpaść w lej po bombie albo w dół po wybuchu gazu. My zwykle nie wychodzimy.

Blake odzyskał równy oddech i przystąpił do poszukiwań potrzebnych rzeczy. Błogosławił amerykańskie *drugstore*'y za tak szeroki asortyment sprzedawanych towarów. Znalazł pudło różowych i niebieskich koczków dziecięcych i zrobił z nich posłanie na podłodze. Ułożył na nim Jacka i założył mu nowy opatrunek.

Kiedy wspomniał o rozpaleniu ognia, chłopak zaprotestował. Bał się, że blask ich zdradzi. Blake przekonał go jednak, że długość sklepu i gęsta śnieżycy uniemożliwiają dostrzeżenie płomieni z ulicy. Nie mógł dopuścić, żeby zamarзли.

Marmurowy kontuar barku z napojami chłodzącymi został doszczętnie rozbity przez pierwszych szabrowników. Blake przeniósł jeden z kawałków w głąb sklepu, posłużył jako palenisko. Zebrał też szczątki roztrzaskanych drewnianych gablot na opał.

W międzyczasie Jack zajął się na siedząco sortowaniem zapasów, które znalazł wcześniej. Oddzielił to, co było teraz najbardziej potrzebne. Blake wygrzebał zapalniczkę z resztek zniszczonej gablotki wystawowej; ku jego zdumieniu działała. Wrócił na tyły sklepu, przytknął ją do pogniecionego tekturowego pudełka i rozpałił ognisko. Kiedy upewnił się, że nie zgaśnie, przyniósł śnieg w wysokich szklankach i miseczkach. Rozpuścił go, zagotował wodę w rondlu z bufetu przekąskowego i wsypał kakao.

Powąchał napój z zadowoleniem. Jack położył się z powrotem, przykrył koczkami w brykające misie panda i uśmiechnął słabo.

— Naprawdę mamy szczęście — powiedział. — Tu jest lepiej niż w obozie.

Poruszył się i skrzywił.

— Noga ciągle boli?

— Tylko jak zapomnę i wierzgnę. Ale już będę pamiętał. Bracie, żeby tu jeszcze był Manny i Bob, byłoby pierwsza klasa, po prostu super! Co jest w tej puszcze?

Blake przeczytał etykietkę.

— Zupa fasolowa. To smaczne. Ale zaczekaj, aż będzie gorąca.

Wytrząsnął zawartość do następnego rondla, dolał trochę wody i podgrzał. Potem przelał połowę kakao do kubka i podał Jackowi. Ciepło bijące od ogniska i gorący napój dobrze im zrobiły, poczuli się dużo lepiej. Nie na długo.

Z zewnątrz dobiegło przeciągłe wycie. Odpowiedziało mu drugie. Jack aż podskoczył i kakao pociekło mu po palcach. Złapał karabin leżący obok posłania.

— Stado!

System ostrzegawczy Blake'a milczał, ale ciarki przeszły mu po plecach. Dobrze

znał tę reakcję towarzyszącą człowiekowi od zarania dziejów; ostatnio zbyt często bywał zwierzyną osaczoną przez myśliwych.

— Zaatakują nas?

— Boją się ognia — odrzekł Jack i przygryzł dolną wargę. — Ale... zostało mi tylko dziesięć naboii.

Blake wstał. Jeśli ogień miał być ich głównym środkiem obrony, nie mógł zgasnąć. Zaczął gromadzić wszystko, co nadawało się do spalenia. Część układał obok Jacka, żeby chłopak dorzucał do ogniska bez podnoszenia się z posłania. Buszując po całym sklepie, odkrył składzik pełen pudeł z żywnością. Pospieszenie rozrywał tekturę, wysypywał zawartość na ziemię i dokładał puste kartony do stosu opału. Wtem zauważył drzwi zabezpieczone antabą. Domyślił się, że wychodzą na zaułek za sklepem i służyły dostawcom towarów. Ale nie przerwał swojego zajęcia, żeby to sprawdzić. Kiedy skończył z pudłami, znalazł najcenniejszą zdobycz: ciężki młotek do otwierania skrzyń. Miał wyjątkowo długi, rozdwojony koniec do wyciągania gwoździ. Wetknął go za pasek. W walce wręcz mógł się okazać groźną bronią.

Szedł przez sklep z naręczem drewna, gdy na ulicy mignął jakiś cień. Blake przebiegł ostatnie metry, rzucił ciężar obok ogniska, i zawrócił, żeby to zbadać. Na tle śniegu przesunął się ciemny kształt. Pies czy...?

Zagwizdał wiatr i biała kurzawa przesłoniła widok. Blake wpatrywał się w drzwi. Co się tam skrada? Poczul zapach parującej zupy. Może to zwabiło bestie? Ale przecież on i Jack muszą coś jeść. Zwłaszcza chłopak potrzebuje gorącego posiłku. Gdzieś w pobliżu rozległ się łoskot. Blake powoli cofnął się do ogniska.

— To tylko wiatr — uspokoił go Jack, jak zwykle siląc się na odwagę. — Przewraca resztki ruin. Tak jest zawsze, jak mocno wieje.

Blake podniósł wzrok na sufit. Nie dostrzegł żadnych pęknięć. Wiedział, że sklep stoi z dala od wysokich budynków. Bez względu na to, co im grozi, przynajmniej nie zostaną pogrzebani żywcem pod zwałami gruzu.

Nie potrafił siedzieć beczynnienie. Zaczął znosić puszki i słoiki z jedzeniem. W końcu przygotował taki zapas, jakby mieli tu przetrwać długie obleżenie. Jack zapadł w niespokojną drzemkę, więc Blake przejął karabin. Był pewien, że coś czai się na zewnątrz i tylko ognisko trzyma bestie na dystans. Przewyciężył senność i dołożył do ognia. Od kilku godzin nie opuszczał go dziwny niepokój. Nie było to znajome, bardzo wyraźne ostrzeżenie przed natychmiastowym niebezpieczeństwem, lecz czuł, że zagraża mu coś o wiele gorszego niż stado czyhające na ulicy.

Tyłna ściana sklepu miała tylko dwa małe okienka tuż pod sufitem. Blake przyciągnął skrzynki i zbudował punkt obserwacyjny. Wdrapał się na górę, przykucnął i przywarł nosem do zamarznętej szybki. Musiał osłonić twarz rękami, żeby nie przeszkadzał mu blask ognia. Ale zobaczył tylko ciemność i padający śnieg. Próbował sobie przypomnieć usytuowanie *drugstore*'u. Czy można stąd dojrzeć Patroon Place? Chyba tak.

Wiatr osłabł i zamieć straciła na gwałtowności. Jack obudził się z krzykiem, jakby nie wiedział, gdzie jest. Blake wrócił do niego w pośpiechu.

— Wilki! — Chłopak wytrzeszczał oczy i rozglądał się nieprzytomnie.

— Tu ich nie ma — uspokoił go łagodnie Blake.

Jack miał rozpaloną twarz. Blake dotknął jego czoła; było gorące. Pogrzebał w zgromadzonych zapasach. Antybiotyki... Ale czy na tym poziomie są te cudowne leki? Na żadnym opakowaniu nie znalazł znajomej etykiety.

Wtem doznał wstrząsu. Czy odbiera wibrowanie powietrza znane tylko tym, którzy już tego doświadczyli? Dziwna słabość, dezorientacja, wirowanie...! Blake zerwał się i rzucił do piramidy ze skrzynek. Wdrapał się na górę i wyrzwał w noc. Czy to daleki szum platformy podróżującej właśnie między światami?





Gdyby nie Jack, Blake pobiegłby co sił w nogach na Patroon Place. Zsunął się w pośpiechu ze skrzynek, przewracając cały stos. Lecz kiedy napotkał wzrok chłopaka, zamarł.

Nie miał w tym świecie żadnych zobowiązań. Wobec nikogo. Ale nie mógł zostawić Jacka, nawet dla jedynej szansy powrotu do własnego czasu.

Chłopak wyglądał teraz bardziej przytomnie.

— Stado odchodzi... Idzie tu Manny!

Mówi prawdę czy tylko śni na jawie? Zanim Blake zdążył go powstrzymać, Jack zagwizdał w umówiony sposób. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł cichy odgłos.

Zwierzę czy człowiek? Blake chwycił karabin, precyzyjnie się obok postania i zajrzał w ciemność. Może to agenci? W Blake'a wstąpiła słaba nadzieja. Wszedł ostrożnie do głównej sali sklepowej.

Przez frontowe drzwi wymknął się jakiś cień, potem drugi. Blake podniósł puszkę i rzucił za nimi. Coś warknęło i trzeci intruz zniknął na ulicy, wzbijając fontanny śniegu. Stado wycofywało się. Ale dlaczego? On je wypłoszył czy bestie zwierzyły poważniejsze niebezpieczeństwo?

Blake czuł niepokój, lecz jego system ostrzegawczy milczał. Stał przez chwilę w pustej sali, potem wzdrygnął się z zimna i wrócił do ognia. Na sygnał Jacka nikt nie odpowiedział. Co nie znaczyło, że nikt go nie usłyszał. Mógł ich namierzyć jakiś meliniarz i teraz skradał się bezszelestnie w ciemności.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Blake pełnił wartę i podsyczał ogień. Kiedy ogarniała go senność, wstawał i spacerował do końca głównej sali i z powrotem. Nad ranem Jack przestał się rzucać w gorączce i zapadł w głęboki, spokojny sen. Nie był już taki rozpalony. Blake z ulgą powitał nadejście świtu.

W bladym świetle szarego poranka przyrządził gorący posiłek — zupę i gulasz i puszki. Oceniał, że zgromadzone zapasy wystarczą co najmniej na tydzień. Do tego czasu Sierżant powinien przysłać tu swoich ludzi, nawet gdyby Bob i Gorham nie dotarli do osady.

Jack spojrzał tęsknie najedzenie.

— Ładnie pachnie!

Blake umył mu twarz i ręce. Niezbyt delikatnie, ale chłopak przyjął to z wdzięcznością/

— Stado ciągle czatuje? Blake pokręcił głową.

— Wyniosło się w nocy. Nie wiem dlaczego.

— Dziwne... — Jack zmarszczył czoło. Ale Blake miał teraz inne zmartwienia.

— Jeżeli zgodzisz się zostać przez chwilę sam, otworzę tylne drzwi i rozejrzę się na zewnątrz.

Chłopak zerknął na karabin oparty o zwalony stos skrzynek. Blake uśmiechnął się.

— Zostawię ci go. Mam to... — Pokazał młotek.

— Może znajdziesz Manny'ego? A o mnie się nie martw. Z bronią i ogniem nic mi się nie stanie.

Blake uniósł oburącz kubek zupy, ale nie mógł powstrzymać ziewania.

— Nie przekimasz się trochę? — zapytał Jack. — Założę się, że nie spałeś całą noc.

— Zgadza się.

Chłopak miał rację; Blake potrzebował snu. Wystarczyłaby godzina lub dwie, a potem mogło się to przydać. Jeśli mieliby tu zostać do jutra, znów musiałby pełnić

nocną wartę.

Przeszukał sklep, znalazł pudło plażowych materaców, i przygotował sobie pośłanie. Zanim zwinął się w kłębek, rozkazał Jackowi, żeby w razie potrzeby natychmiast go obudził.

Ale nie mógł zasnąć; chwilami tylko drzemał. Cały czas podświadomie czuwał. W końcu dał za wygraną, wstał i podgrzał dla obu jedzenie. Potem postanowił wykorzystać światło dzienne i rozejrzeć się. Poza tym przed zapadnięciem zmroku powinien nazbierać drewna na opał.

Po raz ostatni przeszedł się po sklepie i zgromadził na stosie wszystko, co nadawało się do spalania. Ślady łap w zaśnieżonym wejściu były niemym ostrzeżeniem, żeby nie lekceważyć niebezpieczeństwa. Blake nie potrafił rozpoznać, ile zwierząt i jakich zakradło się tutaj nocą. Ale wielkość wydeptanej przestrzeni bynajmniej nie podniosła go na duchu. Jeszcze jeden dzień bez pożywienia i stado wygłodniałych bestii przestanie się bać ognia.

Blake posadził Jacka tak, że plecami opierał się o skrzynkę, z karabinem na kolanach oraz z opałem, wodą i jedzeniem pod ręką. Chłopak przynaglał go do wyjścia. Był pewien, że Manny jest w pobliżu i potrzebuje pomocy. Blake obiecał, że go poszuka, ale bardzo wątpił, by Manny jeszcze żył. Podejrzewał, że zginął od wybuchu lub w strzelaninie.

Po odblokowaniu tylnych drzwi Blake początkowo nie oddalał się od sklepu. Znosił znalezione drewno, układał w wejściu i wesoło rozmawiał z Jackiem dla dodania mu otuchy. Ale z trudem powstrzymywał niecierpliwość. Kusiło go, żeby wreszcie sprawdzić, czy na Patroon Place nie ma agentów.

— Idę do tamtego domu — powiedział w końcu.

— Poszukać Manny'ego? Bomba! — ucieszył się chłopak. — Bez obaw, poradzę sobie. Zresztą na pewno niedługo wrócisz, no nie?

— Postaram się jak najszybciej.

Blake rozpoczął wędrówkę. Krył się i czujnie obserwował ulicę i domy. Na śniegu zauważył poplątane ślady stada, ale żadnych ludzkich. Dzień był pogodny i mroźny. W lichych rękawiczkach bez palców, które dostał w osadzie, marzły mu dłonie. Uderzał rękami o boki ciała, żeby się rozgrzać. Żałował, że nie ma swojej eskimoskiej kurtki.

Na widok dołu po wysadzonym w powietrze domu zaczął biec. Brnął przez zasypane podjeżdżie, gdy naraz stanął jak wryty. Na śniegu widniały ślady ludzkich stóp. Wychodziły z piwnicy w dół i zwracały. Patrzył na nie tępo, nie chcąc uwierzyć, że się spóźnił.

Nie miał pewności, czy ślady zostawił Saxton, Kittson, Hoyt lub Erskine. Podeszedł do krawędzi dołu i popatrzył na zburzoną piwnicę. Zobaczył wydeptane miejsce i znalazł ostateczny dowód — odciski małych, kocich łapek. Urywały się gwałtownie, jakby ktoś wziął zwierzątko na ręce.

Blake'a ogarnęła czarna rozpacz. Byli tu ostatniej nocy! Tak blisko niego, a teraz... Kopnął z rozmachem cegłę; wpadła do dołu. Nie ociągali się, szybko zniknęli. Może uznali, że nie mają tu czego szukać. W takim razie już nie wrócą. Stracił ostatnią szansę!

Rozpacz przerodziła się we wściekłość. Nie na długo. W pobliżu rozległy się strzały karabinowe. Blake obrócił się w miejscu. Z pewnością nikt nie strzela do niego... To w sklepie! Jack!

Wyciągnął młotek i popędził z powrotem, ślizgając się na śniegu. Następny strzał. To znaczy, że walka jeszcze trwa. Skręcił w zaułek za *drugstore'em*. Nikogo. A drzwi są w takiej pozycji, w jakiej je zostawił. Więc atakują od frontu. Chwycił za klamkę, ominął stertę drewna w wejściu i wśliznął się do środka.

— Tu jest tylko jeden dzieciak — usłyszał. — W dodatku ranny.

— To podejdz do niego — odpowiedział drugi głos.

W progu frontowych drzwi leżał mężczyzna. Upadł twarzą w dół. Pod nim rosła ciemna plama. Dwaj inni przywierali do ścian, żeby nie znaleźć się na linii ognia Jacka. Jeden trzymał pistolet, drugi nóż.

Blake przykucnął i zmrużył oczy. Na szczęście nożownik skradał się drugą stroną sali. Tylko strzelec był blisko. Może to jedyna szansa... Spreżył się niczym kot, uniósł młotek i skoczył.

Mężczyzna zrobił nagle półobrót i narzędzie rozerwało mu tylko skórę nad uchem. Zatoczył się z wrzaskiem i chwycił za głowę, ale nie wypuścił pistoletu. Huknął strzał i pocisk przeciął powietrze obok twarzy Blake'a. Z drugiej strony sali dobiegł gardłowy okrzyk. Blake znów się zamachnął.

Przeciwnik osunął się na podłogę jak szmaciana lalka. Blake odwrócił się błyskawicznie, ale nożownik nie zaatakował.

Przypomniał sobie w porę, że jeśli się ruszy, wejdzie Jackowi na linię strzału. Już się przekonał, że chłopak nie chybia i wołał nie ryzykować w obronie kompana.

Na moment obaj zastygli w bezruchu, potem Blake dostrzegł pistolet na podłodze. Broń dałaby mu przewagę i nożownik o tym wiedział. Wykrzywił brodatą twarz, warknął i rozejrzał się szybko. Kiedy Blake zrobił krok, dał nura za kontuar.

— Uważaj! — zawołał Jack. — Jest ich więcej!

Blake przypadł do ziemi i ukrył się. Zerknął niepewnie na ulicę.

— Ilu? — zapytał. Zastanawiał się, czy uda mu się dotrzeć do Jacka, przeskakując zza jednej osłony za drugą. A może lepiej nie ruszać się z miejsca?

— Nie wiem — odpowiedział bezradnie chłopak.

Jeśli jest ich więcej, dlaczego nie atakują? Są zajęci czymś innym? Może się oddalili i nic nie usłyszeli? W takim razie trzeba przeszkodzić nożownikowi w ucieczce, żeby ich nie zawiadomił.

Blake zaczął pełznąć w jego kierunku, ale tamten przebiegł za następnym kontuarem. Blake strzelił i chybił; pocisk odłupał tylko kawałek podłogi.

Lady sklepowe kończyły się niedaleko drzwi. Jeśli mężczyzna zamierzał dostać się do wyjścia, musi za chwilę pokonać kawałek otwartej przestrzeni. Blake uzbroił się w cierpliwość i czekał.

Za kontuarem, gdzie chował się nożownik, rozprysło się szkło. Próbuje dobiec do drzwi? Blake oparł pistolet o zgięty łokieć drugiej ręki. Ale cel nie pojawił się. Blake słyszał jednak kroki za osłoną. Skoro tamten nie rzucił się do ucieczki, może zawraca, żeby zaatakować?

Blake wahał się przez moment. Ruszyć się stąd i ubiec go czy zostać, żeby odciąć mu odwrót? A jeśli podejmie błędną decyzję? Frustracja z powodu wizyty agentów popchnęła go do działania. Zaczął się cofać w głąb długiej sali. Nagle zmroził go ostrzegawczy okrzyk Jacka. Zdażył się jeszcze poderwać i oprzeć plecami o ścianę, zanim nożownik skoczył na niego. Ostrze przecięło mu skórę na ramieniu i pięść uzbrojona w nóż ugodziła go w oparzone miejsce. Ból zamroczył Blake'a i napastnik zacisnął palce na jego dłoni z pistoletem.

Upadli, potoczyli się po zaśmieconej podłodze i uderzyli w rozbity stolik. Blake kopnął wściekle i usłyszał jęk bólu. Ale wciąż nie mógł użyć broni; tamten nie puścił jego ręki. Wtem dostrzegł, że przeciwnik zgubił nóż!

To dodało mu odwagi. Zebrał się w sobie i zaciekle próbował oswobodzić dłoń z pistoletem. Nagle dostał kolaniem w brzuch i zatkało go. Nożownik wykorzystał okazję i Blake zobaczył przed sobą czarny wylot lufy. Mężczyzna wyszczerzył zęby w sadystycznym uśmiechu i położył palec na spuście. Nie spieszył się, chciał przedłużyć sobie przyjemność zabicia człowieka.

Popęłnił fatalny błąd — karabin wypalił szybciej. Zabójca wykrzywił twarz w niemal idiotycznym grymasie zdumienia, zakrztusił się i plunął na Blake'a krwią.

Ale nie stracił przytomności, nadal był groźny. Z nienawiścią w oczach przyłożył lufę pistoletu do czoła ofiary. Blake szarpnął się w bok ostatkiem sił. Ogłuszył go huk wystrzału, wszystko wokół zawirowało i zapadła ciemność.

— Proszę... proszę...

Słowa dochodziły jakby zza mgły i drażniły bolącą głowę. Otworzył oczy. Wysoko nad sobą zobaczył popękany tynk. Zmarszczył brwi. Nic nie pamiętał. Gdzie jest i dlaczego...?

— Proszę... — Monotonny lament zmusił go do poruszenia się. Bolały go wszystkie wnętrzności, ale zdołał usiąść. Nogi przygniatało mu czyjeś ciało i całą pierś miał mokrą od krwi. Ktoś do niego strzelił!

Z trudem łapiąc oddech, wygramolił się spod trupa. Usłyszał szuranie. Ku niemu, wolno i z wysiłkiem posuwał się Jack. Podpierał się na rękach i popychał przed sobą karabin. Wpatrywał się w Blake'a przerażonymi oczami i tonem modlitwy w kółko powtarzał swoje „proszę”. Kiedy zobaczył, że Blake się podnosi, skulił się i zaczął spazmatycznie szlochać.

Chociaż każdy głębszy oddech wciąż sprawiał mu ból, Blake obejrzał się dokładnie. To nie była jego krew. Ale ledwo mógł poruszać chorą ręką. Jednak musiał działać — czas naglił. Jack ostrzegał wcześniej, że tych szakali jest więcej. Dobrze, że przynajmniej trzech już nie żyją. Chłopak podniósł wzrok.

— Mają... Manny'ego — wykrztusił przez łyż.

— Skąd wiesz? — Blake podpełził do niego. Skrzywił się, gdy natrafił ręką na ostry kawałek szkła. Bał się wstać; ilekroć się prostował, ściany wokół zaczynały wirować.

— Przechodzili obok... Prowadzili więźnia... Zobaczyli ogień... Trzech tu zostało... — Jack uspokajał się powoli. — Pierwszego zastrzeliłem w drzwiach. Reszta się rozdzieliła i nie mogłem ich wypatrzeć.

— Jesteś pewien, że to był Manny? — naciskał Blake. Otoczył drżącego chłopca zdrowym ramieniem.

— A kto?

Blake miał wątpliwości.

— Widziałeś twarz?

— Nie. Zaskoczyli mnie. Na śniegu nie słychać kroków. Już prawie przeszli, zanim ich zauważyłem.

— I nie zdążyłeś ich policzyć?

— Z przodu szło chyba trzech albo czterech; nie jestem pewien. Potem ci tutaj. Oni wrócą! — Jack złapał Blake'a za rękaw.

— Jak wrócą, to pożałują. Tym razem nie damy się zaskoczyć. — Blake dotknął obolałego brzucha i natychmiast tego pożałował. — Spójrz, co narobiłeś, Jack. Rana na nodze znów się otworzyła.

Przez opatrunek przesączała się krew.

— Musimy się tym zająć.

Na wpół zaniósł, na wpół zaciągnął chłopaka na posłanie i na nowo opatrzył ranę. Potem kazał mu leżeć spokojnie i przeszukał zwłoki w głównej sali. Zadanie nie należało do przyjemnych; jeszcze tydzień temu nie zmusiłby się do tego. Ale ten świat szybko uczynił go twardym.

Mężczyzna leżący w drzwiach miał strzelbę i nóż. Blake zastanawiał się, dlaczego nie zdążył strzelić do Jacka. Ten, który padł od ciosu młotkiem, był uzbrojony tylko w pistolet; Blake wetknął go za pasek. Kiedy obejrzał broń nożownika, gwizdnął ze zdumienia. Sztylet z rękojeścią wysadzaną klejnotami! Taki sam, jak tamten z

podziemnego laboratorium w innym świecie! Zawrócił i przyjrzał się kolejno twarzom zabitych. Zmierzwione brody wyglądały na prawdziwe. Zwykle rzezimieszki z tutejszego świata, pomyślał Blake. W typie zbirów Scappy. Pranj ma takich ludzi na wszystkich poziomach. A dumni arystokraci ze świata, w którym znajduje się laboratorium, to zapewne tamtejsze odpowiedniki Scappy.

Wrócił do Jacka.

— Rozpoznałeś kogoś z nich? Chłopak wytrzeszczył oczy.

— To po prostu meliniarze! Wszyscy wyglądają tak samo!

— Jeden miał to. — Blake pokazał mu sztylet. — Widziałeś już coś takiego?

Jack przesunął palcem po rękojeści.

— Jakiś zabytek? — zapytał z powątpiewaniem. — Sierżant miał podobny. Jeden zwiadowca przyniósł mu z muzeum. Ale tamten nóż był taki stary, że zaraz złamało się ostrze.

— Moim zdaniem to dowód, że ci ludzie mieli kontakt z naszym zdrajcą.

— Dla niego pracują tylko meliniarze ze śródmieścia.

— Ściągnął ich tutaj nie bez powodu. Szukają bazy agentów. Jestem tego pewien.

— Nieważne, po co tu przyszli — odparł zniecierpliwiony Jack. Bardziej interesował go własny problem. — Mają Manny'ego. Na pewno nie był ciężko ranny, bo mógł chodzić. Musimy go odbić. Nie masz pojęcia, co z nami robią, jak kogoś złapią żywcem. A Manny postawi się im i źle się to skończy. Ja nie mogę stąd wyjść z tą nogą, ale ty tak. Musisz ich dopaść i uwolnić Manny'ego!

Blake zerknął na strzelbę. Jak wytłumaczyć chłopcu, że nie jest w stanie spełnić jego prośby? Miałby przeciwko sobie trzech lub czterech uzbrojonych ludzi, którzy znają miasto dużo lepiej od niego. Wiedzą, gdzie się zaczaić, i zastrzelą go, zanim zdąży do nich podejść. W dodatku władza tylko jedną ręką. Nie podejmie się tego, nie poradzi sobie. Nie mówiąc już o tym, że nie zostawi tu Jacka samego.

— Pójdiesz po Manny'ego?

Blake podniósł wzrok.

— Nie widzę sposobu, żeby... — zaczął i nagle urwał. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł cichy, znajomy dźwięk. To nie do wiary! Chyba śni!

Niecierpliwe, rozdrażnione miauknięcie powtórzyło się. Blake zerwał się i podszedł do drzwi. Nie mylił się.

Przez walające się szczątki brnęła ku memu czarna, dobrze odżywiona kotka!

Blake wyciągnął rękę i zwierzątko obwąchało jego palce. Ale uwierzył, że to prawda dopiero wtedy, gdy pogłaskał miękkie futerko.

Odwrócił się z ożywieniem do Jacka.

— Jesteś pewien, że złapali właśnie Manny'ego? Jaki kolor włosów miał ich więzień?

Chłopak wpatrywał się w kotkę jak w czworonożną bombę zegarową, która za chwilę wybuchnie.

— Jasne, że to był Manny — odparł machinalnie. — Nie zauważyłem, jakie miał włosy. Mówiłem ci, że przeszli za szybko.

— A wzrost? — nie ustępował Blake. — Był niski czy wysoki?

— Manny jest niski, przecież wiesz! — zdenerwował się Jack. W Blake'a wstąpiła nowa nadzieja. Chłopak nie przyjrzał się więźniowi, nie zdążył. Schwytanym mężczyzną mógł być zatem jeden z agentów; kotka to żywy dowód. Jeśli tak, musiał dobrowolnie oddać się w ręce tamtych. Blake pamiętał, jak łatwo Erskine zawładnął umysłem Beneirsa. Chyba że tutejszych ludzi Pranja też chronią tarcze.

Gdyby mógł zostawić Jacka samego, poszukałby meliniarzy i ich więźnia. Choć może nie powinien się wtrącać do spraw agentów? Z drugiej strony, na początku tej zwariowanej przygody, jego interwencja w hotelu uratowała życie jednemu z nich...

Ale bał się opuścić Jacka.

Kotka wdrapała się Blake'owi na rękę i usadowiła na ramieniu. Ocierała się łebkiem o jego podbródek i mrucała. Blake przypomniał sobie, jak Hoyt ją wytresował. Może celowo przysłał tu zwierzątko jako posłańca? Było odkarmione, zadbane i nie bało się. Z pewnością nie zostało porzucone w ruinach.

— Muszę się dowiedzieć — powiedział Blake, bardziej do siebie niż do Jacka.

Chłopak usłyszał to i podniósł się na posłaniu.

— Idziesz po Manny'ego!

— Rozejrzę się — odrzekł wymijająco Blake.

Zanim wyszedł, zbudował w wejściu barykadę sięgającą do piersi, dołożył do ognia, po czym wręczył Jackowi strzelbę i karabin. Sam uzbroił się w dwa noże i pistolet. Chciał zostawić chłopcu kotkę, ale ani myślała się z nim rozstawać. Wczepiła się w niego wszystkimi pazurkami i tak głośno protestowała, że musiał ją zabrać.

— Powodzenia! — machnął mu na pożegnanie Jack. Blake jeszcze się ociągał.

— Niedługo wrócę...

— A zostań tam nawet cały dzień, byleś uwolnił Manny'ego! — odparł chłopak.

Jednak za progiem sklepu Blake nie ruszył na wschód tropem meliniarzy i więźnia. Zamiast tego poszukał na śniegu innych śladów. Wyraźne odciski małych łapek prowadziły w kierunku dzielnicy mieszkaniowej. Przeszedł pół przecznicy i skręcił w prawo między dwa domy. Kocie ślady przecinały tylne podwórze i zawałoną gruzem ulicę. Wiodły do zrujnowanej stacji benzynowej.

Blake pochylił się nad czarnym łebkiem, wystającym mu zza pazuchy.

— Daleko jeszcze?

Kotka podniosła na niego okrągłe ślepek i miauknęła grzecznie. Blake spojrzął wzdłuż ulicy. Zauważył tylko ślady sfory psów i jej; meliniarze nie przechodzili tędy. I nie chciał się zbyt oddalać od Jacka.

Ale odciski kocich łapek kusiły go, rozbudzały nadzieję. Przejdzie tylko na drugą stronę ulicy... Stamtąd też usłyszy odgłosy ewentualnego ataku na sklep.

Trop kończył się przy roztrzaskanych drzwiach warsztatu samochodowego.

Wysoka postać wyszła mu naprzeciw i przywitała go tak obojętnie, jakby rozstali się pięć minut temu.

— Cześć, Walker.

Hoyt! A za nim Kittson! Blake nagle zdał sobie sprawę, że zaciska zdrową rękę na broni.

— Byłeś na wojnie — zauważył któryś z agentów.

— Wejź i opowiedz nam o tym, synu — zaproponował Kittson.

Ale Blake już ochłonał z wrażenia. A przynajmniej odzyskał głos, bo ręce jeszcze mu się trzęsły.

— Tam jest ciężko ranny chłopak... — pokazał za siebie. — Nie mogę go tak zostawić.

Kittson ściągnął ciemne brwi.

— Tutejszy?

Blake przytaknął. Hoyt wziął od niego kotkę i umieścił za pazuchą. Przyjęła to z zadowoleniem; przymknęła ślepką z miną pełnego kociego szczęścia.

— Czy może chodzić?

— Nie.

Kittson z rezygnacją wzruszył ramionami.

— Zrobimy, co się da.

Blake odetchnął z ulgą, kamień spadł mu z serca. Hoyt przyniósł dwa karabiny dużego kalibru i we trzech wyruszyli do sklepu.

Blake chciał opowiedzieć o ostatnich przeżyciach, ale Kittson powstrzymał go.

— To może poczekać. Teraz zajmujemy się tym miejscowym.

Obaj agenci mieli skupione miny, więc Blake zamilkł. Czy z daleka oddziaływali na Jacka, tak jak Erskine z bliska na Beneirsa? Wiedział, że nigdy się tego nie dowie, bo chroni go własna tarcza.

Nie zwrócili uwagi na trzy trupy w dużej sali; od razu podeszli do posłania chłopca. Leżał z otwartymi oczami, ale nie zareagował. Sprawiał wrażenie, jakby nic do niego nie docierało. Kittson z wprawą zbadał ranę.

— No i... ? — zapytał Hoyt.

— Kiepsko. Potrzebna mu natychmiastowa pomoc. Zabierzemy go do bazy, wyleczymy i odstawimy tu z fałszywymi wspomnieniami. Przy jego podatności na wpływy nie będzie z tym kłopotu.

— Może ja się tym zajmę? — Hoyt westchnął z wyraźną ulgą. — A ty przez ten czas wysłuchasz Walkera. Mógłbym wrócić... — spojrzął na zegarek — powiedzmy za godzinę.

— Dobra. Znajdziesz nas tutaj.

Hoyt wziął Jacka na rękę jak małe dziecko i swobodnym krokiem wyszedł ze sklepu.

— Zabierze go na nasz poziom — wyjaśnił Kittson. — Jesteśmy dużo bardziej zaawansowani w dziedzinie medycyny niż większość światów. Chłopiec zostanie wyleczony i powróci tu z fałszywymi wspomnieniami z najświeższej przeszłości. Nawet nie będzie wiedział, że na krótko opuścił własny świat. A teraz, jak to było z tobą?

Blake szczegółowo opowiedział swoją historię. Starał się trzymać faktów, jakby składał raport dowódcy. Kittson słuchał w milczeniu, ale otaczająca go atmosfera chłodnej znajomości rzeczy cały czas oddziaływała na Blake'a. Agent obejrzał sztylet zabrany martwemu meliniarzowi. Blake zaznaczył, że zapewne pochodzi ze świata podziemnego laboratorium.

— Ming Hawn — stwierdził Kittson. — Zatem jeden z przystanków Pranja to Ixanilia. Natomiast ten świat wież to zupełnie coś nowego. O ile wiem, nie mamy



żadnych danych na temat tego poziomu. Później go zbadamy. — Wbił sztylet głęboko w kawałek drewna na opał. — Miałeś cholerne szczęście, Walker. Mogło ci się wydawać, że jest tam niebezpiecznie. Ale zapewniam cię, że pozornie spokojna Ixanilia jest o wiele niebezpieczniejsza dla nieostrożnego przybysza. Arystokracja sprawuje tam dziedziczne rządy, ma pewną nieprzyjemną rozrywkę... — Agent urwał i nie wyjaśnił nic więcej. — Pranj czułby się w tej kulturze jak u siebie w domu — ciągnął. — Podejrzewamy, że wybierze właśnie tamto miejsce. Ale sprowadzanie tu broni... Takie pogłoski chodzą wśród miejscowych, tak?

— Tak jest.

— Hm... No cóż, Erskine celowo dał się złapać grupie meliniarzy, których uważamy za ludzi Pranja. Wolelibyśmy nie kontaktować się z Sierżantem. Wygląda na to, że dobrze zamaskowałeś przed tutejszymi swoją prawdziwą tożsamość. Swoją drogą, to zadziwiające... — Kittson nie dokończył i zmienił temat. — Trafisz do piwnicy, gdzie wylądowałeś?

— Spróbuję — odrzekł Blake, ale miał wątpliwości.

— Gdyby zaprowadzili tam Erskine'a, nie musielibyśmy go szukać.

Blake domyślił się, że Kittson ma kontakt umysłowy z agentem odgrywającym rolę więźnia.

— Czy porywacze Erskine'a noszą tarcze ochronne?

— Nie. — Kittson uśmiechnął się złowieszczo. — Mamy nadzieję, że wyczerpały mu się zapasy.

Blake dorzucił do ognia i zerknął na konserwy. Nagle poczuł głód. Przysunął do płomieni rondel z wodą i sięgnął po otwieracz do puszek. Agent zaczął czytać etykiety.

— Całkiem urozmaicone menu — mruknął.

— Głównie zupy — przyznał Blake. Wsypał do wrzątku odmierzoną porcję czekolady w proszku i otworzył drugą konserwę. Kiedy jedzenie się grzało, przykucnął naprzeciw Kittsona. Przyszła jego kolej na zadawanie pytań.

— Czy wasz punkt wejściowy to tamten dom na Partoon Place? I jak udało wam się przejść po eksplozji?

— Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi „tak”. Co do eksplozji, to zapewne przygotował ją dla nas komitet powitamy złożony z meliniarzy Pranja. Ale przypadek sprawił, że zjawiliście się tam pierwsi i widocznie uruchomiliście detonator. Erskine zmieni wspomnienia swoim porywaczom i w ich pamięci pozostanie fakt, że reszta z nas zginęła w wybuchu bomby. Hm... Ładnie pachnie.

Agent przyjął z rąk Blake'a kubek gorącej zupy i ostrożnie pociągnął łyk. Potem chciał wiedzieć, co mówił lekarz i inni ludzie Sierżanta.

— Moglibyście im pomóc! — wybuchnął Blake. — Dać trochę waszych cudownych lekarstw. Nie mają tu takich. Żeby odgruzować i odbudować to miasto...

Nie było sensu kończyć; bez trudu wyczytał odmowę z twarzy Kittsona.

— Podstawowa zasada naszej Służby to nie wtrącać się. Ścigamy Pranja właśnie dlatego, że to robi. Gdybyśmy postąpili tak samo, nawet w dobrej wierze, jakie mielibyśmy prawo aresztować go?

— Ale on chce zawładnąć światem i rządzić — zaprotestował Blake. — Wy tylko pomogliście ludziom, którzy żyją w ciężkich warunkach. Dalibyście im szansę zbudowania lepszej przyszłości.

— Zawsze znajdzie się powód do ingerencji — odparł agent. — Ale nie wolno nam interweniować ani z dobrych, ani ze złych pobudek. Za duże ryzyko, obawiamy się skutków. Skąd mamy wiedzieć, jaki wpływ na przyszłość tego świata wywrą nasze obecne działania? Załóżmy, że chwilowo ulżymy losowi małej grupy ludzi. To jak rzucenie kamienia do wody: fale będą się rozchodzić coraz dalej. Ratując jedno życie

dziś, możemy zniszczyć tysiące w nadchodzących latach. Moglibyśmy zapobiec wojnie, co w rezultacie doprowadziłoby do światowego pokoju na tym poziomie. Ale nie do nas należy osądzenie i działanie. Składaliśmy taką przysięgę, kiedy wstępowaliśmy do Służby. Jesteśmy tylko obserwatorami i do tego mamy przygotowanie. Na innych poziomach ciągle coś się dzieje, ale nasz udział w tych działaniach jest znikomy.

Nawet nasza obecna misja — unieszkodliwienie człowieka mieszającego się do spraw innych światów — zbliża się niebezpiecznie do granic, które boimy się przekroczyć. Nie w obawie o siebie, ale o innych. Owszem, moglibyśmy dać Sierżantowi lepszą broń, lekarstwa, zaopatrzenie; zapewnić mu wsparcie rozwiniętej, stabilnej cywilizacji. Ale zniszczylibyśmy jego marzenia. Jeśli on i ci, co poszli za nim, podniosą ten świat z gruzów własnym wysiłkiem, zbudują coś o wiele bardziej trwałego, niż stworzyliby przy naszej pomocy. Nie wolno nam podsuwać ludziom kul, bo w ten sposób robimy z nich kaleki. Jeżeli jesteś w stanie zaakceptować ten punkt widzenia... — Kittson po raz kolejny przerwał w pół zdania, jakby uznał, że już za dużo powiedział. Dopił zupę. — Zgaś ognisko — rozkazał. — Idziemy.

Blake wykonał polecenie. Nie zdziwił się, gdy chwilę później wszedł Hoyt. Teraz już nie miał wątpliwości, że agenci porozumiewają się za pomocą telepatii. Żałował, że tego nie potrafi. — Wszystko pod kontrolą — oznajmił Hoyt. — Chłopak wydobrzeje. Hakał zadba o to, żeby śnił, dopóki nie będziemy mogli zabrać go z powrotem. Ruszamy?

Blake zawahał się, czy wziąć strzelbę, czy karabin. Nie znał swoich możliwości snajperskich, więc w końcu wybrał to pierwsze.

— Mamy kontakt? — zapytał krótko Kittson. Hoyt skinął głową.

— Trzymają się poza parkiem. Saxton ich obserwuje i melduje. Stan wykrył tylko jedną tarczę. Reszta jest podatna.

Blake coś sobie przypomniał.

— Jack mówił, że w nocy wszyscy się chowają. Robi się późno.

Wyszli ze sklepu. Kittson spojrzał na pogodne, zimowe niebo.

— Więc lepiej się ruszajmy, póki jest widno.

Agenci też omijali park. Szli w kierunku śródmieścia ulicą odległą o jedną przecznicę od jego granic. W górze krążyły wrzeszczące ptaki. Raz czy dwa rozległ się głuchy łoskot walących się murów. Tu i tam na śniegu widniały ślady zwierząt — sfory psów i innych czworonożnych mieszkańców ruin.

Blake doznawał dziwnego uczucia, wędrując ścieżką wśród wyludnionych rumowisk. Jeszcze kilka dni temu to samo miasto — lub jego bliźniaczo podobna kopia — tętniło życiem.

Okrążyli szerokim łukiem lej po bombie, a potem wielki dół pozostały po stacji metra. Kittson skręcił w prawo i przyspieszył. Zasy między budynkami tonęły już w głębokim cieniu. Blake zastanawiał się, dokąd zajdą, zanim zapadnie zmierzch i dalszy marsz stanie się zbyt niebezpieczny. Przeraził się, gdy nagle zza góry śniegu wyłoniła się biała postać i dołączyła do nich.

Spod kaptura wyjrzała twarz Saxtona. W workowatym kombinezonie ochronnym nie przypominał biznesmena ze świata Blake'a.

— Co za zgromadzenie... — Agent uśmiechnął się na jego widok. — No, chodźmy na zebranie, panowie.

Kittson coś mruknął, a Hoyt zapytał z podnieceniem:

— Przygotowują się do czegoś? Saxton otrzepał się ze śniegu.

— Nie tylko oni. Wygląda na to, że szykuje się mała wojna. Piętnaście minut temu nasi przyjaciele spotkali inną grupkę swoich z drugim więźniem. Poszli razem w stronę ruin na wschodzie. Ale nie jesteśmy jedynymi, którzy ich tropią. Naliczyłem co

najmniej trzy patrole zwiadowcze oprócz nas.

— Ludzie Sierżanta! — wykrzyknął Blake. — Słyszałem, że planuje wielką operację przeciwko meliniarzom.

— To komplikuje sprawę — zauważył Hoyt.

Kittson bez słowa wszedł w zaułek, dziwnym trafem nie zawalony gruzem, jak inne ulice. Doszli do zburzonego muru, który odgradzał wylot uliczki od szerokiego bulwaru biegnącego wzdłuż parku. Kittson pociągnął Blake'a w dół, gdzie padał cień.

Wśród nagich krzaków po drugiej stronie alei zamigotał w popołudniowym słońcu metal. Ludzie Sierżanta?

— Dziesięciu — szepnął Hoyt.

Kittson bawił się kawałkiem cegły. Blake odniósł wrażenie, że jest niezadowolony z rozwoju sytuacji. W końcu agent wstał.

— Musimy tam być pierwsi.

Czołgali się, wspinali, czasami przebiegali kawałek otwartej przestrzeni. Ale przez większą część drogi trzymali się w ukryciu. Zagłębiali się coraz bardziej w rumowisko, w które zamieniło się centrum miasta. Nie ocalał prawie żaden z wieżowców, a ich gruzy zalegające całe ulice sięgały pierwszego piętra. Ale agenci bezbłędnie odnajdywali ścieżki przez kamienną dżunglę.

Blake zorientował się, że mimo częstego skręcania i zawracania przed przeszkodami stale trzymają się obranego kursu. Kierowali się na zburzoną wieżę średniowiecznego kościoła. Dziwił go wybór punktu orientacyjnego, jednak agenci wydawali się pewni swego.

Zapadał zimowy zmierzch, gdy przystanęli we wnętrzu zniszczonej witryny wielkiego domu towarowego. Blake pociągnął nosem. Poczul lekki odór, ale nie potrafił go rozpoznać. Jego towarzysze zamarli, jakby nasłuchiwali. Domyślił się, że „przeszukują” okolicę za pomocą telepatii.

— Są w kościele — powiedział cicho Saxton. — Wystawili strażę. — Jego szept rozplynął się wśród pustych ruin.

Blake nic nie słyszał. Jeśli w pobliżu byli jacyś ludzie, to poruszali się bezszelestnie. Tylko esper mógł ich zlokalizować.

— Zajmij się tamtymi dwoma od strony pomocnej! — polecił Kittson. — Ale najpierw wejdź do ich umysłów!

— Tak — zawtórował mu Hoyt. — A ja wezmę na siebie kudłatego trzy ulice dalej.

Saxton naciągnął kaptur białego kombinezону. Ginał teraz na tle śniegu.

— Jednooki jest mój — uprzedził łagodnie.

Kittson nie wyraził zgody na głos, ale obaj mężczyźni zniknęli w mroku, jakby porwał ich wiatr. Starszy agent stał niczym posąg i dalej „nasłuchiwał”. Blake wzdrygnął się. Połatane watomowane ubranie, które dostał w parkowej osadzie, nie chroniło przed zimnym wichrem. Dłonie marzły mu w lichych rękawiczkach z jednym palcem, więc zaczął na nie chuchać.

W końcu Kittson „ożył”. Nie odezwał się, tylko skinął na Blake'a. Skradali się wzdłuż budynku, dopóki nie zagroziło im drogi wysokie usypisko śmieci nagromadzonych w ciągu lat przez wichury. Wpełzli na górę, lawirując między wystającymi szczątkami. Położyli się na szczycie i rozejrzeli.

Dziwnym zrządzeniem losu na środku zrównanej z ziemią przestrzeni zachowała się pojedyncza budowla. Nawet w mroku nietrudno było rozpoznać kształty gotyckiej katedry. W resztkach witrażowych okien błyszczało światło palące się wewnątrz.

Z ruin naprzeciw wyłoniła się grupa mężczyzn. Szli pewnie jak ludzie poruszający się po swoim terenie. Zmierzali do drzwi kościoła.

— Kwatera główna Pranja? — zapytał Blake.

— Można tak powiedzieć — przytaknął Kittson i wyciągnął lornetkę polową.

Ostatnie zamiecie pokryły okolice katedry rozległym dywanem śniegu. Na białym tle odcinała się wyraźnie każda postać. Atak z zaskoczenia wydawał się niemożliwy.

Kittson z uwagą wpatrywał się w wejście. Blake trząśnięty z zimna. Wolałby mniej odsłonięty punkt obserwacyjny. Aż podskoczył, gdy niespodziewanie zjawiała się obok nich biała postać. Kittson nawet nie odwrócił głowy.

— Musimy działać szybko — przynaglił Saxton. — Ludzie z parku są już blisko. Możemy wziąć na siebie jedną czy dwie grupki, ale tylko parapsycholog zdołałby powstrzymać wszystkich.

Kittson warknął niecierpliwie w niezrozumiałym języku, lecz Blake łatwo odgadł, że to przekleństwo.

— Zlokalizowałeś Stana? — zapytał po chwili starszy agent.

— Sześć przecznic stąd — padła odpowiedź. Tym razem był to Hoyt. — Co tam się dzieje na dole?

— Coś w rodzaju konklawe, ale jeszcze nie zaczęli.

— Więc chyba zdążyliśmy — powiedział Saxton. — Może zebrał ich tu, żeby rozdać broń?

— Wiem tyle, co ty. Dotychczas udało mi się wyłowić tylko to, że nie mają pojęcia, po co zostali wezwani. Chodzą plotki, że to jakaś duża sprawa. — Kittson schował lornetkę do futerału.

— Co zrobimy? Spróbujemy dopaść mistrza ceremonii, zanim się tu zjawi? — spytał Saxton.

Nagle z kościoła dobiegł wrzask mrozący krew w żyłach. Wydał się Blake'owi bardziej przerażający niż wycie dzikich wiedźm wśród wież. Mógł się wyrwać tylko z gardła człowieka konającego w nieopisanych męczarniach.

— Erskine! — Blake podniósł się na kolana i zacisnął zgrabiące ręce na strzelbie. Ale czyjś stalowy chwyt pociągnął go z powrotem w dół.

Po drugim wrzasku Blake próbował się oswobodzić. Muszą coś zrobić! Jak można tego słuchać i nie reagować, kiedy przyjaciel...

— To nie Erskine — usłyszał jak przez mgłę. — Zabawiają się z jakimś miejscowym. — Blake nie pojmował, dlaczego ton Kittsona jest tak lodowato spokojny.

Szarpnął się

— Musimy...! — Ale agent przygwoździł go płasko do ziemi.

— Zostaniemy tutaj — uciął dyskusję. — Byłoby po nas, zanim przebieglibyśmy pierwszy metr otwartej przestrzeni. Straże przy drzwiach mają tarcze.

— Mark!

Agent zdążył odwrócić głowę, zanim usłyszał ostrzeżenie Saxtona. „Nasłuchiwał” przez moment, potem wypuścił powietrze przez zęby.

— W porządku — odetchnął. — Załatwią ich.

— O ile wcześniej powstrzymamy Pranję! Kittson roześmiał się złowrogo.

— Pozwólmy ludziom Sierżanta wykorzystać tę małą niespodziankę, którą taszcza ze wschodu. Ale masz rację, Jason. Trzeba zająć się Pranjem. Jeszcze go nie ma na dole, więc postaramy się, żeby tu nie dotarł.

Blake patrzył to na jednego, to na drugiego. Mimo mroku dostrzegł na obu twarzach takie same emocje. Agenci przypominali myśliwych obserwujących groźną bestię, która skrada się wprost do zastawionej pułapki. Wtem dotarły do niego hałasy: niezbyt ostrożne kroki i zduszony kaszel.

— Co to? — szepnął.

Tym razem wyjaśnień udzielił mu Saxton, nie Kittson.

— Ludzie z parku. Przystępują do ataku. Unieszkodliwiliśmy strażę dla naszych potrzeb, ale oni na tym skorzystali; podeszli niezauważeni. Ustawiają działą. Po ostrzale z tego kalibru katedra rozleci się na kawałki. Potem rozpoczną bitwę. Mają wroga jak na talerzu, więc spróbują go wykończyć podczas jednej operacji.

— To dzięki wam?

Saxton zachichotał. Miał bardziej ludzkie odruchy niż Kittson.

— Tylko częściowo. Wiesz, że nie wolno nam się wtrącać. Ale wniknęliśmy do ich mózgów i podsunęliśmy im kilka pomysłów. Oczywiście uważają je za własne. Jeśli do chwili rozpoczęcia akcji zdołamy powstrzymać Pranja przed przejęciem kontroli nad meliniarzami, może wyniesie się z tego poziomu. Wtedy miejscowi staną się panami własnego losu.

Blake usłyszał następne odgłosy albo przynajmniej tak mu się zdawało. Zazdrościł agentom zdolności towarzyszenia niewidocznemu wojsku na odległość.

— Czas ruszać — oświadczył Kittson. — Wejdz między nas, Walker, i złap się paska Saxtona. Poholuje cię.

Skradali się i przyspieszali. Chowali się i wstrzymywali oddech, kiedy mijali ich przebiegający ludzie. Agenci wykorzystywali wszystkie swoje zdolności, by nie zauważyła ich armia szykująca się do natarcia. Trzymali się z dala od kościoła. Saxton znał drogę i prowadził ich od jednego ciemnego miejsca do drugiego. Unikał otwartych przestrzeni i połączeń śniegu, gdzie cała grupka poza nim byłaby widoczna.

Blake zagapił się i wpadł na Saxtona, gdy nagle trzech agenci stanęli.

— Bariera dźwiękowa! — szepnął Kittson.

— Zaczęła działać pełną mocą dziesięć minut temu — odrzekł Hoyt. — Pranj jest w środku. Według meldunku Erskine'a zrobił przynajmniej trzy kursy z ładunkiem, zanim zostaliśmy odcięci. Trzymają Stana dla Pranja, żeby go później wykończył.

— Powinniśmy byli to przewidzieć — powiedział z goryczą Kittson, jakby winił siebie.

— I tak nie moglibyśmy nic zrobić — pocieszył go Saxton. — Na taką barierę nie ma sposobu.

W jego głosie brzmiała rezygnacja, ale Kittson jeszcze się nie poddał.

— Zastanawiam się, czy... — Spojrzał na Hoyta. — Gdzie ona jest?

— Na końcu tej ulicy. Kittson zwrócił się do Blake'a.

— Idź i sprawdź, czy uda ci się tamtędy przejść. Jeśli tak, natychmiast melduj się z powrotem.

Blake zupełnie nie wiedział, o co chodzi, ale wykonał rozkaz. Nie widział przed sobą żadnej bariery, tylko zwykłe zwały gruzu łatwe do przebycia. Tego wieczoru pokonali już mnóstwo takich przeszkód.

Po chwili stanął na popękany i wybrzuszonym chodniku poprzecznej ulicy. Natychmiast usłyszał w głowie przeraźliwy dźwięk i poczuł ból. Ale kiedy zrobił następny krok, wszystko minęło. Przeszedł bez wahania na drugą stronę. Przystanął na moment, potem wrócił do trzech agentów, czekających kilka kroków od miejsca, gdzie poraził go hałas.

— Macie odpowiedź — mówił do kolegów Kittson. — Domyślałem się, że Pranj nie ustawi jej na mniejszy zasięg, skoro chce być w kontakcie z meliniarzami.

— I jest — przytaknął Hoyt. — Erskine melduje, że nadchodzą skrzynie z bronią. Zjawilo się też pięciu Ixaniliańczyków: trzech arystokraci i dwaj w czerwonych pelerynach.

— Co mam robić? — przerwał im Blake.

— Pranj ustawił barierę dźwiękową, której nie może przekroczyć człowiek o

zdolnościach telepatycznych — wyjaśnił Kittson. — Miałeś jakieś problemy?

— Usłyszałem hałas i zabolala mnie głowa.

— Musiał coś poczuć — wtrącił się Saxton. — Jest esperem.

— Ale może ją przekroczyć — zniecierpliwiał się Kittson. — Dopóki ktoś jej nie wyłączy, nie przejdziemy.

Blake był wykończony psychicznie i fizycznie. Nie miał ochoty znaleźć się w zasięgu Pranja. A tymczasem wyglądało na to, że tego od niego oczekują.

— Masz własną tarczę — ciągnął Kittson — Użyłeś jej, kiedy pierwszy raz próbował się do ciebie dobrać. Możesz znów to zrobić? Wmów sobie, że jesteś przerażonym uciekinierem zabłąkanym w obcym świecie. Wie, że tu utknąłeś. Na pewno spodziewa się ciebie.

— Spodziewa się, że będę tu krążył w poszukiwaniu platformy?

— Otóż to! — ucieszył się Hoyt.

Ale Blake nie podzielał jego entuzjazmu.

— W porządku — zgodził się niechętnie. — Jak wygląda generator i jak mam go wyłączyć?

— To czarne, metalowe pudełko o wymiarach mniej więcej trzydzieści na trzydzieści centymetrów — powiedział Saxton. — Z pokrywki wystaje mały kryształ. Najprostsze wyjście rozwalić go. Kiedy to zrobisz, natychmiast do ciebie dołączymy.

Hoyt opuścił suwak kurtki i wyciągnął kotkę.

— Pranj panicznie boi się kotów. Nie musisz zabierać broni; Panienska robi, co należy. Została odpowiednio wyszkolona.

Blake odłożył strzelbę, pistolet i noże. Potem umieścił kotkę za pazuchą. Bez broni czuł się jak nagi. Ruszył we wskazanym przez Hoyta kierunku i znów przekroczył barierę dźwiękową. Gdzieś przed nim rozjarzyła się słaba, zielona poświata i usłyszał cichy szum. Niedaleko ktoś używał platformy.

Zmusił się, by przestać o niej myśleć i skoncentrował się na sobie. Jest zagubiony, wystraszony i samotny. Bardzo samotny. Budował w umyśle obraz ostatnich kilku dni, który choć na moment zadowoli Pranja, zanim zjawią się agenci.

Okrążył stertę śmieci i zobaczył dziurę prowadzącą do piwnicy. To stąd wyszedł na ten świat. Z otworu padało światło i dochodziły przytłumione głosy. Wziął głęboki oddech i zatoczył się na próbę. Chciał sprawdzić, na ile może sobie pozwolić, żeby nie stracić równowagi.

Głód, zimno, samotność, strach. Myślał teraz tylko o tym, czuł tylko to. Wtoczył się niezgrabnie do piwnicy.

Ixaniliańczycy nie wyczuli wcześniej, że nadchodzi. Nie mieli takich zdolności. Zaskoczył ich widok żałosnej postaci, która omal nie przewróciła się w progu. Blake zmrużył oczy przed niebieskim blaskiem przenośnych lamp. Po chwili rozpoznał oniemiałych mężczyzn: ciemnoskórych, aroganckich arystokratów z budynku mieszczącego podziemne laboratorium i ich dwóch służących. I Erskine'a. Agent stał przywiązany do filara. Miał posiniaczoną twarz i zakrwawione usta.

Jeden ze służących chwycił Blake'a za nadgarstki i wprawnym ruchem wykręcił mu ręce do tyłu. Arystokraci naradzili się w niezrozumiałym, gardłowym języku. Blake spróbował sztuczki, której dawno temu nauczył go Dan Walker: kiedy służący wiązał mu ręce, napiął nadgarstki. Był prawie pewien, że później zdoła się uwolnić. Został popchnięty, przeleciał przez pół piwnicy i wylądował na kolanach przed Erskine'em. Mężczyzna w czerwonej pelerynie zaczął spacerować obok więźniów, ale nie zwracał na nich uwagi. Widocznie Ixaniliańczycy nie obawiali się kłopotów z ich strony.

Blake spojrział na Erskine'a. Ich oczy spotkały się. Agent pokazał wzrokiem ponad jego ramieniem. Blake zrozumiał i osunął się na ziemię. Służący stanął nad nim,

przyjrzał mu się i kopnął go w zębra. Blake krzyknął z bólu, ale osiągnął swój cel — zobaczył urządzenie opisane przez Saxtona. Musiał teraz znaleźć sposób na wykonanie zadania. Czarne pudełko stało na skraju rumowiska maskującego stanowisko platformy. Obok uwijał się drugi służący. Otwierał kolejno skrzynki ustawione w stos.

Kotka wierciła się pod kurtką; Blake czuł na skórze ostre pazurki.

Ixaniliański służący wyjmował ze skrzynek broń. Grube rury były wiernymi kopiami miotacza ognia, który Blake widział. Z takim uzbrojeniem meliniarze mogliby zetrzeć z powierzchni ziemi parkową osadę.

Blake sprawdził więzy na nadgarstkach. Dan miał rację: przy ruchach rąk poluzowały się. Kotka wierciła się coraz bardziej. Bał się, że mężczyźni w końcu to zauważą.

Na razie rozmawiali. Jeden z arystokratów poczęstował towarzyszy długimi ciemnymi papierosami i niską piwnicę wypełnił gryzący dym. Mimo swobodnego zachowania wyglądali na spiętych. Z pewnością mieli już dość oczekiwania.

Blake starał się zachować spokój — system ostrzegawczy zaalarmował go nagle, że Pranj jest w drodze.

Za zwałami gruzu rozbłysło zielone światło... Szum... Gdy poświata zniknęła, obaj służący przystąpili do działania. Blake wykorzystał ich nieuwagę i oswobodził rękę. Na wolną przestrzeń piwnicy wyszedł Pranj. Szczupłą sylwetkę opinał strój ixaniliańskiego arystokraty.

Już nie przypominał Lefty'ego Connorsa. Wyglądał teraz dokładnie tak, jak na wizerunku, który kiedyś pokazali Blake'owi agenci. Promieniowała z niego siła i pewność siebie. Uśmiechał się lekko, jakby z wyższością.

Jeden z arystokratów wskazał na Blake'a. Pranj podszedł kocim krokiem do rozciągniętego na ziemi Amerykanina. Blake skręcał się fizycznie i psychicznie pod dotykiem jego umysłu. Ale wcześniej zdążył się przygotować: jest samotny, przerażony, głodny...

Przestał myśleć i próbował tylko odczuwać. Strach... Boi się tego człowieka, tego zmienionego „Lefty'ego”. Jest przerażony i samotny...

Pranj roześmiał się. Gdyby Blake nie widział jego twarzy, usłyszałby w tym śmiechu jedynie nieszkodliwą wesołość. Ale w oczach Pranja czaiło się okrucieństwo.

— Wpadłeś z powrotem prosto w sieć.

Czy te słowa zostały wypowiedziane głośno? Zimno, głód, strach... Odczuwaj. Nie myśl, tylko odczuwaj.

— Później się tobą zajmę.

Pranj odwrócił się. Blake z najwyższym trudem zdławił w sobie uczucie tryumfu. Miał wolne ręce. Czekał teraz ma szansę, żeby to wykorzystać.

Podniecone głosy arystokratów zagłuszył hałas; służący ciągnęli przez rumowisko następne skrzynie. Pranj wrócił z bardzo dużym ładunkiem.

Blake modlił się, żeby coś odwróciło uwagę mężczyzn w piwnicy. I doczekał się. W oddali rozległ się złowrogi huk. Ludzie Sierżanta musieli rozpocząć ostrzał kościoła. Arystokraci i służący zamarli, potem rzucili się do wyjścia i wyjrzeni w ciemność. Blake szybko szarpnął suwak kurtki.

Zagrzmiał drugi wystrzał i odbił się dziesięciokrotnym echem wśród ruin. Blake chwycił jedną ręką wrywającą się kotkę, podciągnął pod siebie nogi i sprężył się do skoku na wyłącznik bariery dźwiękowej.

Pranj obrócił się w miejscu. Wtedy Blake zaatakował. Puścił na niego kotkę i rzucił się w lewo.

Usłyszał wrzask, ale nie oderwał oczu od czarnego pudełka. Potknął się, wyciągnął rękę i trafił palcami na jego krawędź.



Popchnięty aparat poleciał w stronę otwartych skrzyń z bronią. Jedna z rur spadła i przygniotła go. Blake próbował dosięgnąć pudełka, lecz poczuł ból w plecach i ogarnęła go ciemność.

Ocknął się wśród krzyków. Ktoś upadł na jego poparzone plecy. Jęknął z bólu. Nagle ten ktoś zaczął się wić i wrzeszczeć. Rozszedł się swąd płonącego ubrania i ciała.

Blake zdawał sobie sprawę, że w piwnicy toczy się zażarta walka. Lecz bał się zmienić pozycję; przy najmniejszym ruchu przeszywał go ból. Zdołał jednak odwrócić głowę. W pobliżu leżał jeden z ixaniliańskich arystokratów. Skręcone ciało drugiego tkwiło w otworze wejściowym. Nagle przeskoczył nad nim Hoyt.

A więc udało się! Spadająca broń musiała roztrzaskać kryształ na pudełku.

Huk działa mieszał się z zaciekłym ogniem karabinowym. Blake żałował, że nie może przeniknąć przez kamienną podłogę pod sobą. Nie był w stanie wydostać się spod przygniatającego go trupa.

Wtem zobaczył Pranja. Na jego wyciągniętej dłoni spoczywało jasnoniebieskie jajo, a wargi wykrzywiała wściekłość. Wyglądał o wiele groźniej niż przedtem.

Podtrzymywał otwartą dłoń drugą ręką, jakby niósł coś zbyt cennego lub niebezpiecznego, by to upuścić. W piwnicy zapadła cisza. Widocznie pozostali przy życiu również obawiali się o los jaja.

Cofał się do platformy. Hoyt wolno podchodził do niego, za nim posuwał się Kittson. Obaj mieli broń, ale lufy celowały w podłogę.

Pranj roześmiał się szaleńczo. Potem podrzucił jajo w powietrze i wskoczył na platformę. Hoyt z krzykiem skoczył za nim. Kittson przystanął. Nie odrywał oczu od niebieskiego jaja. Poszybowało ku niemu i zastygło niczym złapane w niewidzialną sieć. Kittson wpatrywał się w nie z napięciem. Po twarzy spływał mu pot. Zapewne powstrzymywał je siłą woli.

Nie drgnął nawet wtedy, gdy rozległ się szum i rozbłysło zielone światło. Pojawił się Erskine. Cofał się do drzwi i trzymał osmaloną, prychającą kotkę. Ktoś ściągnął z Blake'a martwe ciało, chwycił go pod pachy i podniósł. Blake stłumił okrzyk bólu. Saxton dowlóknął go do Erskine'a stojącego w progu. Ixaniliańczycy leżeli bez ruchu. Kittson nie zmienił pozycji.

— Przejmuję... — uprzedził Saxton. — Teraz!

Kittson odskoczył do tyłu. Jajo zakołysało się, opadło niżej i znów znieruchomiło. Agent wziął Blake'a na ręce, jakby ważył mniej od Jacka, i w dwóch susach wyniósł na powietrze. Erskine już czekał na zewnątrz. Po chwili dołączył Saxton. Wyszedł tyłem, wpatrując się w czeluść piwnicy.

Kittson ułożył Blake'a za murem i usiadł. Kiedy wszyscy agenci zebrali się razem, ziemia zatrzęsała się od ogłuszającej i oślepiającej eksplozji.

W oddali wciąż dochodził regularny huk działa. Od czasu do czasu rozlegały się też strzały karabinowe. Blake leżał twarzą w dół i kołysał się na chybotałej powierzchni. Nawet nie próbował zrozumieć, co się dzieje wokół niego. Po prostu czekał, co będzie dalej.

— To wygląda na prawdziwą bitwę — usłyszał nad sobą.

— Przynajmniej przez jakiś czas będą zajęci tylko tym — padła odpowiedź.

— Wybuch bomby musiał mu zablokować wejście tutaj.

— Miejmy nadzieję! Im szybciej dotrzemy do Ixanilii, tym lepiej.

Blake popadł w stan półprzytomności. Czasem odzyskiwał świadomość i dostrzegał światło na ścieżce przed sobą. Wskazywało drogę ludziom niosącym go na prowizorycznych noszach. Szli szybciej, niż wydawało się to możliwe w labiryncie ruin. Ale zanim dotarli do celu, zaczęło świtać. Kiedy postawili nosze, Blake usiłował się podnieść.

— Znowu jesteś z nami? — rozległ się głos niewidocznego Erskine'a.

— Gdzie jesteśmy? Co się stało?

— Nadal ścigamy Pranja. Wysadził piwnicę w powietrze. Blake wstrzymał oddech; zabolalo go między łopatkami.

Oparł się na łokciach i czekał, żeby mury wokół przestały wirować. Nad głową miał niebo i proszący śnieg. Przed sobą sześcian z szarego metalu wielkości małego pokoju. Kawałek jednego boku odsunął się i przez otwór wyszedł Kittson. Wyglądał na zniecierpliwionego.

— Są wiadomości od Hoyta? — zapytał Erskine.

— Jest w Ixanilii. — Czas...

— Tak, to teraz kwestia czasu. — Kittson skinął głową. — Gdyby nie Hoyt, byłoby gorzej. No cóż... Nie mamy wyboru, musimy do niego dołączyć.

Podszedł do Blake'a, jakby uważał Amerykanina za niezbędny bagaż, którego nie wolno zostawić, a nie za osobę. Wyciągnął rękę, ale Blake już stanął na nogach. Kiedy Erskine wszedł do sześcianu, Kittson podtrzymał Blake'a wbrew jego woli i też wprowadził do środka. Wnętrze metalowej klatki w niczym nie przypominało platformy Pranja. Była tu tablica z przyrządami sterowniczymi, wyściełane siedzenia i schowki na prowiant.

Blake opadł na najbliższy fotel i pochylił się do przodu, żeby nie dotykać plecami oparcia. Usłyszał znajomy szum, ale nie rozbłysło zielone światło. Kittson zasiadł za sterami i skupił uwagę na wskaźnikach.

Erskine rozwalił się w następnym fotelu. Jego pokrwawiona twarz wyrażała zupełną obojętność, jakby nie obchodził go cel wyprawy. Saxton pozostał czujny. Siedział prosto i trzymał na kolanach taką samą broń, jak ixaniliańskie miotacze ognia.

— Wszystkie lądowiska po drodze czyste? — zapytał.

— Powinny być — mruknął Kittson. — Aloon sprawdził je podczas próbnej podróży między tymi poziomami, zanim zaczęła się nasza sprawa.

— Mielibyśmy szczęście, gdyby ixaniliańskie nie było — wtrącił się zgryźliwie Erskine. — Wolałbym nie zmaterializować się w środku betonowego bloku. I jest wpół do szóstej rano. Może się okazać, że zostanie najwyżej pół godziny, żeby niepostrzeżenie dojść do celu.

Blake nie widział, co dzieje się poza ścianami sześcianu, ale znów doznał znajomego uczucia oderwania od czasu i przestrzeni. Wiedział, że już podróżują

między poziomami. Kittson wcisnął guzik i dziwne doznanie zniknęło. Powrócili w wymiar czasu.

— Łądowisko czyste — oznajmił agent. Sięgnął po bliźniaczy egzemplarz broni Saxtona i otworzył drzwi sześcianu. — Magazyn — poinformował.

Saxton szybko wstał. Erskine podniósł się z ociąganiem.

Kittson podszedł do Blake'a. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Blake wyprostował się i spróbował odwzajemnić władcze spojrzenie. Agent pomógł mu wstać i zaprowadził na miejsce za sterami. Posadził go i wyjął z kieszeni małą fiolkę. Wytrząsnął z niej jedną pigułkę.

— Trzymaj to pod językiem... — polecił — i czekaj, aż się rozpuści.

Blake zrobił, co mu kazano. Ale Kittson jeszcze nie skończył. Ujął prawą rękę Blake'a i oparł na tablicy przyrządów tuż pod jarzącym się przyciskiem.

— Na rozkaz wcisniesz go. Rozumiesz?

Blake skinął głową. Kittson wydawał się zadowolony. Trzej mężczyźni wyszli i Blake został sam.

Mijały minuty. Dziwne... Czuł, jak rozjaśnia mu się w głowie, a ból pleców ustępuje. Poprawił się w fotelu. Próbował przypomnieć sobie wydarzenia z ostatniej nocy, ale w pamięci miał zamęt. W końcu znużyło go bezczynne czekanie i patrzenie na przycisk. Był zmęczony i głodny. Marzył tylko o tym, żeby wreszcie móc zasnąć... zasnąć...

Sześcian zakotyłał się gwałtownie. Blake jedną ręką uchwycił się fotela, drugą tablicy przyrządów. Trzęsienie ziemi! A może przez pomyłkę dotknął przycisku i pojazd wystartował? Nie, przecież cały czas trzymał palce z daleka.

Usłyszał hałas i odwrócił się. Do środka wtoczył się Erskine. Za nim wpadł Saxton. Podtrzymał kolegę i dociągnął do najbliższego fotela. Ledwo dyszał.

— Przygotuj się! — wysapał do Blake'a.

Blake natychmiast położył palec na przycisku. Po chwili zjawił się Kittson. Wszedł dużo spokojniej i zatrzasnął drzwi.

— W porządku. Ruszamy!

Znów szum, zawroty głowy, lekkie nudności...

— Dwa zablokowane — odezwał się Erskine, kiedy złapał oddech. — Teraz trzecie?

— Zmuszamy go do dalszej ucieczki — zgodził się Saxton.

— Raczej Hoyt, nie my — poprawił Erskine. W jego głosie zabrzmiała troska.

Blake czuł się coraz lepiej. Miał ochotę zadać agentom kilka pytań, ale rzut oka na ich twarze powstrzymał go: byli w transie niemej komunikacji. Utrzymują łączność z Hoytem? I dokąd teraz zmierzają? Na jego własny poziom?

Wtem Kittson wstał. Blake zorientował się, że są na miejscu. Podniósł się z fotela; mógł już chodzić o własnych siłach. Wyszli do zwykłej piwnicy. Starszy agent spojrzął na zegarek.

— Ósma dwadzieścia. „Kryształowy Ptak” jest zamknięty. Ale po drugiej stronie placu mamy ten sklep, który wynajmuje Lake.

— Myśli, że sprawa jest legalna. — Erskine oparł się ze znużeniem o ścianę. — Nie wie, że Pranj ma go w garści.

— Po porwaniu zabrali cię do sklepu odzieżowego po drugiej stronie placu? — Kittson zwrócił się do Blake'a

Blake zamrugał. Przygoda z bandą Scappy wydawała mu się tak odległa, że musiał dobrze wysilić pamięć, żeby przypomnieć sobie szczegóły.

— Chyba tak. Ale zamknęli mnie w jakiejś skrzyni, więc nie jestem pewien.

— Takie sklepy zwykle otwierają o dziesiątej. — Kittson znów zerknął na zegarek. Potem ruszył przed siebie. Reszta poszła za nim.

Wyszli z piwnicy i znaleźli się na parterze domu przy Patroon Place. W kuchni nie zastali nikogo i nigdzie nie zauważyli śladu kucharki ani pokojówki. Wszędzie panowała grobowa cisza, jakby nikt tu nie mieszkał. Zastłony w oknach były zaciągnięte i pokoje tęły w mroku.

Spakowane pudła w korytarzu wskazywały, że ktoś szykował się do wyprowadzki. Przeszli między nimi do frontowego pokoju. Erskine zapalił światło, potem zrobił to samo w małej, przyległej łazience. Na widok swojego odbicia w lustrze gwizdnął cicho.

— Mam gębę jak krwisty befszytk — mruknął pod nosem. Położył śpiącą kotkę na miękkim fotelu i rozebrał się.

Kittson postawił na stoliku apteczkę. Saxton delikatnie pomógł Blake'owi zdjąć ubranie. Potem ułożył go twarzą na poduszce i starszy agent zajął się jego plecami. Pigułka wciąż działała i Blake ledwo czuł zabiegi. Po założeniu grubego opatrunku na oparzone miejsce mógł wreszcie wypocząć.

— Promień tylko go musnął — zauważył Erskine.

— Na szczęście — odrzekł Kittson. — Na razie wytrzyma. Potem obejrzy go Klaven.

— Klaven? — zapytał zaskoczony Erskine.

— A masz lepsze wyjście? — parsknął zniecierpliwiony Kittson. Erskine nie odpowiedział.

Do pokoju wrócił Saxton z pełną tacą.

— Śniadanie.

Blake usiadł. Głód wziął górę nad zmęczeniem. Jedzenie było dziwne. Jeśli pochodziło z ojczystego poziomu agentów, to kawa na pewno z jego świata. Sącył ją z przyjemnością. Postawiła go na nogi.

Kittson przyniósł mu nowe ubranie: spodnie, flanelową koszulę i grubą, luźną kurtkę, żeby nie uwierała go w poparzone plecy. Erskine już wyglądał lepiej, choć miał opuchnięte oko i wargi.

Jedli w pośpiechu. Kittson ciągle zerkał na zegarek. Jeszcze nie wszyscy zdążyli przełknąć ostatni kęs, gdy wstał i poszedł do garażu.

Wyprowadził kombi i wsiedli. Blake domyślił się, że jadą zaatakować tutejszą bazę Pranj, bo agenci zabrali broń. Ale jego system ostrzegawczy milczał. Czyżby tak działała pigułka, którą mu dali?

Kittson skręcił do parku. Blake zdziwił się. Chcą dołączyć do ludzi Sierżanta? Dopiero po chwili przypomniał sobie, że są w innym świecie, który tylko wygląda tak samo.

Dojechali do placu z „Kryształowym Ptakiem” i sklepem odzieżowym. O tak wczesnej godzinie nie było tu żadnego ruchu. Tylko na przystanku autobusowym czekały dwie osoby. W zamkniętym nocnym lokalu i sklepie nie zauważyli oznak życia. Kittson zaparkował przed tym drugim.

— Czysto — zameldował głośno Erskine. — W środku nie ma nikogo.

Starszy agent wbiegł po schodkach do wejścia. Na moment otoczył zamek dłońmi i otworzył drzwi. Przeszli próg. Długi korytarz prowadził aż na tyły budynku. Minęli pomieszczenia po obu stronach i zeszli na dół. Znaleźli się w dawnej kuchni i kwaterach dla służby. Odkryli tu schody do następnej piwnicy. Kiedy tam weszli, Saxton oświetlił latarką podłogę. Na środku dostrzegli właz.

Kittson schylił się i wolno przesunął palcami po krawędziach klapy. Potem mocno szarpnął. Kolejno opuścili się do tunelu i poszli prosto między ścianami z surowych cegieł. Przebyli może dwie trzecie drogi do celu, gdy Blake poczuł, że jego system ostrzegawczy znów działa. Dotknął ramienia Erskine'a.

— Przed nami musi być Pranj!

Agenci nie odpowiedzieli ani nie zwolnili. Skręcili za róg i zobaczyli światło. Blake rozpoznał otwór w murze, za którym stała platforma Pranja.

— Zbliżają się dwaj z tarczami — uprzedził Erskine. Kittson wszedł do pomieszczenia z platformą. Za nim Saxton. Blake zawahał się. On jeden nie miał broni. Erskine został na zewnątrz. Oparł się o ścianę z miotaczem ognia gotowym do strzału. Chcąc nie chcąc, Blake poszedł w ślady dwóch pierwszych agentów.

Na platformie kuczał Pranj. Ściągnięte wargi odsłaniały zęby, a oczy żarzyły się czerwonym blaskiem. Na kolanie opierał broń wycelowaną w Hoyta. Rudy agent miał zmęczoną twarz. Wyglądał na człowieka u kresu wytrzymałości. Ale nie odrywał wzroku od przeciwnika.

Blake zrozumiał — wzajemnie trzymają się w szachu dzięki zdolnościom psi. Dopóki obaj mają siłę, żaden się nie ruszy. Skamieniałe postacie nie zwróciły najmniejszej uwagi na niespodziewanych gości.

Nawet w najgorszych snach Blake nie doświadczył tego, co po chwili nastąpiło. Wokół niego rozgorzała dzika walka umysłów. Agenci nie próbowali pokonać Pranja fizycznie; nawet nie podeszli do platformy. Ale Blake czuł, jak zmagają się ze sobą straszliwe niewidzialne siły.

Broń została wyszana z rak Saxtona. Zaczęła obracać się w powietrzu, aż wycelowała w niego. Po sekundzie upadła na podłogę. Agent ani drgnął, żeby ją podnieść. Na środku piwnicy pojawiła się pomarańczowoczerwona kula światła. Musnęła głowę Kittsona, eksplodowała tysiącem iskier i zniknęła. Żarówka pod sufitem przygasła, potem zapaliła się na nowo.

Spod platformy wypełził ohydny potwór, na wpół jaszczur, na wpół wąż. Miał łapy zakończone ostrymi pazurami, a z zębatej paszczy wysuwał rozdwojony język. Rósł w oczach, był coraz straszniejszy. Ruchliwy jęzor dosięgnął buta Hoyta. Agent nie zareagował. Stwór skoczył na niego z syczącym wrzaskiem i... rozwiął się!

Blake skulił się pod ścianą. Nie wątpił, że to tylko iluzja, dziwaczna broń będąca jedynie wytworem wyobraźni. Więc czemu miała służyć? Może po prostu odwróceniu uwagi walczących?

Pranj trwał w tej samej pozycji ze szczurzym uśmiechem na twarzy. Nie poddawał się, wciąż trzymał agentów na dystans. Ostateczny atak nastąpił z korytarza. Huknął strzał, potem drugi. Rozległ się krzyk... Żaden z trzech agentów w piwnicy nie poruszył się.

Erskine! Czy został...?

Cokolwiek wydarzyło się na zewnątrz, podziałało na Pranja. Zerwał się i rzucił do wyjścia.

— Tutaj, Scappa! — wrzasnął.

Nie dotarł daleko. Wpadł z impetem na niewidzialną ścianę, odbił się, i runął na ziemię. Agenci błyskawicznie otrząsnęli się z transu i wkroczyli do akcji. Hoyt podbiegł, wykręcił mu ręce do tyłu i zatrzasnął na nich kajdanki podane przez Kittsona. Starszy agent wciągnął na głowę więźnia srebrzysty kaptur.

W wejściu ukazał się Erskine.

— Załatwione?

— Ilu tam jest? — warknął Kittson.

— Trzech. Chyba dopadliśmy wszystkich z tarczami.

— Nawet jeśli nie, zapolujemy na nich później — zdecydował dowódca. — Jak tylko Pranj wróci do Yroom, przyślą tu brygadę pomocniczą.

Saxton zawiesił broń na ramieniu. Razem z Hoytem przeniósł bezwładne ciało na platformę. Ujął dźwignię sterowniczą i niedbale skinął ręką na pożegnanie. Rozbłyśło zielone światło i trzech mężczyźni zniknęli.

Erskine przeciągnął się.

— Idziemy?

Kittson skinął głową. Wyszli na korytarz. Pod ścianą leżały trzy skrecone ciała. Dwaj agenci nawet nie spojrzeli na trupy najemników Pranja; potraktowali je tak obojętnie, jak martwych ixaniliańskich arystokratów. Kittson odwrócił się twarzą do drzwi lądowiska platformy. Uniósł rękę i przesunął palcami po krawędzi stalowego portalu. Wejście zaspawało się tak szczelnie, że Blake wątpił, by kiedykolwiek ktoś zdołał je otworzyć.

Wspięli się do piwnicy pod sklepem. Kittson powtórzył operację; zapieczętował właz raz na zawsze. Z góry już dochodził odgłos kroków i szmer rozmów, ale agenci nie wydawali się zaniepokojeni. Blake'a znów ogarnęło zmęczenie. Wlókł się z tyłu, gdy wchodzili na parter.

W korytarzu prowadzącym do drzwi na ulicę spotkali kobietę. Minęła ich obojętnie i skręciła do jednego z pomieszczeń. Samochód nadal stał przy krawężniku. Wsiedli.

— Sprawa z głowy — odetchnął Erskine.

— Jeszcze nie całkiem — poprawił go dowódca.

Blake pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i podparł brodę rękami. Powieki ciążyły mu jak ołów. W tej chwili interesowało go tylko jedno: wypaść się.

Kiedy dojechali na Patroon Place, ocknął się z drzemki. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, co z nim teraz będzie. Policzył na palcach dni tygodnia. Jego przygoda zaczęła się zaledwie w ostatni poniedziałek. Jak daleką drogę przebył od tamtej pory? Miał dziwną pewność, że już nigdy nie powróci do dawnego życia.

W domu poszli prosto do piwnicy. Kittson odezwał się dopiero przy pojeździe do podróży między poziomami.

— Nie możemy cię tu zostawić — powiedział do Blake'a.

Blake milczał.

— Potrafimy poradzić sobie z otwartym umysłem, takim jak Jack — ciągnął agent. — Odstawimy go z powrotem do jego świata ze wspomnieniem, że zginąłeś podczas eksplozji. Ale twoja bariera psychiczna uniemożliwia nam zrobienie tego samego z tobą. Nie możesz żyć tutaj z tym, co wiesz. Dlatego... — Zawahał się, i Blake po raz pierwszy zobaczył u niego oznaki niepewności. — Dlatego musimy złamać podstawową zasadę naszej Służby i zabrać cię ze sobą.

Kittson zamilkł i czekał, jakby spodziewał się gwałtownego sprzeciwu. Ale Blake nie zaprotestował. Był zbyt zmęczony i nie opuszczało go dziwne przekonanie, że decyzja może być tylko jedna. Weszli do sześcianu. Drzwi zamknęły się za nimi i odgrodziły Blake'a od świata, który znał. Ale nie odwrócił głowy, żeby po raz ostatni spojrzeć na ten świat.

## Epilog

Inspektor skupił całą uwagę na informacji wyświetlonej na czytniku. Nie z obowiązku, bo sprawa już została zamknięta, ale z czystej ciekawości. Miał taką słabość, że lubił znać zakończenie każdej historii. Dlatego wrócił do niej dziś rano.

Sprawa 4678... Kiedy dotarł do niego meldunek, że operacja się powiodła, nie mógł się doczekać szczegółów. Czytając teraz raport, gwizdnął cicho. To coś nowego! Trzeba dopilnować, żeby ten wyjątek nie stał się regułą!

„... o czym uprzedzaliśmy Radę — raporty o postępie sprawy numeru 9 do 12 — nasza grupa nie miała innego wyjścia, jak tylko zabrać wymienionego wcześniej osobnika ze świata E641 do Vroom. Raport starszego parapsychologa Avana To Kimala (w załączeniu) potwierdza, że osobnik ten posiada nie tylko zdolność przeczuwania, lecz również naturalną barierę psychiczną o mocy dochodzącej do 10 stopni, a zatem o niespotykanej dotąd sile. Ponadto istnieje uzasadnione podejrzenie, że może pochodzić z nie zbadanego poziomu EX508, który został zniszczony na skutek eksplozji atomowej przed około dwudziestoma laty. Okoliczności pojawienia się ww. osobnika w E641 niejasne. Wiadomo jedynie, że EX508 w chwili wybuchu ostatniej, katastrofalnej wojny był o krok od realizacji własnego programu podróży między poziomami. Zagadnienie bada obecnie st. ppsych. Kimal.

Jednak nie mając możliwości pozostawienia ww. osobnika w E641 z fałszywymi wspomnieniami, przetransportowaliśmy go do Vroom. Mimo młodego wieku jest dyskretny i potrafi dochować tajemnicy jak każdy z naszych rekrutów. Odkrył nieznany dotychczas poziom Neo 14. Ma umiejętność adaptacji i inne przydatne cechy.

W opinii naszej grupy stanowi dobry materiał na agenta, choć należy do innej rasy i czasu. Rekomendujemy go do dalszego szkolenia i przyjęcia do Służby”.

No, no... Inspektor zanotował w pamięci nazwisko: Blake Walker. Trzeba będzie go obserwować.

Wcisnął guzik i ekran zgasł. Był zadowolony. Sprawa załatwiona. Im więcej takich trafia do Rady, tym lepiej. Ziewnął i zaczął się zbierać do wyjścia. Blake Walker... Zobaczymy, co z niego wyrośnie za trzy, cztery lata.